

Dell Ethel Mary

Powrót do życia

Młody Anglik, Beresford Vane, dziedzic wielkiego majątku, przeżywa wielkie dramaty: śmierć matki, poszukiwanie zaginionego ojca w dalekiej Australii i niefortunną miłość do trzech pięknych sióstr mieszkających w sąsiedztwie. Australijskie doświadczenia uczą go życia i pozwalają ostatecznie na odróżnienie prawdziwej miłości od jej pozorów. Jedna z sióstr Harbridge zostaje jego żoną, zamykając tym samym pasmo nieszczęść i niepowodzeń w życiu sympatycznego bohatera.

Zimny podmuch wiatru dał poprzez pustą ulicę i szofer, drząc, podniósł wyżej zielonkawy kołnierz swego płaszcza. Dawno me pamiętał, aby dzień marcowy był taki chłodny i pragnął teraz nade wszystko, żeby wreszcie brama więzienna otworzyła się. Z lubością myślał o zjedzeniu kawałka smażonego bekonu z chlebem w małym sklepiku na Friend Street, tuż naprzeciw stacji taksówek. Było to o wiele weselsze zajęcie, niż oczekiwać tutaj na zimnie tej chwili, kiedy wypuszczą jakiegoś kryminalistę z więziennego gmachu.

Na tylnym siedzeniu taksówki niecierpliwił się również starszy nieco mężczyzna. Otulony był w ciepły płaszcz i zdawał się me odczuwać zupełnie chłodu dzisiejszego dnia. Z uwagą studiował poranne wydanie dziennika poprzez szkła w jaszczurczej oprawie, a na jego twarzy malowało się skupienie. Posiadał wydatny podbródek i cienkie inteligentne wargi, które znamionowały wyrobioną indywidualność człowieka pełnego ambicji, pewności siebie i zrównoważenia.

Wysokie, szare mury więzienne, wznoszące się tuż obok, zdawały się nie wywierać nań przykrego wrażenia. Nie były one dla tego mężczyzny symbolem kary i straszliwej nędzy. Nie tracił ani chwili czasu na tego rodzaju rozmyślenia, zresztą w ogóle starał się tracić jak najmniej czasu. Czas jest pieniądzem i każda minuta posiada swą określoną wartość. Umysł jego był niby dobrze naoliwiona maszyna, pracował sprawnie, pożytecznie, mogąc przynieść korzyść światu. Jako człowiek interesu, John Morton, nie posiadał specjalnych sentymentów i był pożyteczny tylko dla tych ludzi, którzy mu placili.

za stracony czas. Wszyscy inni wykraczali już poza nawias jego życia. Zaciekawiała go tylko sfera jego zainteresowań, a wszystko inne nie posiadało dlań żadnej wartości. Ponury więzienny mur posiadał więcej uroku dla skromnego szofera, który go tu przywiózł, niż dla niego samego. Sam fakt, że notoryczny więzień miał być za chwilę stamtąd wypuszczony, nie przejmował go zupełnie. Interesowała go jedynie sprawa, którą złożono w jego ręce. Był przygotowany na załatwienie jej jak najpomyślniej.

Bardziej sentymentalny człowiek prawdopodobnie nie podjąłby się tej misji, lecz dla Johna Mortona nie było kwestii nieprzyjemnej. Nigdy nie wybierał, jeżeli chodziło o zarobek. Nie działał tutaj na własną rękę, był tylko czyimś narzędziem i powierzono mu spełnienie tego obowiązku za pieniądze. Rzadko się w nim odzywały uczucia humanitarne. Wszakże to nie była jego osobista sprawa, tylko kogoś, kto mu tę sprawę polecił załatwić.

Znowu wicher począł dąć ze wzmożoną siłą i szofer westchnął głośno:

— Ach, ta psia służba! Jak długo będziemy jeszcze tutaj stać i marznąć na tej ulicy?

Westchnienie to przypomniało mu dawne dni, spędzone w okopach i częsty chłód, którego doświadczał. Lecz wtedy życie było o wiele przyjemniejsze. W każdym razie można było pociągnąć kilka kropel rumu, to znaczy tylko wówczas, gdy brat Bosche był w dobrym humorze. Ale to czekanie przed więzieniem było stanowczo o wiele mniej przyjemne. Znowu doleciał go zapach smakowitego bekonu. Począł walczyć z coraz bardziej wzmagającym się głodem i wspomnienie więźnia, na którego czekał, stało się czymś zupełnie nierealnym. Nasunął wyżej kołnierz na uszy i zaklął siarczyście.

W tej samej chwili rozległ się zgrzyt wielkiego kjuca w zamku. Szofer podniósł głowę i spojrzął z zaciekawieniem. Adwokat, siedzący za nim, spojrzął również i w chwilę później bardzo spokojnie otworzył drzwiczki auta, wysiadając.

Na trotuarze stał mężczyzna. Drugi mężczyzna w mundurze dozorca więziennego stał za nim, a mała furka w bramie więzienia była otwarta i widać było przez nią mroczny dziedziniec otoczony blokiem szarych, wysokich budynków.

Nastała chwila ciszy, po czym John Morton zapytał:

— Pan Cheverell?

Mężczyzna stojący na chodniku obrzucił go obojętnym wzrokiem. Miał na sobie tandetne ubranie, które fałdźście zwisało z jego ramion, nigdyś może potężnych, dzisiaj wychudzonych.

Stał w milczeniu, z kapeluszem nasuniętym na oczy, podczas gdy adwokat czynił dalsze wyjaśnienia.

— Nazywam się Morton. Jestem przedstawicielem admirała Vane-Trafforda. Jestem jego pełnomocnikiem i to on polecił mi, abym przyjechał tu po pana. Zechce pan... — uprzejmym gestem wskazał mu pustą taksówkę.

Dozorca, potężny chłop o czerwonej twarzy, stał w otwartej furtce, spoglądając z leniwym zaciekawieniem. Więzień odpokutował swój wyrok i był wolny. Ciekawe było przyjrzeć się, jak korzystać będzie ze swej swobody po piętnastu latach.

W zachowaniu więźnia nie było jednak nic tragicznego. Nie odpowiedział ani słowem na zaproszenie adwokata, tylko skierował się do otwartej taksówki. Zawahał się na chwilę, po czym wsiadł i zajął miejsce w kącie tylnego siedzenia. John Morton dał polecenie szoferowi, po czym zatrzasnął drzwiczki. Warkot motoru rozległ się na szarej, pustej ulicy i taksówka ruszyła z miejsca.

John Morton sięgnął po gazetę i zatonął w niej wzrokiem na nowo.

Mężczyzna przy jego boku siedział bez ruchu. Siedział jak posąg, wpatrzony w podłogę auta. Piętnaście lat minęło i teraz znowu był wolnym człowiekiem. Wolnym człowiekiem! Lecz ten świat, do którego wracał, był przecież całkiem inny od świata, który znał dawniej. Całe wieki upłynęły od owej chwili, kiedy zamknęły się za nim okute bramy więzienne. Wojna przyszła i minęła. Inni ludzie cierpieli, niewinni pomarli, podczas gdy on, kryminalista, był całkiem bezpieczny za więziennymi murami. Niegodny był, aby umrzeć za swą ojczyznę. Inni umarli w chwale — ludzie, których znał za dawnych czasów, towarzysii jego młodości, zaś on został sam na świecie, mając wreszcie swobodę, mogąc żyć albo umrzeć na tym świecie, który go nie znał.

Dziwny dźwięk dobył się z jego krtani. Nie był to szloch, było to coś zbliżonego raczej do śmiechu, lecz przeszło powoli w kaszel. Dyskretny człowiek u jego boku zdawał się nie zwracać na to uwagi.

zacytany w swej gazecie. W przeciwieństwie do dozorca więziennego, adwokat zupełnie nie był zainteresowany, w jaki sposób więzień powita swą wolność. Pragnął tylko jak najszybciej załatwić sprawę, którą mu powierzono.

Taksówka zgrzytała i podskakiwała na nierównym bruku. Kawałki papieru tańczyły na rogach ulic, gnane wiatrem. Ciemne chmury, zbierając się na niebie, zwiastowały nadchodzący deszcz.

Zbliżali się do śródmieścia i od razu zostali porwani hałasem, panującym na szerokich ulicach. Auta, omnibusy, tramwaje mijaly ich ze wszystkich stron. Miasto sprawiało wrażenie wzburzonej rzeki. Ruch był ustawiczny, sznur ciągnących pojazdów nieskończony.

Nagle tuż nad uchem adwokata odezwał się głos ponury i przyciszony:

— I zawsze tak jest, jak teraz?

John Morton odwrócił uwagę od gazety i spojrzał na skurczoną postać, siedzącą w kącie taksówki.

— Tak, oczywiście — odparł — z wyjątkiem nocy. Skurczony mężczyzna zdawał się kierować swe słowa w stronę podłogi auta. Kapelusz ocieniał jego twarz. Mimo ironii brzmiącej w głosie, pytanie to wypowiedziane było całkiem obojętnie. Zdawało się ono pochodzić z jakiejś nieziemskiej sfery.

— Tak — odparł znowu Morton bez uśmiechu. — Jeszcze to ciągle czynią.

Gdyby posiadał bujniejszą wyobraźnię, wyczułby w tej sytuacji coś niezwykłego. Mogłoby mu się nawet zdawać, że porozumiewa się z kimś umarłym. Adwokat jednak nie zastanawiał się nad tym. Jak się czuje człowiek wracający do świata po piętnastu latach spędzonych w zamknięciu? Szczególnie do świata, który uległ wielkim zmianom po wojnie! I jemu nawet ten świat wydawał się całkiem inny. Ale jak dziwny musiał się wydawać człowiekowi, który żył poza nawiasem i nagle znalazł się wśród tego chaosu.

Adwokat jednakże nie wypowiedział swych myśli. Zachowanie jego było zupełnie obojętne, tak się zresztą zachowywał w każdej niemal okoliczności życia. Bieg myśli tamtego człowieka nic go nie obchodził. John Morton miał tylko do spełnienia obowiązek, którego się podjął. Czekало go całe mnóstwo innych spraw i prawdopodobnie ta jedna

wkrótce się rozplynie we mgle zapomnienia, w wirze codziennych zajęć. Jego spotkanie z tym więźniem posiadało pewien określony cel, poza którym nic właściwie nie istniało. Nie odczuwał nigdy specjalnej sympatii do kryminalistów, których uczucia, jeżeli w ogóle takie istniały, niegodne były głębszej uwagi.

Począł myśleć teraz o kilku sprawach handlowych, które miał w najbliższych dniach załatwić i chwilowa nic zadzierzgnięta między nim i więźniem urwała się znowu.

Prawie po kwadransie taksówka zatrzymała się na bocznej ulicy, po obu stronach której wznosiły się wysokie budynki. Tutaj panował mniejszy ruch, aczkolwiek gwar śródmieścia dochodził z pobliskiego placu. Droga została zatarasowana przez platformę, naładowaną wielkimi belami papieru zaprzęzoną w parę koni.

Szofer obejrzał się na swych pasażerów, jakby czekając dalszych poleceń, a adwokat pochylił się ku niemu.

— Tak, tutaj proszę się zatrzymać! — po czym zwrócił się do swego towarzysza. — Dzieli nas zaledwie kilka kroków od mego biura. Pójdziemy chyba piechotą.

Tamten w milczeniu otworzył drzwiczki samochodu. Widocznie uważał, że odpowiedź jest zbyteczna.

Morton wysiadł za nim na wąski chodnik i odwrócił się, aby zapłacić szoferowi. Ten ostatni obrzucił zaciekawionym spojrzeniem szczupłą postać, stojącą u boku adwokata i na chwilę wzrok jego spotkał się ze skamieniałymi oczami uwolnionego przed pół godziną więźnia. Biedny chłop! Szoferowi było go żal. Schował pieniądze do kieszeni i puścił w ruch motor, a po chwili taksówka zniknęła za rogiem przecznicy.

Tymczasem John Morton wskazywał drogę swemu towarzyszowi.

— Proszę tędy! — rzekł, idąc naprzód między platformą i szarym murem budynku.

Po przebyciu kilkunastu kroków, wszedł po czterech nierównych stopniach do ciemnego wnętrza. Towarzysz za nim. Minęli długi, wąski korytarz, którego podłoga zasłana była linoleum i w którym roznosiła się woń smażonej ryby.

Weszli na trzecie piętro, mijając pomalowane na żółto drzwi, opatrzone szyldami, na których wypisane były nazwiska właścicieli

mieszkań. Adwokat szedł wciąż przed siebie, nie oglądając się. Mężczyzna idący za nim poruszał się jak automat. Stanęli wreszcie u celu i Morton otworzył drzwi, na których widniało jego nazwisko. Dosłyszeli z wnętrza miarowy stuk maszyny do pisania, lecz pokój ten od przedpokoju przedzielały szklane drzwi. Morton nie spojrzął nawet w tę stronę, kierując się wprost do swego gabinetu. Otworzywszy drzwi, przepuścił najpierw gościa, po czym zamknął je bardzo dokładnie.

— Jesteśmy, panie Cheverell! — rzekł. — Niech pan siada! Zdjął kapelusz i płaszcz i powiesił je na wieszadle.

Wąty płomyk

gazu skakał figlarnie w pobliżu zniszczonego biurka, przy którym widocznie adwokat zazwyczaj siadywał.

Za biurkiem stał skórzany fotel, a po drugiej stronie taki sam fotel, podsunięty bardziej do kominka. Białe światło wpadało przez okna, przez które widać było tylko brunatny mur.

John Morton spojrzął na swego gościa, tym razem z większą uwagą. Przybysz zdjął kapelusz i stał bez ruchu na środku pokoju. Mógł mieć zarówno lat trzydzieści pięć jak i pięćdziesiąt. Ramiona, wysunięte ku przodowi, jak również gęste włosy, przyprószone obficie siwizną, nadawały mu wygląd starca. W twarzy odzwierciedlała się siła i energia, lecz wszystko to było jakieś leniwe i przygasłe.

— Niech pan siada! — rzekł znowu Morton.

Cheverell spojrzął na fotel, zawahał się przez chwilę, po czym bez słowa usiadł. Przybrał jednak taką pozę, jakby miał wstać za parę minut.

Morton zajął miejsce przy biurku i zagłębił się w dokumentach, które widocznie nań oczekiwały. Przez chwilę panowała cisza przerywana tylko trzaskaniem płomyka gazowego i stukotem maszyny z sąsiedniego pokoju.

Wreszcie bardzo spokojnie, nie podnosząc głowy, adwokat rzekł:

— Mam tutaj list od mego klienta, admirała Vane-Trafforda. Sądzę, że nie jestem zmuszony odczytywać go panu w całości. Klient mój prosi, abym przedstawił panu pewne warunki, które jego zdaniem przyjmie pan z ochotą. Są one następujące: suma stu pięćdziesięciu funtów będzie panu natychmiast wypłacona, pod warunkiem, że kupi pan bilet do Sydney, gdzie dostanie pan dalszą kwotę dwudziestu funtów, którą pan będzie mógł po przybyciu odebrać.

Następnie podczas pana

pobytu w Australii mój klient będzie panu przysyłać po dwadzieścia funtów miesięcznie, po które będzie się pan zgłaszał osobiście, w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. Gdyby pan w którymś z tych oznaczonych terminów nie zjawił się, wówczas traci pan miesięczną wypłatę. Dalej, jeżeli pan kiedykolwiek zechce opuścić Australię, pańska miesięczna gaża automatycznie przestaje być panu wypłacana. Sądzę, że to wszystko. Mam tutaj sto pięćdziesiąt funtów w banknotach, które wypłacę panu po podpisaniu zobowiązania.

Przestał mówić i znowu począł przerzucać papiery.

Mężczyzna w fotelu spojrzał nań, nie mówiąc jednak ani słowa. Siedział w znieruchomiałej pozie, spoglądając przed siebie.

Wreszcie adwokat począł mówić znowu.

— Tutaj jest pokwitowanie, zechce pan je podpisać! Cheverell spojrzał prosto w oczy Mortonowi, jakby go widział po

raz pierwszy w życiu.

— Co takiego? — zapytał wolno. — Czy można by przyjąć sto pięćdziesiąt funtów i pozostać w Anglii?

Morton zmarszczył brwi, słysząc to pytanie, po czym nieznacznie wzruszył ramionami.

— Narazi się pan na to — rzekł, a głos jego stał się jeszcze bardziej obojętny — że poza tą sumą nie dostanie pan potem ani szylinga.

— Rozumiem — odparł Cheverell. Odwrócił wzrok do ognia i siedział w milczeniu przez kilka minut. Zdawał się głęboko rozmyślać.

— Przypuszczam, że wytłumaczyłem panu wszystko jasno — rzeki Morton po chwili milczenia.

Cheverell skinął dwukrotnie głową, nie mówiąc nic i nie zmieniając pozycji.

Morton spojrzał na zegar i doszedł do wniosku, że zbyt wiele czasu stracił na załatwienie tej sprawy.

Zaszeleścił papierem, który trzymał w ręku.

— Zechce pan łaskawie to podpisać? Niestety mam bardzo mało czasu.

Cheverell, siedzący w głębokim, skórzanym fotelu, nie odpowiedział od razu, wystukując palcami na jego poręczach takt jakiejś melodii. Wreszcie, gdy Morton najwidoczniej zaczynał się niecierpliwić, zdobył się na słowa.

— Otrzymał pan polecenie od admirała Vane-Trafforda, którego ja prawie nie znam. Czy mam rozumieć, że ta propozycja pochodzi od niego samego?

— Takie otrzymałem instrukcje — odparł Morton, siląc się na cierpliwość.

— A nikt inny się tym nie interesował? — indagował Cheverell ze wzrokiem wciąż utkwionym w ogień.

— Nie mam pojęcia — rzekł Morton.

Znowu zaległa cisza i znowu Morton spojrzął na zegar. Potem spokojnie podniósł się.

W tej samej chwili Cheverell podniósł głowę ruchem jakiegoś nagłego postanowienia i rzekł:

— Moja żona... czy jeszcze żyje?

Pytanie to było raczej żądaniem. Oczy jego posiadały dziwny wyraz i Mortonowi zdawało się, że ma przed sobą człowieka obłąkanego. Odparł łagodnie:

— O ile wiem, żyje.

— O ile pan wie! — usta Cheverella wykrzywił ironiczny uśmiech. — Więc nie wie pan na pewno?

— W tej chwili nie otrzymałem bezpośrednich informacji na ten temat — tłumaczył się Morton. — Lecz o ile mi wiadomo, żona pańska jeszcze żyje.

— A mój syn? — słowa te wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Tak, oczywiście. Jest w kolegium i doskonale się uczy — odparł adwokat tonem pojednawczym. — Ale to jest wszystko, co mogę panu o nim powiedzieć.

— W jakim kolegium? — znowu to pytanie wypowiedziane zostało jakby machinalnie.

Morton nieznacznie wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć panu na to.

— Jednak pan wie! — w tonie Cheverella była zupełna pewność. Morton znowu zaczął się niecierpliwić, lecz pozornie był spokojny.

— Nie wolno mi odpowiadać na pańskie pytania, panie Cheverell — rzekł. — Zechce pan podejść do biurka i podpisać zobowiązanie?

Cheverell podniósł się stanowczym ruchem. Stali przez chwilę, spoglądając sobie prosto w oczy.

— Więc polecono panu nie odpowiadać na moje pytania! — wyszeptał. Wzrok Mortona ześlizgnął się z twarzy stojącego przed nim mężczyzny i przeniósł się na papier oczekujący podpisu.

— Muszę wypełniać swe obowiązki — odparł.

— Zakończmy szybko naszą rozmowę — rzekł Cheverell. Morton spojrzął na niego. Spotkał się z szarymi oczami na jedną chwilę i poczuł nagle zmieszanie.

— Powiedziałbym panu chętnie wszystko, gdyby od tego zależała sprawa — rzekł. — Jeżeli zakomunikuję panu, że pańska żona przed wielu laty zmieniła nazwisko, prawdopodobnie z łatwością zorientuje się pan, że nie ma ona ochoty odnowienia z panem dawnych stosunków. To samo oczywiście dotyczy jej syna, który jest jeszcze małoletni.

— Jej syna! — Cheverell zacisnął pięści. Opuścił nagle głowę ruchem pełnym rezygnacji. — Ten mały chłopczyk, z którym zawsze się bawiłem! — rzekł. — Czy zapomniał o mnie?

Morton nie miał własnego zdania na ten temat, nigdy zresztą nie interesował się dziećmi. Wskazał papier, leżący na biurku.

— Jeżeli pan podpisze to zobowiązanie — zaznaczył — wypłacę panu natychmiast pieniądze.

— Co takiego? — Cheverell nagle spojrzął nań płonącem wzrokiem. — Może pan te przeklęte pieniądze zatrzymać!

— zawołał. — Na nic mi się one nie przydadzą. Nie pozwolę, aby mnie wyganiano z kraju jak psa, z polecenia krewnych mej żony. Pójdę dokąd zechcę. Jestem człowiekiem wolnym i potrafię korzystać ze swej swobody. Ta swoboda posiada dla mnie większą wartość, niż brudne pieniądze, które mi ofiarują. Może im pan to ode mnie powiedzieć!

Słowa płynęły z jego ust niepowstrzymanym potokiem. Drżał od stóp do głowy. Było to jego pierwsze śmielsze wystąpienie od piętnastu lat i czyniąc je, stał, jakby oczekując wymiaru kary. Adwokat przyglądał mu się z widocznym podziwem. Wystąpienie Cheverella wytrąciło go na chwilę ze zwykłego spokoju. Lecz po pewnym czasie odzyskał na nowo równowagę. Jeżeli ten człowiek był istotnie obłąkany, to należało go traktować pobłaźliwie.

— Jeżeli to jest pańskie ostatnie słowo — rzekł — bardzo mi przykro. Pozwoli pan, że mu powiem, iż z pewnością będzie tego żałował!

Cheverell odetchnął głęboko i rozprostował swe mięśnie. Płomień przygasł w jego oczach, gdy zorientował się, że ta walka nie prowadzi do zwycięstwa. Człowiek, stojący przed nim, osobiście nie był zainteresowany w tej sprawie. Mógł go najwyżej wyrzucić za drzwi, lecz tu się kończyła strefa jego zainteresowań. Nie miał zamiaru wyznaczać mu kary za ten chwilowy bunt. Spełniał tylko dane sobie polecenie. Powstrzymał krótki, urywany śmiech.

— Jestem innego zdania—zauważył.—Jest to ostatnia rzecz w moim życiu, której mógłbym żałować. W każdym razie dziękuję panu za dobrą radę. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, jak pan sam twierdzi.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się na pięcie, ruchem więźnia, stojącego przed obliczem wyższej władzy, zatrzymał się na chwilę, po czym marszowym krokiem skierował się ku drzwiom i położył rękę na klamce.

Za sobą usłyszał głos Mortona:

— Panie Cheverell!

Stał, nie odwracając się, z opuszczonymi ku dołowi ramionami.

— Słucham!

Adwokat mówił przyjaźnie. Przecież mimo wszystko powierzono-mu tę misję.

— Czy nie zechciałby pan omówić ze mną tej sprawy nieco obszerniej? Nie należy działać w pośpiechu, a przyzna pan, że propozycja jest zachęcająca.

— Ach, niech ją diabli wezmą! — zawołał Cheverell, a głos jego zadrzał, jakby powstrzymywany ironicznym śmiechem. — Wolałbym raczej umrzeć z głodu, niż ją przyjąć. Może pan powiedzieć admirałowi Vane-Traffordowi, że ułożyłem sobie inne plany na przyszłość, więc może zechce zaopiekować się kimś, kto na jego dobroć bardziej by zasłużył.

Wyszedł, powiedziawszy te słowa i przebiegł przez pokój biurowy z miną człowieka, wyzywającego cały świat do walki.

Stuk maszyny do pisania towarzyszył odgłosowi oddalających się jego kroków, a zatrzaśnięcie wejściowych drzwi oznajmiło, że opuścił mieszkanie adwokata.

Zaległa dłuższa chwila śmiertelnej ciszy, po czym maszynistka, dość krzykliwa, młoda niewiasta, zapukała do drzwi gabinetu.

— Czy pan dzwonił, panie Morton? — zapytała. Było to stereotypowe pytanie, które znali obydwój, lecz ostatnie zajście zdawało się je usprawiedliwiać. Maszynistka pragnęła przekonać się, czy adwokatowi nic złego podczas tego zajścia się nie stało, a nikogo

oprócz niej nie było przecież w biurze. Morton przetarł dłonią czoło niechętnym ruchem.

— Nie, panno James. Ale może pani wejść. Chcę pani podyktować parę listów. — Umilkł na chwilę, po czym dodał prawie mimo woli: — Cóż za dziwny człowiek!

— Nigdy go dotychczas nie widziałam — rzekła panna James, przejęta ciekawością. — Narobił tyle hałasu, że mógłby obudzić nieboszczyka. Człowiek obcy pomyślałby, że go się tu trzymało wbrew jego woli.

— Tak, ma pani słuszność — przyznał adwokat i niechętnym ruchem wsunął do szuflady niepodpisane zobowiązanie. — W gruncie rzeczy zupełnie nie mam pojęcia, co o nim sądzić.

Nie powiedział pannie James, że dopiero przed godziną człowiek ten był więźniem, bo prawdopodobnie zrozumiałaby wówczas lepiej sytuację od niego i w jej kobiecym sercu zadrgałaby nuta współczucia dla tego nieszczęśliwca, który niemal pół swego życia spędził wśród szarych murów więziennych.

— Naprawdę nie wiem, co począć. Chłopak posiada dużo czaru, jest dobrze wychowany, a jednak nie można mieć nadziei, aby kiedyś był stateczny i rozsądny.

Coś rzewnego było w głosie mówiącej i smutek owiewał jej ładną, delikatną twarz. Lecz rzewność ta była pełna godności. Lady Łucja Harbridge pochodziła z dobrej rodziny i niezwykle liczyła się z opinią. Cierpiała zawsze nad tym, że nie urodziła się chłopcem i że Opatrzność nie zezwoliła na to, aby miała syna. Pierwsze jej małżeństwo z zacnym Geoffreyem Kenyonem zawarte zostało na krótko przed wojną i jedynym dzieckiem z tego małżeństwa była córka, Persis. Późniejszy związek z sir Richardem Harbridge, który miał już swoje dwie córki, nie mógł być uważany za nadzwyczajnie szczęśliwy. Coś jednak trzeba było z sobą

zrobić, bo w gruncie rzeczy lady Łucja nie posiadała ani szeląga, a sir Richard uważany był za człowieka majątnego. Poza tym zakochał się w niej do szaleństwa, choć Łucja niejednemu mężczyźnie się podobała. Prawda, że zawsze uważana była za wyjątkową piękność, lecz takie kobiety niekoniecznie muszą mieć szczęście w miłości i choć darzono ją zewsząd hołdami, to jednak nikt nie zapałał do niej tak gorącym uczuciem. Nawet jej arystokratyczne maniere nie pokrywały gorejącego wewnątrz temperamentu, aczkolwiek francuska garderobiana, Sidonia, usiłowała utemperować nieco swą panią.

Sir Richard ze swej strony nie zwracał na to zbytnej uwagi i był najzupełniej zadowolony ze swego powtórnego małżeństwa. Brał życie tak, jak ono szło i żadne radości ani smutki nie wywierały na nim długotrwałego piętna. Wysłuchiwał cierpliwie wynurzeń swej żony, lecz nie przejmował się nimi zbyt. Były one niejako zwykłą częścią jego dziennego programu, tak samo, jak ranne golenie i zazwyczaj wysłuchując potoku słów, jednym okiem zerkał na korespondencję rozłożoną na biurku.

W tej chwili siedział przy biurku w swym gabinecie, czytając ukradkiem jakiś list, jak chłopak, który czyta w szkole pod ławką potajemnie powieść kryminalną. W gruncie rzeczy nie interesował się tym, o czym mówiła lady Łucja, zresztą ten temat był mu już od dawna znany. Niejednokrotnie już zaznaczył swej żonie, że sam wie, jak w tej sytuacji należy postąpić. Tym razem miał zamiar powtórzyć swą zwykłą formułkę i oczekiwał tylko chwili, kiedy żona skończy swe wywody.

— Zgadza się z tobą zupełnie, moja droga, ale chłopak jest młody, nieustatkowany jeszcze i nie widzę na to żadnej rady, przynajmniej w obecnej chwili. Zresztą to przecież nie jest nasza sprawa. Dzisiejsi młodzi ludzie postępują według własnego widzimisie, nie słuchając absolutnie rad starszych.

— Ach, ja wiem! Zawsze o tym mówię. — Lady Łucja wypowiedziała te słowa z niecierpliwym wzruszeniem ramion. Sama nie wiedziała, dlaczego zwraca się o radę do męża, bo zazwyczaj odpowiadał jej jednym i tym samym.

— Ale w takim razie nie możemy na siebie brać odpowiedzialności. Nie możemy pozwolić na to, aby przychodził do naszego domu o każdej porze dnia i nocy.

Sir Richard uśmiechnął się nieznacznie.

— Bardzo słusznie, moja droga. Odzwyczaj go od tego jeśli możesz i zwróć na to uwagę, aby dziewczęta wychodziły z nim wszystkie razem.

Wiem, że potrafisz to przeprowadzić.

Wrócił do czytania swego listu, zerkając jeszcze niepewnie na zone. Lady Łucja westchnęła głośno.

— Ty nigdy nie przyjmujesz nic poważnie. Absolutnie cię ta sprawa nie obchodzi. Persis na szczęście trzyma się w oddaleniu od nich i prawdopodobnie dlatego on się nią bardziej interesuje.

Sir Richard zmarszczył brwi. Prawdą było, że Persis zawsze trzymali się w oddaleniu od jego córek, lecz nie był pewny, czy dzięki temu miała większe powodzenie. Persis była istotnie bardzo miłą dziewczyną, chociaż może zachowanie jej było zbyt sztywne. Zadowolony był w głębi duszy, że jego córki posiadały więcej swobody. Persis była o rok Starsza od starszej córki sir Richarda, Joan, a o dwa lata starsza od młodszej, jego ukochanej, zielonookiej, czarnowłosej Sally. Właściwie powinny przyjaźnić się ze sobą, ale usposobienia ich nigdy się nie zgadzały. Sally zapewniała ojca, że była między nimi różnica temperamentów, ale oczywiście ta siedemnastoletnia dziewczyna mało jeszcze знаła życie. Joan, która posiadała dużo spokoju i opanowania, twierdziła, że jej przyrodnia siostra jest przesadnym, małym głuptasem. Lecz i ona się myliła. Właściwie mało znały się z Persis, a ponieważ ich usposobienia były różne, więc nigdy nie pragnęły poznać się bliżej.

Przebiegła Sally była bardziej podobna do Persis niż jej siostra, lecz nie posiadała zbyt wielu sentymentów, podczas gdy Joan uważana była za dziewczynę o niezwykle dobrym sercu. Powtórne małżeństwo ojca było dla Joan kompletną tragedią i tylko jej wrodzone opanowanie powstrzymywało ją od niebezpiecznych może wybuchów.

Prowadziła czynny tryb życia poza domem, aby jak najmniej stykać się z macochą, pozostawiając Persis zaszczyt grania roli najstarszej córki państwa Harbridge. Nawet lady Łucja musiała przyznać, że najmniej kłopotu miała z Joan. Co do Sally, to była ona jeszcze w szkole i prawie wcale nie brano jej pod uwagę. Na szczęście nie mogło być mowy o rywalizacji tych dziewcząt z jej córką, z wyjątkiem kwestii spadku, o którym lady Łucja myślała niejednokrotnie z niepokojem. Aczkolwiek przyzwyczajona była do tej myśli, że córki sir Richarda mają pewne prawo do majątku swego ojca, to jednak uważała, że lwia część tego majątku

powinna kiedyś przypaść w udziale jej i Persis. Sir Richard jednak pod tym względem był nieugięty. Należał on do pewnego pokolenia ludzi, którzy nie lubią dyskutować na temat swego testamentu z nikim, oprócz własnego adwokata. Mimo swej dobroci i łagodności, posiadał niezbite zasady, jeżeli chodziło o jego majątek i przeważnie milczał na ten temat.

Jedyną nadzieją lady Łucji była myśl, że Persis zrobi doskonałą partię, nim jeszcze sir Richard przeniesie się do wieczności. Dziewczyna była jeszcze młoda, bo miała zaledwie lat dziewiętnaście, a już zwracała uwagę w kołach okolicznej młodzieży. Niestety dotychczas, dzięki staroświeckim zasadom sir Richarda, nie spędziła ani jednego sezonu w Londynie, do czego znów Joan absolutnie się nie garnęła. Lady Łucja postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby jej córka mogła na przyszły rok zabawić się trochę w Londynie. Utraciła wprawdzie wszelki kontakt ze swymi starymi przyjaciółmi, od chwili powtórnego wyjścia za mąż, lecz pokładała nadzieję w jednej ze swych dawnych przyjaciółek, która miała wkrótce wrócić ze Wschodu i prawdopodobnie zechce zająć się przyszłą karierą Persis. Persis była wszakże jeszcze nierozwiniętym pączkiem i mogła kilka miesięcy poczekać.

Pozostawała jednak kwestia, która dręczyła ogromnie lady Łucję i co do której zasięgała codziennych rad swego męża. Komplikował sytuację młody Beresford Vane. Ten chłopak ze swym nieokiełzanym temperamentem i dziwnym zachowaniem był po prostu niemożliwy i trudno było zerwać z nim zupełnie. Właściwie, jak zresztą również twierdził sir Richard, lady Łucja nie miała nic przeciwko niemu. Chłopak był dobrze wychowany i miał odziedziczyć pokaźny majątek. Wprawdzie nie posiadał tytułu, lecz zapowiadał się jak najlepiej i rodzina, z której pochodził, była ogólnie szanowana. Ojciec jego poległ w pierwszych dniach wojny europejskiej. Sam chłopak był zdrowy, pełen życia i chociaż lady Łucja nie była jeszcze zdecydowana, czy pragnie go dla Persis, sprawiłoby jej przykrość, gdyby którejś z jej pasierbic udało się schwytać go na męża. W głębi duszy nie wyobrażała sobie, aby mogło do tego dojść, lecz czasami drżała na samą myśl o tym. Beresford i Joan byli serdecznymi przyjaciółmi, a chłopak również lubił bardzo Sally, chociaż uważał ją jeszcze za dziecko. Właściwie u dziewcząt nigdy nic nie wiadomo. Mogą się śmiać ze spraw miłosnych, a nazajutrz oświadczyć rodzicom, że się zaręczyły.

Tak samo nikt nie znał dokładnie matki Beresforda. Zdawała się nie mieć pojęcia o sympatiach swego syna i nikt z nią o tym nie mówił. W gruncie rzeczy lady Łucja pragnęłaby bardzo zaprzyjaźnić się z tą kobietą. Podziwiała ją na swój sposób, lecz prawdopodobnie tylko dlatego, że nie posiadała nad nią moralnej przewagi. Podobno w żyłach matki Beresforda płynęła błękitna krew i aczkolwiek lady Łucja nigdy nie widziała genealogicznego drzewa rodziny Vane'ów, to jednak pewna była, że wywodziło się ono z książęcego rodu. Stary admirał Vane-Trafford, wuj matki Beresforda, był okazem typowego patrycjusza. Wskazywały to szlachetne rysy twarzy i arystokratycznie zaciśnięte usta. Chociaż miał już przeszło osiemdziesiąt lat, sprawował kuratelę nad matką Beresforda i nim samym.

— Obydwaj z Berryem rozumiemy się doskonale — twierdził starzec z uśmiechem i posiadał swoisty sposób postępowania z chłopcem, który rzadko go zawodził. Przyzwyczajony był do współżycia z mężczyznami i Beresford darzył go głębokim szacunkiem, który posiadał dla starego wuja od najdawniejszego dzieciństwa. Aczkolwiek otrzymywał od niego dość srogie kary, nigdy nie narzekał na niesprawiedliwość. Admirał Vane-Trafford był na ogół dobrotliwym człowiekiem i zawsze dotrzymywał słowa, chociaż nieraz dużo czasu upłynęło między obietnicą i wykonaniem kary czy nagrody.

Pewnego razu przed kilku laty młody Beresford odkrył w sobie talent podrabiania charakterów pisma i wysłał ze szkoły list do wuja, pisany jakby własnym charakterem admirała. Admirał odpisał odwrotną pocztą, komunikując, że jeżeli chłopak raz jeszcze odważy się na coś podobnego, poniesie karę przy pierwszej sposobności. Beresford zdziwiony był nieco tym oburzeniem starca, przejęty swoją zdolnością, którą podziwiali wszyscy jego koledzy. Buntowany przez nich, napisał powtórny list tym samym charakterem. Na ten list nie otrzymał żadnej odpowiedzi i bezkarnie podrabiał charakter pisma wszystkich, mając zupełną swobodę aż do wakacji.

Dopiero potem, ku jego wielkiemu zdziwieniu, nadszedł odwet. Po przyjeździe do Lacy Denham został wezwany natychmiast do gabinetu admirała, gdzie otrzymał obiecaną karę, która była bardziej sroga od tych wszystkich, jakie mu dotychczas wyznaczano. Przygnębiony i wytracony z równowagi, usiłował domagać się wytłumaczenia, lecz

nie otrzymał go i został odesłany do swego pokoju, nie mogąc już nic powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Ostatnią kroplą goryczy był fakt, że podczas następnych kilku dni admirał nie pozwolił matce zbliżyć się do chłopaka, a to było dla Beresforda rzeczą najgorszą. Matka podczas wakacji była jedyną jego towarzyszką i pocieszycielką.

Wreszcie pewnego wieczoru przyszedł do niego wuj i oświadczył krótko, że musi złożyć uroczystą przysięgę, iż nigdy już nie będzie podrabiał charakterów pisma, co admirał uważał widocznie za karygodną zbrodnię. Beresford, jeszcze bardzo przygnębiony, usiłował tłumaczyć się, lecz słowa jego nie oddziaływały na starca, który spacerował miarowym krokiem po pokoju wówczas, gdy Beresford siedział na krawędzi łóżka, pogrążony w rozpacz.

Wypadek ten minął, lecz wrażenie po nim pozostało niezatarte. Od tego dnia Beresford uprzytomnił sobie, że stary marynarz jest panem jego życia i śmierci i przez resztę lat przebytych w szkole, nigdy nie zdobył się na żadne odważniejsze posunięcie. Tłumaczył sobie tylko że admirał Vane-Trafford nie czynił nic z prostego kaprysu i chociaż darzył go raczej szacunkiem, niż miłością, to jednak szacunek ten zachował nadal, mimo chwilowego rozczarowania. Szanował admirała prawie w taki sam sposób, jak szanował pamięć swego ojca, ojca, którego prawie wcale nie pamiętał, który poległ za swą ojczyznę w pierwszych dniach wojny. Przez pamięć dla ojca, o którym matka lękała się wspominać, Beresford zachowywał się jak rycerz, któremu nie wolno czynić nic, co jest nieuczciwe. Ponieważ ojciec jego poległ szlachetną śmiercią, na Beresforda spadała odpowiedzialność za honor rodziny i odpowiedzialność tę przyjął z dumą na swe barki. Ojciec jego, jak wielu innych żołnierzy z końca świata, poszedł na front, aby oddać swe życie za króla i ojczyznę. I Beresford na pewno uczyniłby to samo.

Chłopak odznaczał się dobrocią i odwagą, lecz często te dwie zalety przygasały pod wpływem lekkomyślności i braku konsekwencji, których potem bardzo żałował. Był zapalonym patriotą i kiedyś pragnął nawet wstąpić do wojska, jednakże matka i admirał sprzeciwili się temu, a on sam wkrótce przejął się pragnieniem wzięcia czynnego udziału w życiu politycznym. Postanowił kształcić się cierpliwie, będąc pewnym, że za kilka lat będzie się mógł oddać pracy na polu polityki, czemu admirał nie oponował.

W głębi duszy starzec przywiązany był do chłopaka na swój sposób. Pochwalał jego sportowe zapęły i nigdy mu nie bronił niczego jeżeli chodziło o sport. Z przyjemnością myślał o tym, że Beresford wyrósł pod jego wpływem, a teraz, kiedy chłopak za rok miał się stać pełnoletni, dawał mu już trochę więcej swobody. Nie można było zaprzeczyć, że Beresford rozwijał się doskonale. Był uczciwy, nieustraszony i posiadał młodzieńczy zapał. Aczkolwiek mogły mu grozić niebezpieczeństwa z rozmaitych stron, admirał Vane-Traffordi w którego żyłach płynęła błękitna krew, doszedł do wniosku, że nie miał w danej chwili żadnych przyczyn do niepokoju. Chłopak posiadał instynkty prawdziwego gentlemana i na pewno nigdy nie zboczy z prawej drogi, posiadając mocne zasady. Co do przyjaźni jego z córkami sir Richarda Harbridge, admirał nie interesował się tym zbyt. Posiadał pewne zastrzeżenia, jeżeli chodziło o lady Łucję, lecz przekonał się, iż pochodzi ona z dobrej rodziny i nie miał żadnych obaw o stosunki swego siostrzeńca z dziewczętami z dworu Harbridge. Traktował je jak towarzyszkę polowań i innych gier towarzyskich, które z takim entuzjazmem uprawiał Beresford i które zasnuwały pewną mgłą jego marzenia o polityce. Nie, stanowczo chłopak w danej chwili nie czynił nic złego. Admirał Vane-Trafford był z siebie najzupełniej zadowolony.

— Wiesz, moja droga — rzekł sir Richard, doczytując do końca niepostrzeżenie swój list—ja bym się tym nie martwił, będąc na twoim miejscu. Trzeba zostawić wszystko czasowi!

— Twoja stała śpiewka! — oburzyła się lady Łucja. — A jeżeli coś się stanie, to co wówczas zrobimy? Sir Richard zwrócił się do niej z figlarnym błyskiem w oczach.

— Identycznie to samo, co robimy teraz — odparł. — Pozwól im samym załatwić te sprawy.

— Ty wszystko łatwo bierzesz — westchnęła małżonka. — Nie orientujesz się, jak trudno zapobiec niebezpieczeństwu, jeżeli się nie posiada odrobiny przezorności.

Sir Richard wstał z fotela. Bezużyteczne było przeciąganie tego tematu, a istniało przecież mnóstwo spraw które go bardziej interesowały.

— Dobrze, dobrze! — rzekł swobodnie. — Omówimy tę kwestię innym razem. Jediną winą młodego Berry jest jego młodość, a przecież chłopak z każdym miesiącem poważnieje. Nie rób z tego tragedii. Teraz muszę zajrzeć do Pinfolda i dowiedzieć się, czy kazał przystrzyc drzewka.

Otworzył drzwi i pocałował przelotnie żonę z wesołą lekkomyślnością. Przyjemnie było całować tę gładką atlasową twarz, którą lady Łucja potrafiła pielęgnować z artyzmem.

Nie uczyniła żadnego ruchu, aby go zatrzymać. Jaki mogła mieć z tego pożytek? Jego wrodzony optymizm zawsze był jednaki i nigdy nie brał sobie do serca żadnego zmartwienia. Zresztą w danej chwili te sprawy, które ją przygnębiały, były jeszcze świeże, wszelaka interwencja mogłaby tylko wszystko zepsuć. Poza tym nie należało podejrzewać, że Beresford zawiedzie nadzieje i przestanie adorować Persis.

Słyszając dźwięki fortepianu w dużym salonie, lady Łucja skierowała się w tę stronę. Weszła do obszernego pokoju i przystanąła. Persis siedziała przy fortepianie w odległym kącie pokoju, a wiosenne promienie słońca padały przez okno na jej smukłą postać. Jej włosy w refleksie słonecznym płonęły odcieniem rozpalonej miedzi.

— Cóż za piękny obrazek! — szepnęła matka do siebie z prawdziwą dumą. W tej chwili gotowa była zapomnieć, że Persis była dla niej czymś więcej niż uroczą postacią na obrazku, która przykuwała do siebie jej wzrok.

Tak, Persis posiadała urok i przypominała zupełnie swą matkę, wówczas gdy ta była jeszcze bardzo młoda. Miała klasyczne rysy twarzy, a oczy jak ciemne niezapominajki, ciemniejsze jeszcze od oczu lady Łucji. Prześlicznie wykrojone usta, nie stworzone jednak były do uśmiechu.

Grała teraz niedbale francuską serenadę, dotykając zaledwie palcami klawiszy. Posiadała specjalne zdolności do lekkiej muzyki i nigdy nie interesowała się żadnym poważniejszym utworem. Gdy lady Łucja postąpiła kilka kroków naprzód, Persis odwróciła głowę, spoglądając na matkę, lecz nie przerywając na chwilę melodii.

— Sądziłam, że już nigdy nie przyjdiesz — rzekła. — Zapomniałaś o tym, że jesteśmy zaproszone na herbatę do admirała?

Wypowiedziała te słowa tonem kapryśnym, kończąc serenade kilkoma mocnymi akordami, które zagłuszyłyby na pewno odpowiedź matki. Potem opuściła ręce na kolana i siedziała bez ruchu, jakby oczekując wyjaśnień.

Lady Łucja zmarszczyła nieznacznie brwi. Były chwile, kiedy buntowała się przeciwko własnej córce, przeciwko jej kapryśnym wystąpieniom, lecz nie potrafiła ich ukrócić. Persis była jej ideałem od dzieciństwa i pozostała tym ideałem dotąd.

— Niestety nie mogłam przyjść wcześniej, kochanie — usprawiedliwiała się — musiałam pomówić z twoim ojcem.

— Ach, ty nigdy nic nie możesz — rzekła Persis z zupełnie widoczną ironią. Zawsze przemawiała w ten sposób do matki, nie lękając się reakcji z jej strony. Lady Łucja tolerowała te kaprysy swej córki, chociaż na pewno nikomu innemu na coś podobnego by nie pozwoliła. Persis posiadała specjalne przywileje, urodziła się po to, żeby rozkazywać.

— Ogromnie mi przykro, kochanie — wyszeptwała matka. — Nie orientowałam się, że to już tak późno. Musimy jechać prosto do Lacy Denham. Przebiorę się natychmiast, moja droga. Nie potrwa to długo.

Persis podniosła się z fotelika. Miała zgrabną dziewczęcą figurkę i poruszała się jak prawdziwa księżniczka.

— Chyba przez całe życie będę czekać na ciebie, mamó — rzekła. — Ja jestem zupełnie gotowa. Włożę tylko płaszcz i kapelusz.

— Wiem o tym, kochanie, ale muszę przecież włożyć wizytową suknię — odparła lady Łucja, dla której wizyta nawet u najbardziej serdecznej przyjaciółki była życiowym wydarzeniem. — Nie mogę przecież w takim stroju pokazać się w Lacy Denham. Byłam pewna, że zaprosili nas na jutro.

— Nie, nie! Na dzisiaj! — oznajmiła Persis niecierpliwie. — Nie myśl, że mam taką ochotę tam pójść, ale Beresford obiecał mi, że wróci

na herbatę. Obiecał na pewno wrócić natychmiast po polowaniu. Prawdopodobnie dotrzyma słowa.

— Jestem przekonana, że dotrzyma — rzekła lady Łucja, kierując się ku drzwiom. — Chociaż mam nadzieję, że nie jest on jedynym młodzieńcem na świecie.

— Nie. Jest jeszcze młody Croy — uśmiechnęła się Persis, krzywiąc nieprzyjemnie twarz.

— Och, moja droga! Nie marszcz tak twarzy! — rzuciła lady Łucja przez ramię. — Brzydko ci z tym.

Persis zaśmiała się, choć twarzyczka jej poszarzała nagle.

— On jest dobry tylko do tańca — oznajmiła, przeciągając się leniwie. — Trzeba przyznać, że tańczy doskonale. Lady Łucja powstrzymała drżenie.

— Mam nadzieję, że w przyszłym roku będziesz miała większy wybór, kochanie — rzekła dyplomatycznie, wychodząc z pokoju.

— W przyszłym roku! — powtórzyła Persis głośno.

Podeszła do okna i otworzyła je, spoglądając niezadowolonym wzrokiem na ogród. Dużo jeszcze czasu musi upłynąć do przyszłego roku. Gdyby nie chodziło o Beresforda Vane, nie zniosłaby dłużej tego monotonnego życia. Był on niby meteor, rozjaśniający od czasu do czasu mroczną przestrzeń. Tak samo jak matka i ona nie miała najmniejszej ochoty pozostawić go swym przyrodnim siostram, dopóki nie miała pewności, że przestaje się nią interesować.

Hołdy Beresforda były jednak rzeczą bardzo przyjemną. Przyjemnie było również myśleć, że swym urokiem mogła mieć przewagę nad nim i on pod wpływem tego uroku mógł leżeć u jej stóp. Lubiła, gdy się dla niej poświęcano. W każdym razie należało sobie uprzyjemnić czas do przyszłego roku.

— Mama jest taka niemądra — myślała, stojąc przy oknie, niby pięknie malowany obrazek w kamiennej szarej ramie okiennej witryny. — W każdym razie powinno się korzystać ze sposobności i brać wszystko, co daje życie. Jak kiedyś pojedę do Londynu, to nikt nie powie, że jestem prowincjonalną gąską.

W tej samej chwili jakiś szmer doszedł jej uszu z gęstych zarośli ogrodu i coś małego, okrągłego uderzyło ją w twarz, po czym spadło na posadzkę i potoczyło się do jej stóp. Cofnęła się z głośnym okrzykiem, chwytając się za policzek. W ogrodzie panowała znów cisza, lecz ją przejął gniew i pełnym wściekłości ruchem zamknęła okno.

— To była Sally! Jestem pewna, że to Sally! — rzekła, pochylając się, aby podnieść ów tajemniczy przedmiot. — Musi być za to ukarana.

W odległości kilku kroków od okna dostrzegła małe wysuszone ziarnko grochu, twarde niby nabój rewolwerowy.

— Jak ona śmiała! Jak śmiała! — oburzyła się Persis.

Nigdy nie lubiła specjalnie swej młodszej przyrodniej siostry i to-

lerowała ją tylko. Maleńkie ziarnko grochu, które trzymała w tej chwili w dłoni, przeistoczyło ją w zaciętego wroga Sally. Przez chwilę gniew jej był tak wielki, że aż odzwierciedlił się na twarzy. Stała zarumieniona bez ruchu.

Zorientowała się jednak, że nie należało biec do ogrodu i szukać sprawczyni tego zamachu, bo wydawałaby się wszystkim Śmieszna. Sally zresztą była zręczna jak sarna i prawdopodobnie już dawno znajdowała się w takim miejscu, w którym nie mogła zostać skompromitowana. Persis nie była pewna, czy Sally ma procę, lecz po tej dziewczynie można się było wszystkiego spodziewać. Na pewno nie odważyłaby się na coś podobnego względem innych osób, ale Persis była przygotowana zawsze na najgorsze ze strony swej młodszej siostry. Sally wiedziała, że Persis nie potrafiłaby jej ukarać.

Postanawiając jednak wykorzystać tę okazję i dać odpowiednią nauczkę Sally, Persis położyła ziarnko grochu na paterze małego hinduskiego bożka, stojącego na kominku.

Gniew nie opuścił jej nawet wówczas, gdy kładła kapelusz, udając się na popołudniową wizytę z matką, i nawet spojrzenie do lustra podczas tej ceremonii, nie przywróciło jej dawnego dobrego humoru. Maleńki ślad na policzku był ciągle jeszcze widoczny i Persis usiłowała mocnym pocieraniem pozbyć go się raz na" zawsze. Oczywiście ten wyczyn był wyrazem zazdrości ze strony Sally. Dziewczyna musiała być niezwykle uradowana, że zeszpeciła choć na krótko piękną twarz t swej przyrodniej siostry.

Potała jeszcze raz policzek przed wyjściem z pokoju do hallu, w którym czekała matka.

— Moje drogie dziecko! Co ci się stało? Czy to komar cię ugryzł? Persis postanowiła wyjaśnić sprawę, mając z tego jakąś złośliwą przyjemność.

— Nie, mamó. To coś o wiele gorszego. Otworzyłam okno w muzycznym pokoju i ktoś, oczywiście na pewno Sally, wycelował do mnie z procy suszonym grochem. Uważam, że to było karygodne z jej strony i że powinna za to odpokutować.

— Moja najdroższa! — biadała lady Łucja. — Cóż za okropny wybryk! Jakże można było cię tak zeszpecić! Pewna jesteś, że to zrobiła Sally?

— A któż inny mógłby się na to odważyć? — zapytała Persis niechętnie. — Ona jedna w naszym domu ma narowy chłopca!

— Nie widziałaś jej? — zapytała lady Łucja jeszcze ciągle niespokojna, że ów ślad może zeszpeciść twarzyczkę jej córki.

— Nie. Nikogo nie widziałam. Lecz któż by się na to zdobył? — Persis potarła znowu policzek drżącą dłonią.

— Daj spokój, kochanie! Możesz sobie jeszcze zaszkodzić — prosiła lady Łucja. — Musimy już wyjść, nieprawdaż? Może zawołać Sidonię, żeby ci ten ślad przypudrowała?

— Nie, mam, nie! Nie rób z tego takich sensacji. — Persis siliła się na spokój. Uważała, że bardziej jej będzie do twarzy w roli męczennicy. — To trochę boli, oczywiście, ale mam wrażenie, że przejdzie. Taki ból można wytrzymać. Chodźmy już!

— Nie jestem pewna, czy powinniśmy pójść — rzekła lady Łucja.

— Musimy koniecznie — oświadczyła stanowczo Persis. — Oczekują nas, a Berry na pewno będzie wcześniej w domu, bo spodziewa się mojej wizyty.

— Joan jeszcze nie wróciła — wtrąciła lady Łucja. — Byłaby już w domu, gdyby polowanie się skończyło.

— Och, co mnie obchodzi Joan! Kto się o nią troszczy? — zaprotestowała córka niecierpliwie. — Mówię ci, że Berry zeszłej niedzieli był przy tym, jak matka nas zapraszała i na pewno wziął to pod uwagę. Jestem przekonana, że będzie w domu.

— Dobrze, dobrze, kochanie! — Lady Łucja nigdy nie sprzeciwiała się kaprysom swego dziecka. — Jeżeli ci tak zależy na Berry'm, to oczywiście zaraz pojedziemy. Mam jednak nadzieję, że nie liczysz nań zbyt wiele. Byłoby z twej strony lekkomyślnością, gdybyś zajęła się kimś poważnie przed wyjazdem do Londynu.

— Ależ zawsze będę mogła się go pozbyć — odparła Persis z uśmiechem, sadwiąc się w powozie przy boku matki.

— Ponieważ każdy musi mieć jakieś urozmaicenie w życiu. Samo życie jest takie nudne. Po prostu trudno znaleźć tutaj kogoś, z kim można by było pomówić.

— Wiem, kochanie. Szczególnie trudno takiej dziewczynie, jak ty. — Lady Łucja uważała się za świetnego psychologa. — Ale nie trać nadziei! Jestem pewna, że przy odrobinie cierpliwości otrzymasz zasłużoną nagrodę.

Persis wydeła swe czerwone usteczka, lecz przyjęła słowa matki bez oburzenia.

— Zdaje się, że masz słuszość mamó — rzekła niedbała, Wiem, że jestem młoda i że powinnam najpierw zobaczyć świat.

Ale jeszcze...

— Przyjdzie i na ciebie pora, dziecino — zapewniła matka z powagą. — Możesz sobie pozwolić na to, aby trochę zaczekać. Każdy cł to samo powie.

Persis przejrzała się w małym lusterku, wiszącym w powozie i uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

— I to racja — przyznała. — Taka stara jeszcze nie jestem.

* **

Kobieta, która powitała je w obszernym salonie admirała Vane-Trafforda, była wysoka, szczupła i bardzo opanowana. Lady Łucja nie potrafiła powiedzieć czy ją lubiła, lecz musiała przyznać, że żywiła dla niej jakiś dziwny szacunek. Była ona jedyną z niewiast, na którą lady Łucja nie miała żadnego wpływu. Sylwia Vane znana była z tego, że traktowała wszystkich jednakowo, z chłodną godnością, która ją cechowała. Była uprzejma dla swych gości, lecz nigdy zbyt wylewna. Znane było ogólnie jej przywiązanie do syna, lecz poza tym nikt jej samej dobrze nie znał. Niczyja ciekawość nie mogła przeniknąć do wnętrza tej kobiety, toteż nie krążyły o niej żadne plotki. Wiadomo było, że Sylwia Vane nie liczy się z opinią nawet tych ludzi, z którymi utrzymuje kontakt towarzyski. To zjawisko najbardziej denerwowało lady Łucję. Zawsze była przyjmowana w Lacy Denham uprzejmie, lecz nie okazywano jej nigdy zbyt serdeczności. Nie mogła nawet liczyć na to, że pani Vane nakłoni Beresforda do żywszego zajęcia się piękną Persis. Sylwia z niezwykłą obojętnością patrzyła na te rzeczy. Nie znaczy to, że była obojętna, jeżeli chodziło o szczęście jej syna, lecz prawdopodobnie nie miała zamiaru narzucać mu swego zdania. Możliwe nawet było, że w głębi duszy nie pragnęła znowu tak bardzo, związku swego syna z Persis i to podejrzenie ogromnie niepokoiło lady Łucję. Nie mogła jednak nie darzyć szacunkiem kobiety tak dobrze wy-

chowanej i posiadającej tak wysoki intelekt, chociaż ta traktowała ją bez specjalnego entuzjazmu. Sylwia Vane musiała stanowczo mieć jakieś ciężkie przejścia w życiu, lecz jakiego rodzaju były te przejścia, nikt nie miał pojęcia. Pełne rezerwy zachowanie się Sylwii Vane uniemożliwiało wszelkie pytania. Niektórzy twierdzili, że strata męża na wojnie złamała jej życie i że ten pozorny spokój i chłód był niejako osłoną tego, co się działo w głębi jej duszy. Wuj Sylwii, admirał Vane-Trafford, nigdy nie przeczył tym pogłoskom i niemal wszystkim dawał do zrozumienia, że małżeństwo siostrzenicy nie zostało zawarte za jego aprobatą. Nieboszczyk Ronald Vane był jego siostrzeńcem i spadkobiercą i właściwie nic nie miał przeciwko niemu. W gruncie rzeczy jego życiowa kariera, aczkolwiek tak krótka, pełna była szlachetnych czynów, które wzbudzały teraz taką dumę w młodym Beresfordzie, szanującym pamięć ojca. Dawny portret zmarłego wisiał w mrocznej jadalni Lacy Denham i każdy mógł zauważyć podobieństwo rysów między zmarłym i obecnym spadkobiercą posiadłości. Lecz dziwne, że tylko Beresford interesował się tym portretem. Matka jego, a przecież to ona nauczyła go szacunku dla pamięci ojca, zawsze siedziała przy stole zwrócona plecami do portretu.

Chłopak często zastanawiał się nad tym, czy nie można by portretu przenieść do salonu. W Lacy Denham rzadko jednak coś zmieniano. Nawet nowych firanek nie wolno było zawiesić bez wiedzy admirała. Widocznie admirał nie lubił żadnych zmian ani ulepszeń. Beresford kochał ten dom takim, jakim on był i gdy pragnął pozostać „sam na sam ze swym ojcem”, przychodził zawsze do jadalni wówczas, gdy nikogo nie było w domu.

Co do matki, to wiedział, że jest nieco chłodna, że rzadko kiedy nawet z nim potrafi mówić, choć orientował się, że kochała go bardzo. Oczywiście przez całe niemal życie nosiła w sercu jakiś ból. Każda kobieta odczuwałaby ten sam ból, będąc na jej miejscu. To, że Beresford nie widział swego ojca jeszcze na cztery lata przed wojną i prawie go wcale nie pamiętał, tłumaczone było okolicznościami, że ojciec zajmował jakieś ważne stanowisko w Persji i bezpośrednio stamtąd pojechał na front, gdzie poległ. Beresford był w tym czasie w szkole i nie miał sposobności zobaczyć się z ojcem przed jego śmiercią. Twarzy jego nie pamiętał prawie wcale, a portret wiszący w jadalni, jego zdaniem

był stanowczo nieudany. Podobno ojciec nie lubił się fotografować, co dla młodego Beresforda było jeszcze jedną oznaką jego wielkości. Sam rzadko kiedy decydował się stanąć przed aparatem fotograficznym mimo nalegań matki. Chociaż kochał ją bardzo, to jednak pod tym względem miał do niej odrobinę żalu.

Zasadniczo Sylwia Vane do niczego nie zmuszała swego syna. Może czasami nie pochwałała jego pragnień, lecz nigdy mu niczego nie zabraniała. Usiłowała wyrobić w nim samodzielność i od najdawniejszych lat pozostawiała mu zupełną swobodę. Nigdy nie wtrącała się w niesnaski, jakie miały miejsce między Beresfordem i admirałem, wiedziała bowiem, że na wuja swego wpłynąć nie potrafi. Admirał, jeżeli chodziło o wychowanie siostrzeńca, rzadko kiedy liczył się ze zdaniem jego matki i samorzutnie wyznaczał mu odpowiednie kary. Zresztą zarówno dla Beresforda, jak i dla jego matki autorytet admirała był rzeczą najważniejszą. Admirał nie znosił żadnych sprzeciwów, nie zniósłby również, gdyby Sylwia Vane usiłowała przekonać go o jakiejś niesłuszności. Mimo to jednak siostrzenica uważana była za panią domu w Lacy Denham i to podnosiło ją jeszcze bardziej w oczach lady Łucji, wzbudzając w jej sercu podświadomą zazdrość. Sylwia Vane posiadała niezwykłą prezencję, wrodzoną dystynkcję i ukrytą siłę charakteru, którą nie każda kobieta mogłaby się poszczycić. Była spokojna, opanowana i pełna godności, czego lady Łucji nikt nie przyznawał. Owego słonecznego popołudnia, kiedy wiosna dawała już znać

o sobie, gdy lady Łucja weszła do salonu w Lacy Denham, odczuła od razu wyższość Sylwii Vane nad sobą. Musiała być jakaś ukryta przyczyna tego zachowania się gospodyni. Sylwia Vane nie posiadała przecież pieniędzy, a Beresford nie posiadał legalnego prawa do majątku swego wuja, lecz mimo to lady Łucja miała to przeświadczenie, że kobieta o takiej sile charakteru, jak Sylwia Vane, potrafi mocno stać na swoim stanowisku.

Takie dziwne myśli przebiegały przez głowę lady Łucji, gdy obydwie z córką usiadły w salonie naprzeciw tej wysokiej, smukłej kobiety

i poczęły rozmawiać o pogodzie. Nastrój był dziwnie sztywny i chłodny. W takiej atmosferze nie wiadomo czego należy oczekiwać. Nawet promienie słoneczne, wnikające przez okno, były jakieś chłodniejsze i bledsze. W Anglii przeważnie są takie pogody, lecz sir Richard należał

do tych ludzi, którzy nigdy nie odczuwają zimna i na pewno nie zgodziłby się gdzieś wyjechać, nawet gdyby żonie ten wyjazd potrzebny był dla zdrowia. Prawdopodobnie admirał posiadał takie same zapatrywania.

— Właściwie sama nie wiem — rzekła siostrzenica admirała swoim chłodnym, spokojnym głosem. — Nigdy nie mówiliśmy o wyjeździe za granicę.

— Moja droga pani Vane, nie rozumiem, jak pani może znieść takie życie — zaprotestowała lady Łucja. — Obydwie z Persis nie lubimy ogromnie Anglii zimą.

— Właściwie nie ma tu co robić — wtrąciła Persis łagodnie. — Zaledwie sześć dancingów od Bożego Narodzenia! Dla Jpan to wszystko nie posiada żadnego znaczenia. Ona ciągle poluje.

— Jestem niezmiernie zadowolona, że ty nie polujesz, kochanie — rzekła lady Łucja. — Nie miałabym ani jednej spokojnej chwili. Persis nie jest taka silna — dodała, zwracając się do gospodyni — wszelki sport na pewno by jej nie służył.

— To jest kwestia przyzwyczajenia — odparła Sylwia Vane tonem, który nie zdradzał ani zainteresowania, ani obojętności. — Mój wuj jest już przecież starszym człowiekiem, a chętnie jeszcze poluje.

— Admirał jest nadzwyczajny na swój wiek — przyznała lady Łucja. — A Beresford, czy dziś wybrał się także na polowanie?

Błady uśmiech rozjaśnił twarz gospodyni.

— O, tak. On by nie opuścił ani jednego polowania. Poluje regularnie dwa razy w tygodniu podczas wakacji.

— A nigdy nie jest pani o niego niespokojna? — zagadnęła lady Łucja. — On jest taki nieostrożny.

— Sądzę, że jest równie bezpieczny na siodle jak w powozie — rzekła pani Vane. — Nie mam żadnych powodów do niepokoju. Jestem przyzwyczajona do jego eskapad.

Persis ziewnęła ukradkiem.

— Mam nadzieję, że wkrótce tu będzie. Deszcz pada coraz większy.

— Nie będziemy czekać na niego z herbatą — zauważyła pani Vane, przyciskając guzik dzwonka.—Wuj lubi ogromnie punktualność, a jego pełnomocnik, pan Morton, który przyjechał dzisiaj rano, będzie miał niedługo powrotny pociąg.

Persis rozejrzała się dokoła z niezadowolaniem. Właściwie brzydko było ze strony Berry'ego, że nie wrócił jeszcze do domu, aby je powitać. Mówiła mu przecież o zamierzonej wizycie, a on z ręką na sercu przyrzekł, że będzie na pewno w domu. Wprawdzie nigdy go na serio nie brała, lecz tym razem miała wrażenie, że dotrzyma obietnicy. Phil Croy na pewno by jej nie zawiodł nie biorąc pod uwagę tego, że był tylko synem zamożniejszego kupca w sąsiednim mieście. A może właśnie dlatego! Usiłowała odegnąć tę myśl, po chwili zaś zajęła się rozmyślaniami nad tym, jak by ukarać Beresforda. Nie pozwoli lekceważyć się żadnemu mężczyźnie, staremu czy młodemu.

Słyszała, jak matka prowadziła dalej rozmowę z panią Vane w swym zwykłym salonowym stylu. Lady Łucja posiadała umiejętność podtrzymywania rozmowy, a Sylwia Vane była wdzięczną słuchaczką, przynajmniej taką wydawała się na pozór.

Podano herbatę, a po krótkiej chwili wszedł do salonu admirał i wysoki chudy adwokat, pan Morton.

Admirał był średniego wzrostu, lecz dobrze zbudowany i poruszający się ze swobodą. Miał ogorzałą twarz, siwe, krzaczaste brwi i błękitne oczy, którymi spoglądał na świat z zuchwałością. Wiele ludzi odczuwało lęk przed admirałem, on zaś ze swej strony nie bał się nikogo i wyruszyłby na najbardziej niebezpieczną wyprawę bez chwili wahania.

Pozdrowił lady Łucję z uprzejmością, którą zawsze darzył obcych ludzi, uprzejmością która nie miała nic wspólnego z jego sercem, po czym odwrócił się i obojętnie przedstawił paniom swego towarzysza.

Pan Morton zdawał się być zmęczony i trochę zażenowany. On również był uprzejmy, lecz jakby zatopiony w myślach o czymś dalekim. Persis, przy której zajął miejsce, spoglądała nań bez specjalnego zainteresowania. Lady Łucja wszczęła znowu rozmowę, wciągając w nią admirała i usiłując utrzymać sympatyczny nastrój. Wszyscy zebrani przy stole dołączyli się do rozmowy, lecz właściwie rozmawiano o rzeczach nieważnych.

Sylwia Vane nalewała herbatę, a pan Morton wstał, aby ustawić filiżanki przed gośćmi. Skorzystał widocznie z tego, bo po chwili usiadł już na innym miejscu, pozbywając się towarzystwa milczącej Persis.

Admirał, uczyniwszy nieznaczny grymas, który był znakiem, że nie pochwalał taktyki swego adwokata, zajął jego miejsce przy boku

dziewczyny. Twarz Persis rozjaśniła się w tej chwili, bo admirał mimo podeszłego wieku, był w każdym towarzystwie chętnie widziany. Nic dziwnego, że Persis wolała jego sąsiedztwo, niż sąsiedztwo zadumanego pana Mortona.

Pierwsza uwaga admirała przygasiła jakoś dotychczasowe poczucie odwagi Persis.

— I cóż, młoda damo, nie zabrali pani z sobą na polowanie? Nie wciągnęli pani jeszcze do sportu?

Uśmiechnęła się doń roziskrzonymi oczami.

— To nie byłoby takie łatwe, admirale. Sport absolutnie mnie nie interesuje. Nie znoszę błota i fizycznego zmęczenia.

— Jest pani zbyt kobieca — zauważył admirał z przekąsem. — Za to pani siostra, Joan, nie omija żadnego polowania.

— O, Joan! — Persis podniosła dumnie głowę. Chciała tym zaznaczyć, że właściwie Joan nie uważała za swą siostrę, lecz nie mogła zabronić tego admirałowi. — Ona jest typem męskim, nic ją nie przeraża.

Admirał zaśmiał się wesoło. Lubił dziewczyny odważne, toteż Joan cieszyła się jego sympatią.

— Nie znaczy to, żeby Joan mogła się mniej podobać mężczyznom. Ja osobiście ogromnie lubię wysportowane dziewczęta. Moim zdaniem kobieta również powinna zażywać ruchu.

— To znaczy, że przedkłada pan siłę fizyczną ponad umysłowość — zauważyła Persis.

— Albo odwagę ponad urodę! — dorzucił admirał. Wzruszyła ramionami z bladym uśmiechem, który wyrażał jakby niezadowolenie z tego niezręcznego komplementu.

— Bardzo smutno jest pomyśleć, że w obecnych czasach ktoś, posiadający urodę, nie może mieć żadnych szans powodzenia.

— Uroda zapewniała powodzenie tylko w dawnych bajkach — rzekł admirał. — Ręczę pani, że w życiu realnym nigdy uroda nie idzie w parze z cnotą.

Westchnęła, nie chcąc prowadzić dalej sporu.

— W każdym razie nikt nie może pana posądzić o pochlebstwo.

— Nie — odparł admirał. — Nikt mnie nigdy o to nie posądzał. Zawsze mówię to, co myślę.

— Musi pan być z tego znany! — mruknęła Persis, pijąc w zadowoleniu herbatę.

Admirał nie chciał wyrazić swej niechęci. Ta dziewczyna posiadała wystarczającą dozę impertynencji. Trudno byłoby ją utemperować.

— Istnieją takie cechy — rzekł — które, moim zdaniem, przyczyniają się do popularności człowieka. Uczciwość jest jedną z tych zalet.

— O tak, przyjemnie jest mieć opinię uczciwego człowieka, nieprawdaż? — zagadnęła Persis.

Admirał spojrział na nią. Jednak pomysłowa była ta mała, mimo swoich dziewiętnastu lat. Należało przyznać, że oprócz urody, posiadała jeszcze inne zalety. Była także sprytna, diabelnie sprytna. Lecz czy potrafiła poruszać również głębsze tematy, trudno byłoby osądzić z pierwszego wejrzenia. W każdym razie potrafiła wzbudzić jego zainteresowanie i postanowił obserwować ją nadal. W danej chwili nie myślał jeszcze o jej małżeństwie z Berry'm, lecz należało dowiedzieć się, czy chłopak zajął się odpowiednim dla siebie typem dziewczyny.

— Tak — rzekł wreszcie. — Lubię, gdy uważają mnie za takiego, jakim jestem. Nie potrafię okłamywać opinii. Ci, którzy mnie nie lubią, mogą przecież lubić innych ludzi.

— Ależ jestem pewna, że wszyscy pana bardzo lubią — zaprotestowała Persis. — Uczciwość jest zwykle najlepszą polityką, nieprawdaż?

Admirał znów na nią spojrział. Nie wiedział właściwie, jaką ma dać odpowiedź na tę uwagę.

Całkiem nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą adwokat, który podawał w tej chwili Persis paterę z ciastkami.

— Tak — rzekł ponuro — to jest szczerza prawda. Lecz na taki luksus nie każdy może sobie pozwolić.

— Przypuszczam, że gdyby mogli sobie na to pozwolić wszyscy, to na świecie nie byłoby adwokatów — zaśmiała się Persis.

Właściwie Persis bawiła się doskonale, pomimo zawodu ze strony Beresforda. Miała to przyjemne przekonanie, że wywarła pewne wrażenie na admirałach i że obydwaj panowie byli nią zajęci. Wiedziała, że

potrafi zainteresować mężczyzn swoją osobą, jeżeli tylko zada sobie trochę trudu. Kobiety należały do innej kategorii i nie warto było starać się o jakiegokolwiek względy z ich strony. Zresztą trudno było działać we wszystkich kierunkach, a zawsze lepiej specjalizować się w tym kierunku, do którego nakłania sama natura.

Persis zawsze ufała naturze. Była jej prawdopodobnie wdzięczna za to, że tak szczerze obdarowała ją urodą. Orientowała się doskonale, że zdobyła zainteresowanie admirała i to jej sprawiało przyjemność, bo uważała go za znawcę kobiet. Przecież zasadniczo mężczyźni byli wszyscy jednacy, bez względu na wiek i pozycję.

Herbatę wypito i pan Morton zaczął mówić o swoim pociągu, gdy nagle usłyszano pukanie do oszklonych drzwi salonu. Pukanie to zwróciło uwagę wszystkich. Lady Łucja krzyknęła z przerażeniem, co wywołało niechętnie mruczenie ze strony admirała.

Za drzwiami stały dwie postacie, znacząc się wyraźnymi konturami w mrocznym świetle zapadającego wieczoru. Jedna z nich pukała do drzwi z zupełną swobodą.

Pani Vane podniosła się od stołu.

— Prawdopodobnie zamknięte na klucz — rzekła, kierując się w tę stronę, aby otworzyć przybyszom.

Lecz Persis ją uprzedziła.

— Pani pozwoli! — zawołała. — Kto tam z nim przyszedł? Ach, to Joan!

Nuta niezadowolenia, która zabrzmiała w jej głosie, wywołała złośliwy błysk w oczach admirała. Ten okrzyk powiedział mu coś, czego pragnął się od dawna dowiedzieć.

Persis otworzyła drzwi i dwoje młodych weszło do pokoju.

— Jesteśmy strasznie ubłoceni — rzekła Joan.

Była to smukła dziewczyna, o smagłej, inteligentnej twarzy, której nie można było jednak nazwać piękną. Posiadała oczy przenikliwe i jasne, które zawsze patrzyły prosto przed siebie. Głos jej był głęboki i metaliczny. Miała w sobie coś z młodej Junony, dużą dozę opanowania i nieustraszonej odwagi.

— Właściwie nie powinniśmy tu wchodzić — dodała. — Jesteśmy strasznie brudni.

Pani Vane postąpiła kilka kroków na jej powitanie i ucałowała ją serdecznie. Zawsze lubiła Joan na swój spokojny, powściągliwy sposób.

— Wejdź, kochanie! Bardzo mi miło, że cię widzę — rzekła. Beresford wszedł za Joan i otoczył ramieniem szyję matki.

— Mnie także, cherie! — zawołał. — Czy z mego widoku też jesteś zadowolona?

Złajęła go z bladym uśmiechem.

— Mój drogi chłopcze, opanuj się! Mamy gości.

— Doskonale! — zawołał jeszcze głośniejszym głosem Beresford. Podszedł do lady Łucji i pocałował ją w rękę z rycerskością. Był to chłopak dwudziestoletni o ciemnych włosach i szarych, szczyrych oczach. Niezbyt wysoki, lecz dobrze zbudowany, poruszał się z tą nadzwyczajną swobodą, z jaką poruszają się ludzie dobrze wychowani. Śmiech jego rozlegał się srebrzystym echem wśród ponurych ścian Lacy Denham.

Przywitawszy lady Łucję, zwrócił się do jej córki:

— A jak się miewa nasza szanowna Persis? Serdeczne dzięki za otworzenie drzwi! Za dobre uczynki należy dziękować. Persis spojrzała na niego z pogardą. Najwidoczniej był w doskonałym humorze.

— Na Boga! — zawołał Beresford. — Co cię ugryzło w policzek? Persis spojrzała niechętnie i nie odrzekła ani słowa. Beresford ujął ją za ramiona i odwrócił ku światłu.

— Dziewczyno, jesteś zeszpecona na całe życie! — oznajmił.

— Berry! — zgromiła go matka.

— Beresford, opamiętaj się! — rozkazująco zawołał admirał. Lecz Beresford nie zwracał na żadne z nich uwagi. Spoglądał na dziewczynę roziskrzonym wzrokiem.

— Słuchaj, czy to cię nie boli? — zapytał, dotykając palcem jej policzka. — Cóż za okropny znak! Czy nie powinnaś poradzić się doktora?

Persis wybuchnęła nagle szalonym gniewem.

— Przecież to byłeś ty, nikt inny — zawołała.

— Jak to ja? — zdziwił się chłopak.

Odrzuciła w tył głowę, spoglądając nań z zabójczą pogardą.

— Tyś strzelał z procy suszonym ziarnkiem grochu, bo któż to mógł być inny?

— Moje drogie dziecko, nie mam w majątku procy! — zaprotes-

tował z miną najzupełniej niewinną. — Od czasu, gdy wuj Ned pozwala mi używać broni palnej, zarzuciłem wszelkie imitacje. Dlaczego obrażasz mnie takim posądzeniem, skoro ja zwróciłem się do ciebie z całą sympatią? Co to się stało? Gdzie byłaś wówczas? To pewno jakiś kłusownik. Harbin powiada, że ich jest mnóstwo w tych stronach. — Na pewno nie kłusownik! — odparła Persis, dotykając wciąż dłonią policzka. — To był ktoś w zaroślach przy domu, ty, albo Sally.

— Całe szczęście, że mnie o to nie posądzasz — odezwała się Joan. — Na Beresforda to nie wygląda. Nie podejrzewaj go o to.

Jej ton, aczkolwiek poważny, posiadał brzmienie pewnego rodzaju złośliwości. Wprawdzie mówiła chcąc uspokoić poszkodowaną, lecz Persis nie uwierzyła w to ani trochę.

Nie uwierzył w to również admirał! Całkiem nieoczekiwanie zabrał w tej chwili głos:

— Musimy dojść do sedna sprawy — oznajmił. — Panno Persis, jak to było? Proszę usiąść i opowiedzieć.

— Och, proszę pana! — odezwała się błagalnie lady Łucja. — Niech pan nie robi sprawy sądowej! Był to po prostu żart i na szczęście obyło się bez poważnych następstw. Sam pan przecież widzi.

Admirał zerknął na Persis, która uśmiechała się doń wesoło, dołączając się do prośby matki.

— To wszystko już minęło — rzekła. — Nie mówmy więcej o tym! Po prostu ktoś zrobił niezbyt udany żart.

— Nie pozwolę na to, aby tego rodzaju żarty wyczyniał mój siostrzeniec — zaprotestował admirał. — Zna on pod tym względem moje zdanie. Prawdopodobnie on był sprawcą tego wypadku. Beresford, co powiesz na swoje usprawiedliwienie?

— Jeżeli mi wuj powie, co takiego zrobiłem, to wtedy będę się usprawiedliwiał—odparł Beresford ze spokojem.—O co mnie oskarżają?

Persis chciała wszystko zatuszować. Była zaniepokojona tym, że sprawca zajścia stanie przed obliczem sprawiedliwości.

— Ach, ależ to nic strasznego! Naprawdę nic poważnego! Proszę nie mówić o tym! Nie mogę słuchać.

Usiłowała wykorzystać ten dzień, bo druga taka sposobność się już nie nadarzy. Admirał spojrział na nią poważnie i rzekł:

— Dobrze, dobrze! Ponieważ pani jest osobą poszkodowaną, może

pani w tej sprawie decydować. Nie mam zamiaru sprzeciwić się pani. Ale jeżeli ten chłopak zrobi pani jakąś nową przykrość, to proszę mi dać znać natychmiast!

— Wówczas otrzyma zasłużoną chłostę — odezwał się Beresford. — Mateczko droga, nalej mi herbaty, ale bardzo słabej! Moje nerwy stanowczo się wyczerpują.

Joan wybuchnęła śmiechem, którego dźwięk sprawił ulgę wszystkim zebranim.

— Ach, ty głuptasie! — zawołała. — Daj już temu spokój! Co pan sądzi o tym wszystkim, admirale? Przez cały dzień nie widzieliśmy ani jednego lisa!

Admirał zwrócił się do niej. On także bardzo lubił Joan.

— Nie mieliście wężu, przypuszczam — odparł. — Marnie idzie! Ten deszcz psuje wszystko. Trudno jest polować przy takiej pogodzie. Co! Pan już idzie, panie Morton? Sądzę, że mniej więcej wszystko panu powiedziałem. Wie pan, jak pragnę postąpić. Gdy otrzymam jakiegokolwiek informacje, natychmiast skomunikuję się z panem. Do widzenia!

Podał rękę adwokatowi bez specjalnej serdeczności. Całe jego zachowanie świadczyło, że nie jest dzisiaj specjalnie zadowolony ze swego pełnomocnika. Obojętność pana Mortona przy pożegnaniu z innymi osobami i pośpieszne jego wyjście świadczyły, że właściwie nie miał nic wspólnego z tym towarzystwem. Nikt z obecnych nie zwrócił na to specjalnej uwagi i ogólna rozmowa potoczyła się dalej, na chwilę tylko przerwana wyjściem adwokata.

Admirał zajął znowu miejsce między Joan i Persis i począł dalej z nimi rozmawiać, podczas gdy Beresford dotrzymywał towarzystwa lady Łucji i swej matce, zapomniawszy już zupełnie o poprzedniej przykrych rozmowie. Beresford z zapałem począł opowiadać o dzisiejszym polowaniu, a lady Łucja przysłuchiwała się jego słowom z uśmiechem. Wszyscy mężczyźni byli jednakowi. Richard był taki sam, lecz musiał się liczyć z wielu rzeczami, będąc członkiem parlamentu.

— O, ja tam nie chcę być członkiem parlamentu—oświadczył Beresford. — Lubię chwycić kłusowników, lecz później chętnie bym ich puszczał na wolność. Zamykanie ludzi w więzieniu jest rzeczą stanowczo nieprzyjemną.

— Więc puściłby pan takiego bezkarnie? — zapytała lady Łucja ze zdziwieniem.

— Nie, najpierw bym mu porządnie złoil skórę — odparł chłopak z energią. — Nie jestem znowu taki delikatny z nimi. Nie zamykałbym jednak do więzienia. Uważam, że państwo wówczas miałyby o wiele mniejsze koszta.

— Zaczekajmy aż Beresford zostanie premierem — wtrąciła Joan ze swego miejsca. — Jest zwolennikiem wszelakich reform. Wątpię jednak, czy zyskałby popularność wśród sfer prawomocnych. Władze nie lubią chłosty.

— Chłostałbym każdego złodzieja, niezależnie od jego pozycji — odparł Beresford. — Ale za to miałbym bardzo mało więźniów, zamykałbym tylko niebezpiecznych zbrodniarzy.

— A co z kobietami? — zapytała Joan. — Czy kobiety także otrzymywałyby chłostę?

— Owszem! Dlaczego nie? Oczywiście byłyby chłostane przez kobiety. To by im sprawiało jeszcze większy ból. — Odrzucił w tył głowę i wybuchnął głośnym śmiechem. — Byłoby to o wiele tańsze i bardziej efektowne.

— Pan stanowczo nadawałby się do średniowiecza — rzekła lady Łucja tonem niezbyt pochlebnym.

Odwrócił się do niej.

— Możliwe — odrzekł z prostotą. — Obawiam się, że staliśmy się zbyt skomplikowani i ulepszeni technicznie. Każdy, kto posiada trochę rozumu, może oszukiwać dzisiejsze prawo. Tylko znawcy mogą się na tym poznać.

— O, zawsze tak było — zaprotestowała lady Łucja. — Pamiętam wiele lat temu, jeszcze przed wojną, gdy Persis była maleńka, sprawę Cheverella. Nie, pan jej na pewno nie pamięta. Powiadają, że było to jedno z największych łotrstw w owym okresie. Nigdy nie zapomnę, jak mój pierwszy mąż nieboszczyk utracił dzięki tej aferze wielką sumę pieniędzy. Opowiadał, że oprócz małej rysy w tym oszukańczym mechanizmie, wszystko właściwie było w należyтым porządku. Twierdził, że tylko geniusz mógł się zdobyć na coś podobnego. Wszystko razem było strasznie zawikłane, a każdy poszczególny punkt wydawać się mógł zupełnie legalny.

— Cheverell? — zawołał Beresford. — Słyszałem gdzieś o nim. Lecz musiałem być wówczas taki mały jak Persis. I jaką karę mu wyznaczono? Czy go zabili?

— Napijesz się jeszcze herbaty, kochanie? — zagadnęła matka. — Może zjesz kanapkę?

Przesłał jej przelotne spojrzenie.

— Nie, dziękuję, mateczko. Nie będę miał apetytu do obiadu. Proszę, niech pani mówi, lady Łucjo! Chętnie posłucham historii tego łajdaka! Co on takiego zrobił? I jaką karę mu za to wyznaczono?

Lady Łucja uczyniła wymowny ruch ręką.

— To był unikat, mój drogi chłopcze. Cała Anglia, można powiedzieć cała Europa, była tą sprawą zainteresowana. Nie mogę panu jednak dokładnie powiedzieć, co takiego zrobił, wiem tylko, że było to wielkie oszustwo, które nigdy by się nie wydało, gdyby nie imał się fałszerstwa, co uratowało sytuację. Ale wówczas jeszcze sprawa nie wyszłaby na jaw. Tym fałszerstwem zrujnował tysiące ludzi.

— Na Boga! — zawołał Beresford. — Naprawdę tragiczna historia! Zapiera mi po prostu oddech w piersiach. I jak go ukarano? Taki potwór powinien być przypiekany na wolnym ogniu.

— Berry — rzekła matka spokojnie. — Podaj Joan ciasteczka! Jest tam jeszcze kilka placuszków, ale obawiam się, że już ostygły.

Beresford skrzywił się niechętnie i wyciągnął rękę z ciasteczkami w stronę Joan, zwracając się jednak natychmiast do lady Łucji.

— Niech pani mówi dalej! — prosił. — Szalenie mnie to interesuje. Ten człowiek był prawdziwym Napoleonem w dziedzinie oszustwa. Jaką karę mu wyznaczono? Zabito go, czy żyje jeszcze w więzieniu?

— Tego nie mogę panu powiedzieć — odparła lady Łucja, a zwracała się teraz do całego towarzystwa, bo wszyscy zdawali się być zainteresowani jej opowiadaniem. — Geniusz tego człowieka zawiódł go jednak. Bomba pękła.

Poddał się, podczas gdy inni roztrwonili wielkie sumy, które on miał sobie przywłaszczyć.

— Niemożliwe! — oburzył się Beresford. — To już jest potworni, Przemawia to jednak na jego usprawiedliwienie! I co dalej było?

— Odbył się proces — mówiła dalej lady Łucja—a wszystkie dowody piętrzyły się przeciwko niemu. Skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót. Ludzie mówili, że i tak miał szczęście, bo powinien był dostać dożywotne więzienie.

— Boże święty! — westchnął Beresford. — Biedny chłopie To znaczy, że jeszcze gdzieś odsiaduje więzienie.

— Nie mam pojęcia — odparła lady Łucja. — Ale działo się to mniej więcej piętnaście lat temu. Może już dzisiaj jest wolny.

— Albo nie żyje! — wtrącił nagle ponuro admirał.

Beresford zwrócił się doń impulsywnie.

— Przecież skazany został na dwadzieścia lat! Nie wypuścili go chyba wcześniej? Dwadzieścia lat więzienia to gorsze niż śmierć.

— Dużo ty tam o tym wiesz! — rzekł admirał nienawistnie. — Ja bym go torturował chociaż raz do roku, gdybym miał głos w tej sprawie.

Chłopak odwrócił się od wuja, przejęty dziwnym dreszczem.

— Przykro jest słuchać o takich rzeczach. Czy mogę prosić jeszcze o filiżankę herbaty, mateczko? Joan, może ty się napijesz? Straszne rzeczy są na świecie.

Joan odmówiła.

— Nie, dziękuję. Już skończyłam. Muszę pójść do domu i wykapać się. Stary Lightfoot też musi być zmęczony. Trzeba go kazać umyć

i nakarmić. — Podniosła się mówiąc te słowa. — Do widzenia, pani Vane! Serdecznie dziękuję!

Beresford wychylał do dna swą filiżankę.

— Odprowadzę cię kawalek. Hallo! — zawołał, widząc wchodzącego lokaja. — Listy! Dla mnie nic nie ma?

— Tylko dla pani — rzekł stary służący, podając srebrną tacę. Pani Vane sięgnęła po kopertę i spojrzała na nią. Potem odłożyła.

ją spokojnie na bok, zwracając się do Joan:

— Do widzenia, kochanie! Przyjdź znowu, jak będziesz w tych stronach! O, pani także odchodzi, lady Łucjo? Przecież jeszcze wcześniej.

Ale nie zatrzymywała dłużej gości. Nie było to w jej zwyczaju. Stary służący, Crawley, stał przez chwilę w milczeniu, gdy panie się żegnały, po czym odprowadził je ceremonialnie do drzwi. Joan i Beresford wyszli oszklonymi drzwiami, bo wtedy była najkrótsza droga do stajni, gdzie oczekiwał wierzchowiec Joan.

Po kilku minutach salon opustoszał i pozostali w nim tylko admirał i Sylwia Vane, pochylona nad stolikiem z twarzą śmiertelnie bladą.

Admirał pierwszy zaczął mówić, a słowa jego były niby kamienie, rzucone w pustą przestrzeń. Głos jego powtarzało echo wśród tej zupełnej pustki.

— Dość tego było! Stara wariatka!

Sylwia Vane nie dała żadnej odpowiedzi. Zdawała się nie interesować tą kwestią.

Starzec przez kilka chwil milczał, po czym wstał niecierpliwym ruchem, jednak nie był zwrócony w stronę milczącej towarzyszki.

— Tak, Morton popsuł cały interes. Nie powinienem był mieć do niego zaufania pod tym względem.

— Nie widzę jego winy — rzekła Sylwia zmęczonym głosem. — Przecież działał tylko w myśl instrukcji.

— Lepiej byłoby, żebym sam się tym zajął — mruknął admirał. — Nigdy nie będę spokojny, dopóki nie będę miał pewności, że ten dureń jest poza granicami kraju.

— Nie sądzę, aby to stanowiło jakąś różnicę — wyszeptła. — Przecież widziałeś go tylko raz w życiu.

— Tak, na twoim ślubie. — Admirał stwierdził to niechętnie. — Pamiętam... — przerwał, bo ona uczyniła lekki gest protestu, a prawdopodobnie dlatego, że protestowała tak rzadko, nie umiał jej się sprzeciwić. — Właściwie nie ma o

czym mówić — dorzucił. — Czekajmy teraz dalszego ciągu. W każdym razie na przyszłość nigdy nie powierzę

Mortonowi takiej misji. Dobrze, że chłopak wraca wkrótce do Cambridge. Lepiej, że go tu nie będzie.

Sylwia Vane nic nie odrzekła. Jej blada twarz w półmroku zapadającego wieczoru nie posiadała żadnego wyrazu.

Zdawała się z niecierpliwością oczekiwać tej chwili, kiedy wuj zaniecha dalszych uwag i wyjdzie. Gdy skierował się ku drzwiom, twarz jej ożywiła się nieco. Lecz on zatrzymał się w połowie drogi.

— Ta mała Persis ma dużo sprytu. Nie jest taka głupia, na jaką wygląda.

— O, nie — przyznała Sylwia swoim spokojnym matowym głosem. — Głupia nie jest.

Stary marynarz obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

— Lubisz ją? — zapytał.

Nie spojrzała nań nawet, siedząc wciąż z wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

— Bardzo wątpię — rzekła — czy będzie ona kiedyś typem, który podoba się kobietom, prawda?

Admirał powstrzymał głośny śmiech.

— Jesteś nielitościwa. Ale muszę ci przyznać słuszność w tym wypadku. Zobaczymy, czy jest ona typem Berry'ego. Na to, aby się przekonać, mamy jeszcze dużo, dużo czasu.

— Przypuszczam — mruknęła matka Beresforda z zapartym oddechem, a gdy admirał wyszedł z pokoju przyłożyła dłoń do mocno falującej piersi.

Przez chwilę pozostała tak zupełnie bez ruchu, nie oddychając prawie, samotna w tym mrocznym pokoju. Potem wreszcie, wydając jakiś dźwięk, który był westchnieniem czy jękiem, odwróciła się na krześle i przekręciła kontakt małej lampki, stojącej tuż za nią na biurku.

Światło rozjaśniło panujące mroki, rzucając jasny blask na tacę i srebrne nakrycia, lecz nie rozpraszając cieni zalegających kąty wielkiego salonu. Ogień na kominku stał się bledszy i przygasał powoli.

Przez chwilę Sylwia Vane siedziała w kręgu światła lampy, jak odrętwiała. Potem nagle sięgnęła ręką po kopertę leżącą na tacy. Palce jej zacisnęły się mocno na białym papierze, lecz po chwili odłożyła znowu kopertę, słysząc kroki za drzwiami.

Na progu ukazał się stary Crawley.

— Mogę sprzątać ze stołu, proszę pani?

Spojrzała nań z odległości pokoju, kryjąc kopertę na kolanach. Przejął ją dziwny lęk, a głos, którym odpowiedziała, był jakiś drżący i bezdźwięczny.

— O, za chwilę, Crawley! Zawołam was. Zadzwońcie.

— Słucham panią.

Crawley wyszedł jak cień tak bezszelestnie, że trudno było uwierzyć, iż nie ma go w salonie. v

Siedziała, nasłuchując niby tropione zwierzę, przygotowane na zasadzkę. Lecz ponieważ żadne szmery nie dochodziły z zewnątrz, odwróciła się do biurka i chwyciła mały, złoty nóż do papieru.

Automatycznie przesuwiała nóż między palcami, patrząc nań spod opuszczonych powiek. Zdawać się mogło, że to połyskujące ostrze przywodziło jej na myśl jakieś dawne wspomnienia. Wreszcie podniosła drugą rękę, w której trzymała kopertę i z wyrazem skamieniałego spokoju poczęła przecinać ją nożykiem. Po chwili tandetna koperta była otwarta i w palcach Sylwii Vane zaszeleścił arkusik papieru.

Tylko kilka słów widniało na owej kartce, a słowa te wypisane były

wyraźnym charakterem pisma, jakby wykaligrafowane ręką ucznia. Odłożyła nożyk i chwyciła list dwiema rękami, aby go przeczytać...

Ogień na kominku wygasł zupełnie, a za oszklonymi drzwiami na dworze zapadał coraz większy zmrok. Wreszcie, jakby pchnięta jakąś tajemniczą siłą, ocknęła się i zmiąwszy arkusz papieru w palcach, wsunęła go z powrotem do koperty, podniosła się powolnym ruchem i przeszedłszy przez pokój, rzuciła kopertę na tlejące jeszcze węgle kominka.

Papier zaskwierczał, potem nagle buchnął płomieniem, a ona wciąż stała, patrząc na to, dopóki z listu nie pozostała tylko garstka popiołów. Zegar na kominku uderzył dźwięcznie sześć razy, a uderzenia te zdawały się przywracać Sylwii Vane do rzeczywistości, do życia codziennego. Gdy zegar przestał bić, Sylwia przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka.

Uczyniwszy to, odwróciła się wolno i swym zwykłym pełnym godności krokiem poczęła iść spokojnie przez mroczny pokój w stronę drzwi. Nim stary Crawley ukazał się na progu, Sylwia Vane odeszła już bezszelestnie i poczęła wspinać się po wyłożonych miękkim chodnikiem schodach, prowadzących do jej prywatnych apartamentów. Nikogo na schodach nie spotkała.

Zwyczaj tego domu posiadały pewien rygor i nikt ze służby nie ośmieliłby się przeszkodzić Sylwi Vane przed godziną siódmą wieczorem. Była zupełnie sama wśród purpurowych, wybitych brokatem ścian swojej sypialni w Lacy Denham. Urządzenie tej sypialni było pełne przepychu. Jeszcze przed osiemdziesięciu laty przygotowana ona została dla młodej małżonki, która zmarła, wydając na świat admirała i to on nie pozwolił nic zmieniać w tej komnacie, zajmowanej przez swoją matkę.

Od piętnastu lat Sylwia zamieszkiwała tę sypialnię, nie usiłując nawet przeprowadzić jakiegokolwiek zmiany w urządzeniu tego pokoju i patrząc obojętnie na wszystkie sprzęty, które ją otaczały.

Kilkakrotnie już Beresford próbował nakłonić matkę do zerwania z tą sztywnością i tradycją dawnych lat i urządzenia sypialni w nieco nowocześniejszym stylu.

— Musisz chyba nienawidzić tych ciężkich zasłon. Przypominają one starożytnie wieki. Dlaczego nie każesz zrzucić tego wszystkiego i zamienić na lżejsze tkaniny?

Lecz odpowiedź jego matki była zawsze jednaka.

— Nie należą one do mnie, abym się ich mogła wyzbywać. Zresztą nie jestem pewna, czy inne urządzenie przypadłoby mi bardziej do gustu.

Beresford nie mógł zrozumieć tej obojętności matki, lecz uważał, że nie warto się było sprzeczać na ten temat. Z chwilą, gdy była zadowolona, to reszta absolutnie go nie obchodziła. Sylwia Vane była niezwykle przywiązana do swego syna i pozwalała mu na wiele rzeczy. Wiedział jednak, że nie należy matce zbyt często zwracać uwagi. Orientował się, że wraz ze śmiercią ojca w życiu matki nastąpiła wielka zmiana. Zestarzała się przedwcześnie i chociaż Beresford rzadko kiedy przed samym sobą przyznawał się do tego, to jednak otaczał niezwykle szacunkiem jej smutne i monotonne wdowieństwo. Obydwoje widocznie czcili pamięć zmarłego, choć rzadko kiedy mówili o nim. Z tego wszystkiego, co matka mówiła i czyniła i z tego, że na twarzy jej rzadko kiedy pojawiał się uśmiech, chłopak domyślał się, że musiała jednak bardzo kochać swego męża i odczuwała jeszcze dotychczas boleśnie jego stratę. Beresford znał niby swą matkę dokładnie, znał jej kamienny spokój i opanowanie i nie wyobrażał sobie, aby cokolwiek mogło ją wyprowadzić z równowagi, aby cokolwiek mogło ją wprawić w gniew. Gdyby tego wieczoru ujrzał swą matkę wśród brokatowych ścian sypialni, wkładającą pośpiesznie kapelusz i płaszcz i drżącą z podniecenia czy przestachu, na pewno nie poznałby w niej tej chłodnej, opanowanej kobiety, która nigdy przed nim nie zdradzała swych głębszych uczuć.

Padła kroplista deszcz, gdy Beresford i Joan kierowali się w stronę stajni.

— Odprowadzę cię kawałek — rzekł chłopak. — Nie możesz męczyć zbytnio Lightfoota po takim wariackim dniu a ja nie wyobrażam sobie, abym mógł siedzieć dzisiaj w domu.

— Sądziłeś prawdopodobnie, że przy herbacie trochę inaczej się zachowam — zauważyła Joan, pluskając w kałuży, która zalewała prawie całe podwórko.

Beresford wybuchnął śmiechem.

— Ale zabawne było z tym śladem na policzku Persis, nieprawdaż? Odwróciła się doń swym zdecydowanym, szczerym ruchem.

— To na pewno była twoja sprawka i Sally. Wiedziałaś, żeście coś zrobili, gdy ujrzałam was wychodzących z zarośli ogrodu. Czułam coś w powietrzu.

Beresford zaśmiał się znowu.

— Ty zawsze coś czujesz.

— Myślę, że to nie było takie piękne z twojej strony — ciągnęła dalej dziewczyna, zatrzymując się i spoglądając w jego twarz przy świetle stajennej latarni. — Nie wyszedłeś z tego tak bohatersko. Jeżeli mam być sprawiedliwa to Persis zachowała się o wiele ładniej od ciebie.

— Serdeczne dzięki! — zawołał Beresford. — Co miałem robić? Miałem paść na kolana i prosić o przebaczenie?

— Nie. Przestań robić z siebie głupca! — zawołała Joan ostro. — Ja bym także nie zniosła nad sobą jej wyższości.

— Moja droga, ty jesteś tylko kobietą — odparł uszczypliwie. Odwróciła się od niego bez słowa, a w tej samej chwili chłopak

stajenny wyprowadził ze stajni jej wierzchowca.

— Wsiądziesz? — zapytał Beresford

— Nie. Biedak jest zmęczony. Pójdę piechotą, jeżeli zechcesz mnie odprowadzić. Co za okropny wieczór!

— Tak. Daj mi latarkę, Watson. Musi być strasznie ciemno na drodze. Doskonale! Chodźmy więc! Ja poprowadzę Lightfoota.

Ruszyli śmiało przed siebie, nie zważając na deszcz, który padał coraz rzęsiściej. Joan niosła latarkę, a Beresford prowadził wierzchowca.

Mówili mało po drodze bo przyjaźń ich była tego rodzaju, że rozumieli się doskonale bez słów. Mimo uszczypliwej uwagi na temat Joan, Beresford zazwyczaj traktował ją bardziej jak chłopca, niż jak dziewczynę. Rozumieli się doskonale i rzadko kiedy poglądy ich bywały niezgodne.

Odległość między Lacy Denham i dworem Harbridge wynosiła kilka mil, a droga prowadziła przez pola i przez mały cmentarzyk kościółka parafialnego w Denham.

— Biedny stary Lightfoot nie nauczył się jeszcze chodzić po śliskim gruncie — powiedziała Joan, gdy mijali mały mostek. — Dzisiaj szczególnie kładka jest bardzo śliska.

Gotowaś wpaść do rowu, jak będziesz chciała przeprowadzić go przez cmentarzyk — rzekł Beresford. — Mogliby tam wreszcie tę drogę naprawić.

— Właściwie masz słuszość — przyznała Joan — ludzie są ogromnie niedbali.

— Mogłabyś pójść cmentarzykiem — rzekł chłopak — a ja bym poprowadził Lightfoota dookoła. Skróciłabyś sobie drogę.

Joan zatrzymała się.

— Idź tędy! — nastawał. — Przecież nie ma sensu żebyś szła po tym błocie. W ogóle nie rozumiem, dlaczego nie wsiądziesz na konia. Jesteś nie mniej zmęczona od Lightfoota.

Joan zaśmiała się głośno.

— Jeżeli biedak jest taki zmęczony jak ja, to tym bardziej nie powinnam mu tego zmęczenia przysparzać. Dobrze! Posłucham cię. Dasz mi latarkę?

— Owszem, masz ją przecież! Na drodze wiejskiej jest mi zupełnie niepotrzebna. Serwus, Joan! Będziesz i tak pierwsza na miejscu.

— Mam nadzieję! — zawołała.

Znów zapaliła latarkę i skierowała się na wąską, polną ścieżkę. Dobrze zrobiła, że nie zabrała tutaj ze sobą Lightfoota, bo gotów by połamać nogi na tych wertepach.

Kościółek stał na wzgórku, otoczony gęstymi drzewami, w których tajemniczo szumiał teraz wiatr. "Panowały tu zupełne ciemności, które rozjaśniał tylko wąty blask latarki. Właściwie ta tajemniczość i nieprzebyty mrok powinny były wzbudzić przestach w duszy dziewczyny. Joan miała jednak zdrowe nerwy. Niejednokrotnie przechodziła w nocy przez cmentarzyk i znała tu każdy kamień.

Jeszcze na otwartej przestrzeni nagich pól było nieco widniej lecz gdy dotarła do małej furtki, doszła do wniosku, że bez latarki przeprawa przez cmentarzyk byłaby po prostu niemożliwa.

Nie wahając się ani chwili, otworzyła furtkę i weszła śmiało na ciemny cmentarz.

Stare grobowce znaczyły się wyraźnymi konturami na tle pochmurnego nieba, gdzieniegdzie widniały obrosłe mchem pomniki zmarłych, o których już dawno zapomniano. Z zarośli drzew wyłaniał się stary kościółek z niewielką wieżyczką, pokrytą mosiężną blachą. Na cmentarzyku były przeważnie bardzo stare mogiły, lecz tuż przy kościelnym

krużganku znajdował się wielki kamienny grobowiec, miejsce wiecznego spoczynku rodziny Vane-Traffordów. Spoczywało tam kilka trumien ze zmarłymi członkami rodziny a grobowiec otaczały krzewy rzadkiego gatunku. Tym to nawet deszcz nie przeszkodzi, pomyślała pełna humoru Joan, mijając grobowiec.

Podniosła w górę latarkę, aby lepiej widzieć ścieżkę i nagle na tle kamiennego grobowca ujrzała jakąś postać, rzucającą na kamienną ścianę wysoki cień.

Spostrzeżenie to zaskoczyło ją dziwnie, bo na ogół po zapadnięciu mroku nikt z mieszkańców Denham cmentarzyka nie odwiedzał. Odzyskała jednak natychmiast równowagę i skierowała swą latarkę w stronę nieznanego towarzysza jej samotności nie zdając sobie w pierwszej chwili sprawy, że musiał być oślepiiony światłem latarki. Po prostu zaciekawiła ją ta postać.

Doszła jednak do wniosku, że tego człowieka zupełnie nie znała. Miał mocno nasunięty na oczy kapelusz i chociaż zaskoczony w pierwszej chwili światłem latarki, nie przeraził się jednak zbyt czyjejś obecności na cmentarzu.

Podszedł elastycznym krokiem do Joan, zastępując jej drogę na wąskiej ścieżce. Nagle dziwnym, chrapliwym głosem wyszeptał:

— Sylwia!

Joan znowu się przeraziła. Pochyliła na dół latarkę i krąg jej światła padł teraz na ziemię.

Przez chwilę stała bez ruchu, po czym zapytała, siląc się na odwagę:

— Czy pan kogoś szuka?

Poruszył się niespokojnie na dźwięk jej głosu, po czym zszedł jej z drogi. Lecz Joan stała wciąż na miejscu, wiedzona dobrodusznym impulsem niesienia praktycznej pomocy.

— Zabłądził pan? — zapytała. — Może mogłabym panu w czymś pomóc?

Podniosła znowu latarkę, rzucając światło na jego twarz. Widok tej twarzy przejął ją zimnym dreszczem. Było w niej coś dzikiego i rozpaczliwego zarazem, jednym słowem ta twarz posiadała wyraz zbrodniczy. Oczy, które spotkały się z jej wzrokiem, miały w sobie błysk okrucieństwa.

Lecz nieznamy opanował się szybko, widocznie nie chcąc zwracać na siebie zbytnej uwagi. Usunął się w cień, pozostawiając przed Joan ścieżkę całkiem wolną.

Po chwili odezwał się głosem już mniej chrapliwym, lecz dziwnie suchym i bezdźwięcznym:

— Dziękuję bardzo. Doskonale orientuję się, gdzie jestem i czego pragnę. Proszę sobie nie przeszkadzać!

Joan się zdawało, że jakaś siła zmusiła ją do odejścia z tego miejsca i po chwili wahania poszła przed siebie, gnana tą tajemniczą siłą. Nie było po co stać tu dłużej, bo prawdopodobnie nieznajomy nie potrzebował żadnej pomocy, Joan zaś nie pragnęła bliższej z nim znajomości, bo chociaż mówił jak gentleman, to jednak miał wygląd złoczyńcy.

Zmieszana na chwilę, mruknęła coś niewyraźnie i przeszła obok niego. W pierwszej chwili chciała przyspieszyć kroku, lecz i tym razem opanowała swój przestach. Gdyby usłyszała odgłos ścigających ją kroków, potrafiłaby stawić czoło niebezpieczeństwu. Lecz żaden szmer jej nie doszedł, oprócz zawodzenia wicheru i plusku deszczu, który wciąż jeszcze padał. Dotarła wreszcie do drugiej furtki i otworzywszy ją wyszła na drogę.

Znalazłszy się na otwartej przestrzeni, przystanąła na chwilę, oglądając się poza siebie. Kim u licha mógł być ten człowiek? I czego mógł szukać na cmentarzu? Kim była ta „Sylwia”, z którą się miał spotkać?

Jedyną znaną jej osobą, która nosiła to imię, była Sylwia Vane, matka Beresforda, z którą przed kwadransem się pożegnała!

— Och, głupstwa przychodzą mi na myśl! — zawołała Joan głośno i zaśmiała się na samą myśl o tym. — Cóż za niedorzeczność!

Postanowiła zapomnieć o swej dziwnej przygodzie i śmiałym krokiem szła w kierunku domu.

Brama zabudowań dworu Harbridge znajdowała się w odległości pół mili od cmentarzyka i Joan odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie do niej dotarła. Dziwny był ten dzisiejszy dzień i ogromnie męczący. Nie wiadomo dlaczego dała się namówić Berry'emu, aby pójść na herbatę do Lacy Denham. Przez ten czas wykapałaby się i odpoczęła. W każdym razie ładnie było z jego strony, że zaopiekował się biednym, starym Lightfootem. Będzie musiała jeszcze zaczekać, aby powiedzieć Ber-ry'emu dobranoc.

Przeszła wąską alejką jodłową i skierowała się ku frontowemu wejściu, które zamykano dopiero na noc. Sally na pewno będzie niezadowolona, że Joan wraca tak późno. Prawdopodobnie macocha

i Persis już od dawna są w domu, ale one nigdy nie troszczą się o to, aby dotrzymywać towarzystwa Sally. Może Sally nakłoniła ojca do gry w bilard, ale jeżeli to jej się nie udało, na pewno będzie uważała Joan za osobę niesłowną. Wszedłszy do hallu, Joan rozejrzała się dokoła. Na kanapce przed kominkiem dostrzegła Sally, zarzuconą stosem pism i magazynów. Dziewczyna skoczyła na równe nogi na widok wchodzącej siostry.

— Jesteś podła! Naprawdę jesteś podła! Myślałam, że wrócisz na herbatę, a tymczasem już szósta. Persis mówiła, że byłaś w Lacy Denham.

Joan ucałowała ją. Od chwili śmierci matki uważała się za opiekunkę młodszej siostry, a powtórne małżeństwo ojca nie zdołało wprowadzić żadnej zmiany do ich wzajemnego stosunku.

— Poszłam tylko na herbatę z Berry'm — rzekła. — To był straszny dzień. Myślałam, że jesteś z ojcem.

Na twarzy młodszej siostry pojawił się grymas.

— Ojciec poszedł do klubu, czy coś w tym rodzaju. Owszem, towarzyszyłam mu przy herbacie, ale myślałam, że i ty wrócisz. Byłoby tak przyjemnie bez mamy i Persis.

Sally zawsze nazywała swą macochę „mamą”, lecz wypowiadała ten wyraz z niezwykłą ironią. Joan również przyzwyczała się do nazywania w ten sposób macochy, choć przychodziło jej to z większą trudnością, bo nie była ironiczna z natury.

Obydwie podeszły do kominka.

— Ja tam niewiele na tym skorzystałam — zawołała wesoło. — Miałam przyjemność mieć je przy stole w Lacy Denham. Tego się najmniej spodziewałam. Ale powiedz mi — dodała, wyciągając swe zabłocone nogi w stronę ognia — coście dziś przeskrobali do spółki z Berry'm?

Sally przykucnęła na poręczy kanapy. Blask ognia odbił się w jej roziskrzonych oczach. Była prawdziwie pikantnym typem ze swą smagłą twarzą i zielonymi oczami, obramowanymi długimi firankami rzęs. Brwi jej od czasu do czasu unosiły się, jakby w wyrazie naiwnego zdziwienia. Gdy śmiała się, wysuwała koniec różowego języczka i wznosiła ku górze podbródek. Włosy miała czarne, lśniące, a ojciec zazwyczaj nazywał ją „Japoneczką”, co pasowało niezwykle do jej urody.

Nie od razu odpowiedziała na pytanie Joan. Zdawała się zastanawiać nad odpowiedzią, wymachując z nonszalancją nogą w powietrzu.

— Otóż — odezwała się wreszcie — Berry zjawił się po południu i powiedział mi, że strasznie się nudzi.

Wybierałam się do obory, aby zobaczyć małe cielę, które zresztą jest prześliczne, a małe baranki są po prostu rozkoszne. Powiedziałam mu więc: „Chodź ze mną!” i otworzyłam bramę. Zgodził się. Zaznaczył, że zgubił cię gdzieś po drodze.

— Tak, rozstaliśmy się w lesie — wtrąciła Joan.

— Tak mi też powiedział — przyznała Sally. — Byłam tak samo znudzona, jak i on. Miałam ze sobą procę, którą wyciągnęłam ojcu z szuflady. Gdyśmy się znaleźli w zaroślach, postanowił koniecznie z niej wystrzelić. W kieszeni znalazłam suszony groch. Nie mogliśmy tylko znaleźć odpowiedniego celu i na nieszczęście, gdy stanęłam w alejce rododendronów, ujrzałam w otwartym oknie Persis, która sprawiła na mnie wrażenie obrazka. — Podbródek Sally uniósł się w paroksyzmie śmiechu. Śmiech ten miał jakieś złośliwe i nieprzyjemne brzmienie. — Szkoda, że ciebie tam nie było, Joan — zawołała.

Joan uśmiechnęła się ponuro.

— I wziął ją za cel? — zapytała.

— Oczywiście! Powiadam ci, udało się doskonale! — Sally dławiała się śmiechem. — Powinnaś była to zobaczyć! Biedaczka wiała się ze złości! Daję ci słowo, że była wściekła!

— Chętnie zbilabym cię za to — rzekła Joan. Sally była upojona swym zwycięstwem.

— Ach, jakież to było zabawne, najzabawniejsza chwila, jaką przeżyłam w ostatnich latach! Ta idiotka nie miała pojęcia, kto to zrobił.

— Więc mogę ci powiedzieć, że nie jest taka głupia — rzekła Joan. — Ze swojej strony uważam, że ten kawał nie był znów taki dowcipny. Mogliście ją przecież zranić.

— Głupstwa pleciesz! — zaśmiała się Sally. — Też mi pomysł. Choćbyśmy nawet chcieli, to i tak by nam się nie udało na taką odległość.

— Mniejsza o to — odparła Joan. — Nie powinnaś była tego robić. Moim zdaniem powinniście obydwójce z Berry'm przeprosić ją.

— Oszalałaś chyba! — zawołała Sally, otwierając jeszcze szerzej swe zielone oczy. — To jest twoje zdanie?

— Oczywiście — odrzekła Joan krótko, usiłując zeskrobać błoto

ze swych butów przy pomocy szpicruty. — Uważam, że to jest świństwo brać za cel swych strzałów kogoś, szczególnie kogoś takiego, kogo się nie lubi.

Wyjaśniła rzecz krótko, a Sally, która zawsze liczyła się z jej zdaniem, spoglądała teraz na nią z niezmiernym zdziwieniem.

— Nie poznaję cię, Joan — odezwała się wreszcie.

Joan sięgnęła po pudełko z papierosami, stojące na stoliku, wyjęła papierosa i zapaliła go, nim jeszcze odpowiedziała siostrze. Rzadko kiedy mówiła coś bez namysłu.

— Może jestem dziwna — rzekła wreszcie, zaciągając się dymem. — Ale nie znoszę pospolitości. Mówiło się o tym przy herbacie w Lacy Denham i wierz mi, byłam zawstydzona.

— Biedactwo! — zawołała Sally, przytulając się do siostry. Joan odsunęła ją od siebie.

— Nie lubię takich rzeczy. Usłyszałam dzisiaj od Berry'ego, że jestem tylko kobietą. Ale posiadam przecież swoje zasady. To też nie była zbyt zręczna uwaga.

— Jak on śmiał ci coś podobnego powiedzieć? — zawołała Sally. — Poszłabym teraz chętnie i powiedziałabym, co o nim myślę.

— To byłoby zbyt cenne! — odparła Joan, usiłując wciąż oskrobać swe buty z błota. — Za chwilę będzie tutaj, ale mu ani słowa o tym nie powiesz. To wszystko z jego strony było przecież tylko żartem.

— Ładny sobie żart — oburzyła się Sally. — Berry nie ma prawa mówić ci takich rzeczy. Po co tutaj ma przyjść?

Joan pochyliła się, aby wrzucić kawałek odskrobanego błota do ognia.

— Poprowadził Lightfoota przez gościniec, gdy ja tymczasem poszłam krótszą drogą przez pola — odparła. — Ale nie powinnaś mu nic o tym wspominać. On nie lubi wysłuchiwać takich rzeczy.

— Mnie już tam wysłucha — rzekła Sally, podnosząc podbródek. — Nie chcę znać takich ludzi, którzy nie mają dla ciebie szacunku.

— Ależ, moje dziecko, źle go rozumiesz! To nie znaczy, że mnie nie szanuje! — zaprotestowała Joan.

Lecz Sally jej nie słuchała, bo w tej samej chwili drzwi się otworzyły i Beresford wbiegł do hallu.

— O Boże! Więc jednak jesteś pierwsza! — zawołał na powitanie, zamykając za sobą drzwi i opierając się o nie bezsilnie.

— Naturalnie, że jestem pierwsza! — odrzekła Joan. — A coś ty myślał?

Lecz nagle wyprowadzona została z równowagi, bo oto Sally wstała z godnością i zbliżyła się do intruza.

— Mam ci coś do powiedzenia — rzekła. Uczynił ruch zupełnej rezygnacji.

— Mów, królowo! Jestem po prostu nieżywy. Dostanę papierosa?

— Może za chwilę — odparła Sally. — Zanim zmienimy temat rozmowy, pragnę się czegoś dowiedzieć. Co miałeś na myśli, kręcąc nosem na Joan, gdy wiesz doskonale, że jest ona jedyną osobą w rodzinie, której należy słuchać?

— Nie mógłbym kręcić nosem, choćbym nawet chciał — zawołał Beresford wesoło. — A jeślibym nawet mógł, to nie czyniłbym tego, w stosunku do Joan. O co ci chodzi?

Joan odwróciła się na swym krześle.

— Ach, daj spokój, Sally! Chodź tu, Berry! Siadaj i zapal papierosa! Powiedziałam jej tylko, że nie postąpiliście pięknie z Persis, ale na. co się zda gadanie? To nie sprawi żadnej różnicy.

Beresford podszedł do niej wolno. Jego jasna, chłopięca twarz była teraz niezwykle poważna.

— Jak ty mówisz, to może się zmieni — rzekł. — Właściwie zaczynam ci przyznawać słusność. To nie był znowu taki udany dowcip. Ale Sally w tym wypadku najmniej zawiniła, więc nie powinnaś jej czynić wyrzutów.

Przyglądała się tylko i to wszystko.

— Och, co za kłamstwo! — zawołała Sally. — Przecież proca była moja, więc nie możesz powiedzieć, że uczyniłbyś to beze mnie.

Beresford strzepnął palcami w jej stronę i zajął miejsce obok Joan.

— Bardzo mi przykro, Joan — wyszeptał niespodziewanie. — Mogę jej powiedzieć, jeśli ci na tym zależy.

Joan wróciła do oskrobywania swoich butów.

— To nie jest moja sprawa — zauważyła raczej niechętnie. — Ja tam zawsze jestem odpowiedzialna za swoje czyny, ale zawsze niepotrzebnie się wtrącam.

— Nieprawda — oznajmiła Sally. — Wiemy wszyscy, że jesteś

bardzo dobra. Ale nie przypuszczam, żebyśmy musieli koniecznie ją przeproszać, prawda?

— Musisz poszukać Persis! — rzekł Beresford. — Powiedz, że mam do niej interes i mnie już pozostaw resztę.

— Cóż za zwariowany pomysł! — mruknęła Sally, lecz posłusznie skierowała się ku schodom, pragnąc spełnić jego polecenie.

Uszła zaledwie kilka kroków, bo w tej samej chwili na górnej platformie ukazała się Persis. Zatrzymała się na chwilę, zdziwiona okrzykiem Sally:

— Hallo! Właśnie szłam po ciebie. Tu jest Berry!

Beresford porwał się na równe nogi. Joan przykucnęła przed kominkiem i poczęła grzebać haczykiem w ogniu.

Persis uśmiechnęła się z wyniosłą godnością.

— Hallo, Beresford! — zawołała. Impulsywnie podszedł do niej.

— Słuchaj, Persis! — rzekł. — Postąpiłem podle dziś po południu. Bardzo mi przykro, że wystrzeliłem do ciebie z procy. Muszę przyznać, że celowałem, ale pocisk nie był znów taki bardzo niebezpieczny.

— To była moja proca — wtrąciła zazdrośnie Sally — i moja wina, że mu ją pożyczyłam.

Persis nie patrzyła nawet na nią. Spoglądała tylko na Beresforda z wyrazem przebaczenia w swych pięknych oczach.

— Dlaczego celowałeś do mnie? — zapytała.

— Och, po prostu natrafiłaś na taki mój moment słabości — odrzekł. — Uczyniłbym to samo, gdybym w owej chwili ujrzał w oknie Sally.

Persis wydeła nieco swe karminowe wargi, lecz nic nie rzekła. Po chwili dopiero królewskim gestem wyciągnęła doń rękę.

— Nie mówmy więcej o tym — rzekła.

Beresford z szacunkiem podniósł jej dłoń do ust i uśmiechnął się.

— Serdeczne dzięki! — powiedział. — Nie chcesz chyba, abym pocałował to skaleczone miejsce? Zresztą, może innym razem! Chodź tutaj! Zapalimy papierosa przy ogniu.

Lecz Persis z uśmiechem odmówiła. Gdyby Beresford był sam, na pewno przyjąłaby to zaproszenie, teraz jednak majestatycznym krokiem zwróciła się ku schodom.

Beresford wrócił do ognia i zajął swe dawne miejsce. Czuł się rozczarowany i dotknięty.

— Tak, postąpiłem jak idiota — rzekł z przeświadczeniem.

— Ach, daj już spokój! — zawołała Sally, tracąc powoli cierpliwość. Joan pochyliła się ku niemu w milczeniu i podała mu papierosa.

— Teraz — rzekła Joan po kwadransie — muszę już iść i oczyścić się trochę z tego błota. Dziękuję ci za latarkę, Berry! Znajdziesz ją na krześle przy drzwiach.

— Ja także muszę iść — rzekł, podnosząc się jednocześnie. Spojrzała nań swymi szczerymi, dobrotliwymi oczami.

— Nie śpiesz się! Masz jeszcze dużo czasu. Po drodze uważaj na kłusowników! Widziałam jakiegoś podejrzanego jegomościa na cmentarzu, gdy przechodziłam tamtędy.

— Ta okolica roi się od kłusowników — rzekł Beresford. — Chciałbym schwytać któregoś. Marny miałby koniec. Czy znasz tego, którego widziałaś?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Widocznie to nie był tutejszy. W ogóle nie jestem pewna, czy to był kłusownik. Wyglądał trochę nienormalnie i zdawał się czekać na kogoś.

Beresford zaśmiał się.

— W każdym razie nie na ciebie! Musimy zawiadomić o tym starego Barneya. Jest strasznie nieuważny. Chciałbym być tutejszym strażnikiem. Wszystkich was przyzwyczaiałbym do porządku.

— A przede wszystkim siebie samego — odcięła się Sally. — Nie odchodź jeszcze! Przecież bardzo wcześnie. Zagrajmy w dwadzieścia jeden. Mam dwie sześciopensowe monety.

— To trzymaj je lepiej mocno! — zauważyła Joan wychodząc. — Dobrej nocy, Berry! Nie rujnuj mi dziecka! Beresford usiadł z powrotem na kanapie.

— Marny z ciebie partner — rzekł poważnie do Sally. — Ale tym razem nie ograsz mnie. Nie lubię grać z tobą w karty.

— To po co zostałeś? — zaśmiała się Sally.

Przykucnęła na wielkiej tygryskiej skórze przed kominkiem i poczęła podrzucać małą kostkę, chwytając ją w powietrzu. Zdawała się obojętnie

patrzeć na to, że został na jej prośbę. Lecz chłopak obserwował ją przenikliwym wzrokiem. Nikt obojętnie nie mógł traktować Sally. Było w niej tyle wesołości i werwy, że nie zwracało się zupełnie uwagi na jej urodę. Posiadała dziwny czar.

Zaczęła nucić jakąś francuską piosenkę, nie przerywając swej zabawy, lecz w pewnej chwili kostka wpadła jej za balustradę kominka.

Beresford pochylił się, aby ją stamtąd wyjąć, Sally zaś uczyniła to samo i głowy ich zderzyły się w jednej krótkiej chwili.

— Ach, niech лихо porwie — zawołała Sally, pocierając stłuczone miejsce. — Cóż za niedźwiedź z ciebie!

Beresford podniósł kostkę, usiadł z powrotem i potarł również stłuczoną skroń.

— Tak jakby mnie ktoś siekierą uderzył — oznajmił. — Nie miałem pojęcia, że masz taką twardą głowę. W porównaniu z nią, ta kostka jest niczym.

Wyciągnęła rękę po kostkę.

— Daj mi ją.

Nie wypuszczał kostki z zaciśniętej dłoni, a w jej zielonych oczach pojawiły się nagle błyski, gdy on zaczął z kolei podrzucać kostkę i zanucił tę samą francuską piosenkę.

Sally siedziała przez chwilę spokojnie, pó czym nagle skoczyła, usiłując wyrwać mu kostkę z ręki. Atak ten był bardzo zręczny i na pewno odniósłby pożądaný rezultat, lecz Beresford obserwował dziewczynę przez cały czas i jej skok nie był dla niego niespodzianką. Gdy Sally rzuciła się nań, Berry odrzucił kostkę na dywan, a dziewczynę chwycił w ramiona.

W następnej chwili Sally spoczywała w jego objęciach z głową opartą o poręcz kanapy.

— Teraz cię schwytałem! — zawołał z triumfem, pochylając się nad nią. — Walka na nic się nie zda. Nie ujdiesz mi.

Sally przez chwilę walczyła, lecz nagle ogarnął ją gniew. W jego uścisku było coś władczego, czego nigdy dotychczas nie odczuwała. Miała takie wrażenie, jak ptak schwytany do klatki.

Zaniechała dalszej walki, lecz poczęła go odpychać od siebie całą siłą.

— Zwierzę! — wołała zmienionym głosem. — Puść mnie! Pochylił się nad nią jeszcze niżej z chłopięcym uporem.

— Nie puszcze cię. Chciałaś kostkę, to masz. Myślisz, że możesz mnie wodzić za nos, ty mała złośnico? Nic z tego nie będzie!

Całkiem niespodziewanie przysunął swoją twarz do jej twarzy, przycisnął ją do kanapy i zaczął całować ją w czoło i w policzki.

Sally spoglądała nań ze zdziwieniem, po czym nagle osłabła. Mimo namiętnego podniecenia, Beresford zorientował się, że posunął się za daleko. Wrócił do równowagi.

— Sally, Sally! Mów do mnie! Co ci się stało? Przecież ci nic złego nie zrobiłem. Nic złego nie miałem na myśli. To była tylko zabawa.

Sally leżała blada i drżąca w jego ramionach. Oczy miała zamknięte. Siły ją zupełnie opuściły.

Przejęty lękiem, podniósł ją do góry.

— Co ja zrobiłem? Kochanie, daj spokój! Powiedz, że wszystko w porządku! Nie chciałem ci sprawić przykrości. Podsunął jedną z poduszek pod jej głowę, a ponieważ leżała dalej bez ruchu, podsunął jej ramię pod plecy i uklęknął przy niej.

— Sally, Sally! — prosił. — Otwórz oczy i przemów do mnie! Nie chciałem być brutalem. Mam zawołać kogoś? Mam pójść po Joan?

— Nie! — odparła Sally. Otworzyła powoli oczy i spojrzała na niego. Po chwili jej małe dłonie podniosły się w górę i zacisnęły dookoła szyi. Mówiła z widocznym wysiłkiem. — Chciałabym... żebyś teraz poszedł. Czuję się...

zupełnie dobrze. Sprawileś mi tylko... niespodziankę. Nie myślałam... że jesteś zdolny... do tego.

Głębokie westchnienie przerwało jej słowa. Podniosła wyżej ręce i zasłoniła nimi twarz. Widział, jak drżał jej podbródek.

— Och, moja droga, bardzo mi przykro — zapewnił ją z powagą. — Sam nie wiem, dlaczego się tak zachowałem. Przecież nie kocham się w tobie.

— Idź już! — wyszeptwała, nie zdejmując rąk z twarzy. — To jest jedyna piękna rzecz, jaką teraz możesz zrobić.

Trudno było uwierzyć jej słowom, szczególnie teraz, gdy nie orientował się zupełnie w sytuacji. Klęczał wciąż przy kanapie, na której leżała.

— Żebym mógł uczynić coś, co by cię przekonało, jak mi jest przykro! Ale przypuszczam, że nie powinienem cię teraz pocałować?

Niewyraźny dźwięk był całą odpowiedzią, z czego zrozumiał, że jego podejrzenia były słuszne.

— Nie powinienem był tego zrobić — rzekł ze smutkiem — ale sama mnie sprowokowałaś.

I nagle, ku jego wielkiemu zdziwieniu, Sally wybuchnęła śmiechem. Był to dziwny, nienaturalny śmiech, lecz dźwięczny i metaliczny, ale po chwili ukryła znowu twarz w poduszkach.

— Idź już! Idź już! — wyszeptała. — Dostanę napadu furii, gdy zostaniesz tu jeszcze dłużej!

Podniósł się z kolan i stał przez chwilę, spoglądając na nią. Co, u licha, zrobił takiego, że zachowała się w ten sposób? Przecież jej się nawet nie oświadczył, nigdy nie miał najmniejszego zamiaru. Jak słusznie powiedział, nie lubił jej znowu tak bardzo, co znaczyło, że nie posiadał dla niej specjalnego sentymentu. Zaczął ją całować po prostu dla zabawy. Mógł ją tak samo dla zabawy zbić na kwaśne jabłko. Gdyby ją zbił, na pewno nie robiłaby takich scen. O tym był przekonany.

Tak, ale teraz było za późno. Popęłnił dwie pomyłki tego dnia i uważał się za straszliwego osła. Teraz jednak należało zastanowić się, co robić dalej.

— Nie mogę stąd wyjść z chwilą, gdy ty płaczesz — zauważył naiwnie.

Nagle twarz Sally wynurzyła się z poduszek. Usiadła i spojrzała nań błyszczącym wzrokiem.

— Wcale nie płaczę! — oznamiła z godnością. — Jak śmiesz posądzać mnie o takie rzeczy? Nie doprowadziłbyś mnie do płaczu, gdybyś nawet chciał!

Zorientował się nagle w sytuacji. Po raz pierwszy zetknął się z kapryсами kobiety.

— Tak, oczywiście, że nie! Wcale nie miałem tego na myśli. Zresztą nie miałabyś czego płakać. To jest tylko zabawne.

Oczy Sally jeszcze błyszczały, choć błysk ten nieco przygasł. Opuszczały ją znowu siły.

— Ładnie zabawne! — rzekła uszczypliwie. — Na pewno nie zdobyłbyś się na nic podobnego względem Joan albo Persis.

Temu stanowczo nie mógł zaprzeczyć.

— Tak, możliwe, że nie — przyznał — ale tu zachodzi pewna różnica. Przecież ty jesteś tylko dzieckiem.

— Nawet z dzieckiem byś tak nie postąpił! — zawołała Sally, rumieniąc się nagle.

Beresford skrzywił się niechętnie. Co ta dziewczyna od niego chciała? Odwrócił się i rzekł:

— Postąpisz, jak zechcesz! Niestety, nie można odrobić tego, co się stało. W każdym razie, serdecznie cię przepraszam.

— Nie, odrobić tego nie można — wyszeptała Sally. Machinalnie wyciągnęła piórko z poduszki, on zaś przystanął jeszcze, jakby czekając na słowo uspokojenia z jej strony. Lecz Sally widocznie nie miała mu nic do powiedzenia.

Przeszła tylko wolnym krokiem przez pokój, szukając zaginionej kostki.

Zrezygnowany wyszedł. Nie sprawiłaby mu ulgi świadomość, że ona po jego wyjściu siadła na ziemi i po jej twarzyczce poczęły spływać łzy pełne goryczy.

Biedna, mała Sally, której „dzieciństwo” tak dziwnie się zakończyło.

Beresford był dziwnie niezadowolony zarówno z siebie, z Sally, jak i z całego świata, gdy wśród rzęsistego deszczu szedł do domu. Skłonny był nawet przyznać, że posunął się nieco za daleko, ale właściwie była to tylko przecież zabawa i Sally powinna mieć tę odrobinę zmysłu humoru, aby się zorientować w sytuacji. Czuł w głębi duszy, że został przez nią pokonany i że nie będzie już mógł teraz traktować jej tak, jak się traktuje wesołego towarzysza dziecięcych zabaw. Wyrosła w jego oczach na kobietę i on wobec niej czuł się dziwnie małejki i bezradny. Nie, postępowanie jej nie było kobiece, było raczej śmieszne. Cóż on właściwie takiego uczynił? Po prostu pocałował ją, może zbyt porywczo i może źle, że nie zapytał o pozwolenie.

Ale jak można prosić o pozwolenie taką dziewczynę jak Sally! Pomysł ten stanowczo był absurdalny. Najlepiej by zrobiła, gdyby mu dała w twarz, bo cała sprawa zostałaby w ten sposób zamknięta na zawsze.

Gdyby on był nawet nieco starszy, to Sally przecież była tylko dzieckiem i nie należało się z nią zbytnio certować.

Prawda, że nigdy nie całował jej dotychczas, ale prawdopodobnie tylko dlatego, że ani razu nie nadarzyła się ku temu sposobność. Nie przypuszczał jednak, aby w ten sposób zareagowała na jego czyn. Uważał, że postąpiła stanowczo nierozsądnie.

Z drugiej znów strony miał wyraźny żal do siebie samego. Okazał się brutalem i teraz było mu wstyd. Nawet gdyby Sally zareagowała na to policzkiem, sam fakt zostałby faktem. Słusznie powiedział, że to wszystko nie da się odrobić. Przypomniawszy sobie dokładnie całe swoje zachowanie, musiał przyznać Sally pewną słuszość. Pogoda była obrzydliwa. Wielkie krople deszczu spływały po ubraniu Beresforda, a latarka, którą trzymał w ręku, rzucała tylko blady refleks na wąską ścieżkę. Postanowił pójść najkrótszą drogą.

Doszedłszy do bramy cmentarza, otworzył ją i wszedł, zamykając ją za sobą z dziwną energią. Ogarniała go wściekłość, ilekroć przypomniawszy sobie scenę z Sally.

Idąc cmentarzem, zajęty swymi nieprzyjemnymi myślami, zapomniał zupełnie o tym co mu opowiadała Joan na temat swego spotkania z jakimś nieznajomym na cmentarzu. W pewnej chwili wytrącił go z zadumy okrzyk jakiejś kobiety, który echo powtórzyło wśród ciemności.

Okrzyk zamilkł, lecz potem rozległo się głośnie szlochanie i Beresford mimo woli skierował światło latarki w stronę drzew otaczających kościelny krużganek. W bladym świetle ujrzał dwie postacie na tle wspaniałego grobowca Vane-Traffordów i wiedziony jakimś nagłym impulsem przyspieszył kroku w ich kierunku.

Nim zdążył tam dobiec, zorientował się, że między dwojgiem ludzi toczyła się walka i zauważył wysokiego mężczyznę, trzymającego kobietę w kleszczowym uścisku, podczas gdy ona z rozpaczą usiłowała wyswobodzić się z ramion tego brutala.

Mężczyzna był pochylony naprzód i gdy Beresford zbliżył się, zauważył, że podnosił kobietę z ziemi, jakby pragnął ją gdzieś z tego miejsca przenieść. W słabym blasku latarki Beresford ujrzał jej twarz bladą śmiertelnie i przygasłą, a była to przecież twarz jego matki.

Chłopak z głośnym przekleństwem rzucił się jak tygrys na obcego brutala i w tym momencie zgasła mu latarka. Zorientował się jednak, że kobieta uwolniła się już, bo stalowe ramiona teraz jego objęły i począł walczyć z napastnikiem, jak jeszcze nigdy w życiu nie walczył.

— Do diabła! — charkotał Beresford. — Do diabła! Proszę mnie puścić!

Kleszczowy uścisk tamtego był tak zwierzęcy, że chłopak zdziwił się niezmiernie, słysząc ludzki głos, który mu odpowiedział:

— Ależ ja nie mam zamiaru dłużej walczyć. Puszczę cię, jeżeli odejdiesz spokojnie.

— Do diabła! — wybuchnął znowu Beresford, usiłując wyswobodzić się z uścisku. — Myślisz, że puszczę ci to płazem, skoro ośmieliłeś się napastować moją matkę?

Kleszczowy uścisk wzmocnił się jeszcze i to było jedyną odpowiedzią. Szamocząc się z wściekłością. Beresford zdał sobie sprawę, że nie potrafi pokonać przeciwnika. Ciemności były niesamowite. W walce zgubił latarkę, która potoczyła się aż na ścieżkę. Gniew jego z każdą chwilą się wzmacniał, bo był przecież bezradny, a orientował się, że wróg posiada więcej siły od niego.

Nastąpiła decydująca chwila, podczas której znowu usłyszał głos nieznanego.

— Nie miałem zamiaru krzywdzić twojej matki. Może pójdziesz i poszukasz jej?

Beresford czuł się zupełnie pokonany przez tego obcego włóczęgę. Ale najważniejsze to, że jego matka była wolna. Myśl ta zaświtała mu w głowie, eliminując wszystkie inne. W pewnej chwili podniesionym głosem zawołał:

— Mamo, mamo! Jesteś tutaj? Uciekaj stąd prędko! Uciekaj na miłość boską!

— Niepotrzebnie się lękasz — rzekł napastnik, trzymając go wciąż w ramionach. — Już dawno poszła. Uczynisz najlepiej, gdy także sobie pójdziesz.

Nagle wypuścił go ze swych kleszczowych ramion i odepchnął od siebie bez słowa. Beresford potoczył się na dróżkę, lecz po chwili siły mu wróciły i wyprostował się groźnie.

— Odpowiesz mi za to! — zawołał. — Choć nie wiem, kim jesteś, odnajdę cię! — Lecz mówił w ciemną przestrzeń i tylko plusk deszczu był mu całą odpowiedzią. Nieznany wróg, z którym walczył przed chwilą, przepadł w mrokach nocy.

Począł iść aleją cmentarną, zdenerwowany jeszcze i drżący. Gdzie matka? Przecież z pewnością ją widział! To nie może być iluzja.

Mimo to nawiedziło go nagle uczucie zwątpienia. Może blask latarki był zawodny? Na pewno widział jakąś kobietę, ale przecież to nie mogła być jego matka!

Błądził po alejkach cmentarza, lecz nigdzie nie dosłyszał żadnego szmeru. Cmentarz był pusty i ponury. Nawet nieznajomy, z którym walczył przed chwilą, też musiał cmentarz opuścić. Owa kobieta prawdopodobnie uczyniła to samo. Po kilku minutach błądzenia doszedł do wniosku, że należało wracać do domu.

Latarki również nie mógł znaleźć, więc postanowił, mimo ciemności, dostać się do bramy. Na pewno spóźni się na obiad. Ale cóż mógł na to poradzić? Droga przez pola musiała być bardzo błotnista i niemożliwa do przebycia.

Z wściekłością dopadł bramy i wydostał się przez nią na gościniec. Nigdzie nie było nikogo. Nawet mieszkańcy wsi, ze względu na wstrętą pogodę, nie opuszczali swych domostw. Był coraz bardziej zaciekawiony, idąc żywo przed siebie. Przecież ta kobieta, którą widział, nie mogła być jego matką. A jednak wizja jej była tak wyraźna, jakby patrzył na nią w tej chwili.

A ten mężczyzna, kim on mógł być, u licha? Beresford nie widział dokładnie jego twarzy, lecz wspomnienie uścisku ramion tego brutala było niezapomniane. Już dawno nie czuł się tak bezradny, jak podczas walki z nieznajomym.

Mimo wszystko gniew jego ostygł, gdy minął wioskę. Przypomniał sobie, że Joan także widziała owego nieznajomego i twierdziła, że był to jakiś obłąkaniec. Zdawało się jej, że włóczęga czeka na kogoś. Jeżeli tak, to interwencja Beresforda była zupełnie niepotrzebna, chociaż widział przecież wyraźnie, że owa kobieta usiłowała wyswobodzić się z ramion napastnika. Podejrzanie, że kobieta była jego matką, wydawało mu się teraz zupełnie niedorzeczne. Był to po prostu wytwór jego fantazji lub też cień jakiś padł na twarz tej kobiety. Teraz był najzupełniej przekonany, że to nie mogła być jego matka.

— Musiałem mieć halucynację — rzekł do siebie ponuro. — Z każdym dniem człowiek staje się głupszy.

Myśl ta nie była zbyt przyjemna. Był już przecież w tym wieku, kiedy człowiek jest świadomy swej wartości i odpowiada za siebie. Nie dość, że skonstatował brak sił fizycznych, to jeszcze doszedł do wniosku, że jest głupi! Był w złym humorze, gdy dotarł do Lacy Denham. Stanowczo zblamował się przed samym sobą. Nieprzyjemnie było posiadać tę świadomość, ale uczciwość wzięła tu górę.

Poza tym spóźnił się na obiad i admirał na pewno wygłosi mu

odpowiednia perorę. Wszystko składało się jak najgorzej — zdecydował wchodząc do wnętrza domu frontowym wejściem.

W korytarzu spotkał starego Crawleya i zorientował się, że w domu panowała nieprzyjemna atmosfera.

Zatrzymał się na chwilę.

— Wiem, że się spóźniłem. Proszę mi przysłać Jamesa, żeby pomógł mi się ubrać, dobrze?

Stary lokaj spojrział nań z powagą.

— Tak, spóźnił się pan nieco, sir — przyznał. — Ale teraz może się pan nie spieszyć. Pani Vane źle się czuje i położyła się już do łóżka, Admirał zaś kazał sobie podać obiad do gabinetu.

Beresforda zaskoczyła ta wiadomość. Przestała go gnębić myśl

o niezadowoleniu wuja. Najważniejsze było to, że matka czuła się niedobrze. Zdarzenie to nie było takie niezwykle. Matka często zapadała na zdrowiu, lecz ta wiadomość właśnie dzisiaj przejęła go dziwnym uczuciem. Nie czekając już dalszych wyjaśnień służącego, przebiegł śpiesznie przez hall i wbiegł po schodach na górę, do jej pokoju.

Przystanął pod drzwiami, powstrzymany jakąś nieznaną siłą. Aczkolwiek żyli na stopie serdecznej przyjaźni, to jednak w niektórych sytuacjach matka potrafiła trzymać go z daleka od siebie. Od czasu do czasu piętrzyła się przed nim przeszkoda, której niezdolny był przebyć

I właśnie tej przeszkody najbardziej się lękał. Obecnie zrodziło się w jego duszy nagłe i podświadome uczucie, że może w danej chwili matka pragnie samotności i będzie go uważać za intruza. Przecież gdyby łąknęła jego towarzystwa, to z pewnością zaczęłaby nań z obiadem.

Jednakże nie mógł się pozbyć szalonego niepokoju o nią. Musi ją koniecznie zobaczyć, aby odegnąć od siebie te absurdalne podejrzenia. Musi wiedzieć na pewno. Przejęty tą decyzją, energicznie zapukał.

— Czy mogę wejść, mateczko? To ja — mówił z twarzą przybliżoną do drzwi. Ileż to razy w takich wypadkach słyszał zachęcający głos z wewnątrz! Lecz dzisiaj, dzisiaj po raz pierwszy nie otrzymał odpowiedzi.

Czekał, nasłuchując. Widocznie okno było otwarte, bo słyszał

wyraźnie szum wiatru w drzewach ogrodowych i szelest powiewającej zasłony. Lecz to były jedyne szmery, które dochodziły jego uszu. Poza tym nic się w pokoju nie poruszało.

Opanowało go uczucie strachu, strachu takiego, jakiego już dawno nie odczuwał. Energicznie przycisnął klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte od wewnątrz.

Nie było w tym nic dziwnego. Matka często zamykała drzwi na klucz. Niejednokrotnie śmiał się z niej przy takich okazjach, a jej odpowiedź zawsze była jednaka:

— Gdy jestem sama, lubię odczuwać samotność.

Ale dlaczego pragnie być sama dzisiaj wieczorem? Dlaczego nie daje mu żadnej odpowiedzi?

Zawołał znowu ze wzrastającym niepokojem:

— Mateczko droga, wpuść mnie! Strasznie się spóźniłem, ale muszę się z tobą zobaczyć na chwilę.

Nie mogła mu przecież odmówić. Nie mogłaby nawet odmówić służbie, a Crawley wszakże zaznaczył, że jadła obiad w swoim pokoju. Czyżby jeszcze nie podano jej obiadu? Miał zamiar już zapytać o to, lecz nagle usłyszał wewnątrz jakieś poruszenie, dziwny szmer, który olbrzymiał w jego podnieconej wyobraźni.

Przycisnął znowu klamkę i po chwili z ulgą dosłyszał zgrzyt klucza w zamku. Wiedziony impetem otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z matką.

Miała na sobie lekki szlafroczek i była wyraźnie zmęczona. Na jej twarzy gościł blady rumieniec, a oczy błyszczały jakimś niesamowitym blaskiem.

— Mój drogi Teddy-Bear — rzekła — czego chciałeś ode mnie? — Nazywała go tak zawsze za czasów jego dzieciństwa, lecz teraz rzadko kiedy używała tego przydomka. Uśmiechnęła się, wypowiadając te słowa, lecz wiało od niej czymś niezwykłym. Cofnął się nawet o kilka kroków, bo wszystko w niej było jakieś sztuczne, twarz, wyraz oczu i uśmiech, szczególnie ten uśmiech.

Stał przed nią zmieszany.

— Mamo, mówiono mi, mówił mi stary Crawley, że źle się czujesz. Czy coś się stało?

Wciąż się uśmiechała, spoglądając nań, a on pragnął nade wszystko, aby ten uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Nie, nic, kochanie — rzekła. — W każdym razie nic ważnego. Niedobrze zrobiło mi się po herbacie i to wszystko. Ale nic strasznego się nie stało. Leżałam z godzinkę przy otwartym oknie i teraz już mi jest lepiej.

Beresford zamknął drzwi, aby uniknąć przeciągu i stał w miejscu, spoglądając wciąż na matkę. Miał uczucie, że odpycha go od siebie, a przecież w jej zachowaniu nie było ani odrobiny chłodu. Przyszło mu nawet na myśl, że wyglądała młodziej i była bardziej ożywiona, niż kiedykolwiek. Nie sprawiała wrażenia osoby cierpiącej.

— Byłem dziwnie o ciebie niespokojny — zauważył. Przeszła wolnym krokiem przez pokój.

— Mój drogi, to było zupełnie niepotrzebne. Czułam zmęczenie, więc położyłam się do łóżka i to wszystko.

Prosiłam Crawleya, żeby mi przysłał trochę zupy. Spóźniłeś się bardzo, nieprawdaż? Czy nie lepiej byłoby, żebyś się poszedł przebrać? Nie wiem, jak wuj będzie się zapatrywał na to, że tak długo musiał czekać na ciebie.

— O, na pewno go to nie obchodzi — odparł Beresford niecierpliwie. — Crawley powiedział, że wuj kazał sobie podać obiad do gabinetu, więc tym samym nie potrzebuję się śpieszyć. Mateczko, powiedz, wychodziłaś po herbacie?

Podeszła do okna i opuściła zasłonę w milczeniu. Potem wolno odwróciła się, mówiąc:

— Czy wychodziłam? Mój drogi chłopcze, w takim stroju? Nie jestem jeszcze lunaticzką!

Uśmiech jej przygasł. Mówiła naturalnie i on patrzył na nią teraz całkiem normalnym wzrokiem. Może to był wytwór jego dziwnych halucynacji. Może nie zaszła w niej żadna zmiana.

Podeszła do kozetki, a on zbliżył się w tej chwili do niej. Usiedli jednocześnie.

— Wiesz — wyszeptał — miałem jakieś dziwne przywidzenia. Strasznie mi przykro, że się źle czujesz. Więc przez cały czas byłaś tutaj?

— Oczywiście, kochanie! — odparła. — Gdzież mogłabym być? Ogień na kominku tlił się jeszcze. Wstał, poruszył rozżarzone węgle, po czym wrócił i usiadł przy niej znowu.

— Odprowadziłem Joan do dworu — opowiadał. — A gdy wracałem do domu, przed pół godziną, usłyszałem na cmentarzu jakiś

krzyk i dostrzegłem kobietę walczącą z jakimś brutalem. Było strasznie ciemno, lecz miałem latarkę i przez chwilę widziałem jej twarz. Wprawdzie stałem od niej w oddaleniu kilku kroków, widziałem ją jednak zupełnie wyraźnie. I, wiesz mateczko, myślałem, że to ty! Oczy jego spotkały się z jej poważnym, macierzyńskim spojrzeniem.

— Mój drogi chłopcze! — odezwała się. — Cóż za dziwny pomysł! Co cię skłoniło do tego podejrzenia?

— Nie mam pojęcia — wyszeptał. — Był to ktoś bardzo podobny do ciebie, przynajmniej tak sędzę. Trwało to jedną chwilę, oczywiście, ale mógłbym przysiąc...

— I coś zrobił? — zapytała.

— Co zrobiłem? — pochylił się naprzód, zaciskając pięści. — Rzuciłem się na brutala.

— Beresford! — zawołała łagodnie. Skinął głową. Oczy pałały mu w tej chwili.

— Tak. Rzuciłem się na niego. Cóż mogłem innego uczynić? Lecz on był strasznie silny i nie mogłem go pokonać. Chwytał mnie w ramiona, zgubiłem latarkę i walczyliśmy tak przez kilka chwil w ciemnościach. Walczyłem zawzięcie, bo miałem to przeświadczenie, że ty w owym czasie jesteś blisko.

— Cóż za absurd! — rzekła. — A co było potem? Nie wyrządził ci żadnej krzywdy?

— Nie. Przypuszczam, że nie leżało to w jego zamiarze. Mógł mnie z łatwością udusić, podły pies! — Głos Beresforda zadrżał. — Ciekawy jestem, kto to był! — dorzucił.

— Ciekawa jestem, kim była ta kobieta — wyszeptała matka. — Co się z nią stało? Widziałeś ją potem?

— Nie. Zniknęła. Trzymał mnie przez pewien czas w uścisku, po czym odepchnął mnie od siebie i sam umknął. Dookoła panowały nieprzebyte ciemności. Nie mogłem go potem już nigdzie odnaleźć.

— Całe szczęście! — szepnęła. Uśmiechnął się niechętnie.

— Może to lepiej. Nigdy w życiu nie czułem bardziej zbrodniczych instynktów, jak w owej chwili, aczkolwiek, gdyby ta sytuacja przedłużyła się, z pewnością ja bym raczej został zamordowany. Hallo, kochanie! Co się stało?

Drżała tak strasznie, że przeraził się jej widoku. Po chwili uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie, synu, nic! Nie mogę tylko znieść myśli, że groziło ci niebezpieczeństwo. To brzmi tak okropnie. — Głos jej załamał się nagle. — Mam nadzieję, że ów człowiek już sobie poszedł.

— O, naturalnie, że poszedł!—odrzekł Beresford.—Takie łajdackie typy nigdy długo nie pozostają w jednym miejscu. Uspokój się mateczko. Prawdopodobnie nigdy go więcej nie zobaczę. Chciałbym takiego durnia nauczyć. Dłuższy czas szukałem go w ciemnościach, ale bezskutecznie.

— I potem przyszedłeś do domu? — zagadnęła matka.

— Tak, gościńcem. Bałem się zabłądzić w polu bez latarki. Westchnęła głęboko.

— Dzięki Bogu, że jesteś teraz bezpieczny, Berry. Idź, wykąp się i przebierz, a potem przeproś wuja. On tak nie lubi niepunktualności.

— Tym razem miałem przecież ważne przyczyny — zaprotestował Beresford.

— Gdybym była na twoim miejscu, wcale bym się nie usprawiedliwiała — odparła.

— Usprawiedliwiała! — zawołał. — Istotnie, mateczko! Gdybyś walczyła z brutalem w obronie kobiety, to byłoby chyba wystarczające usprawiedliwienie.

Spojrzała mu w oczy z zupełnym spokojem.

— Ja bym wujowi nawet nic o tym nie wspominała — rzekła. — Opowiadanie to mogłoby go zaniepokoić i odegnąć w nocy sen. Wiesz przecież, że już jest bardzo stary. Wszyscy powinniśmy uważać, aby nie wspominać mu o takich rzeczach, które mogłyby go zdenerwować.

— Ach, mamó! — zawołał chłopak. — Wuj jest silniejszy ode mnie.

— Tak, ale o tym lepiej mu nie wspominaj, kochanie — upierała się przy swoim. — Przecież to nie przyniesie nikomu korzyści. Mógłby niechętnie patrzeć na to, żeś brał udział w walce.

Ostatnie słowa przemówiły do rozsądku Beresforda. Zarumienił się i wstał.

— Dobrze, pójdę się umyć trochę i muszę coś zjeść. Kładziesz się do łóżka, mateczko? Mogę przyjść jeszcze, aby ci powiedzieć dobranoc?

— Przyjdź, kochanie! — rzekła, nadstawiając mu policzek do pocałunku. — I tak długo nie będę spała tej nocy.

Opuszczał ją z dziwnym uczuciem niezadowolenia.

— Wolałbym ją widzieć w innym humorze — pomyślał, wychodząc z pokoju.

Lecz po kilku minutach uspokoił się nieco. Myśli, które zaprzętały mu głowę podczas kąpieli, nie miały nic wspólnego ani z matką, ani z nieznanym włóczęgą na cmentarzu, ani też ze starym admirałem, który oczekiwał wyjaśnień chłopaka w swym mrocznym gabinecie. Było to wspomnienie Sally, małej Sally, płaczącej z twarzą ukrytą w poduszkach, a płaczącej z tej przyczyny, że on postąpił z nią jak brutal.

Stajnia była ulubionym miejscem odwiedzin Joan. Następnego dnia wczesnym rankiem biegła tani właśnie, chrupiąc po drodze jakiś kruchy obwarzanek. Deszcz przestał padać, lecz dzień był pochmurny i chłodny i nie było nadziei, że się pogoda poprawi. Lecz Joan nie czuła przygnębienia z powodu pogody, twarzyczka jej była wesoła jak zwykle i żadna atmosferyczna zmiana nie mogła oddziaływać na jej dobry humor.

Tego dnia nie było polowania, czym się również Joan zbytnio nie przejmowała. Czuła wyraźną ochotę odbycia przejażdżki na starym wierzchowcu ojca, Busbym. Busby był jej ulubieńcem, szczególnie wówczas, gdy pragnęła jechać wolno. Na grzbiecie Busby'ego uczyła się kiedyś konnej jazdy i obydwójce byli prawie w jednym wieku. Koń powitał ją ufnym rzeniem, a ona objęła jego szyję pieszczotliwym uściskiem. Potem dopiero odwróciła się, aby powitać stajennego.

— Dzień dobry, Smith! Busby dobrze się czuje? Nie cierpi na reumatyzm?

Smith chciał zaznaczyć, że przednie nogi konia zeszywniały pod wpływem choroby, lecz doszedł do wniosku, że to nie jest nic strasznego, osiodłał więc konia, prosząc tylko pannę Joan, aby zbytnio go nie przemęczała.

— Na pewno go nie będę męczyć — rzekła Joan, wsuwając kostkę cukru między rozchylone wargi wierzchowca. — Chodź, stary! Przejedziemy się trochę.

Spokojnie wskoczyła na siodło i skierowała konia ku bramie, aż wreszcie wolnym truchcikiem wyjechali na szeroką aleję. Busby zdawał się być zadowolony z tego i rżał cichutko. Obydwoje z Joan byli zażyłymi przyjaciółmi i istniało między nimi jakieś telepatyczne porozumienie, którego nigdy nie mógł pojąć Smith.

— Nie będziemy się męczyć dzisiaj, stary — rzekła Joan. — A jak odczujesz zmęczenie, to zsiądę z ciebie! Pamiętaj, że nie jesteś już taki młody jak Lightfoot. Ale jesteś o wiele przyjemniejszy, jeżeli chodzi o krótkie spacerunki. Zawsze żywiłam dla ciebie specjalne uczucie.

Wyjechali na gościniec, a potem skierowali się na polną drogę, biegnącą między wysokimi pogórkami. Droga ta prowadziła do rzeki, która tego roku wyschła prawie zupełnie.

— Ślicznie tu, nieprawdaż? — rzekła Joan, puszczając cugle koniowi. — Nie bój się! Zaraz wyjedziemy na suchy teren, tam koło lasu.

Busby nie bał się zupełnie. Szedł wolno z namaszczaniem, omijając wyboje na dróżce.

Mimo ponurej pogody, obydwójce byli w doskonałych humorach. Widniał przed nimi sosnowy las i droga zaczęła biec nieco w górę.

Joan często zaglądała do tego ustronia, podczas swych samotnych spacerów. Lubiła zapach świeżej ziemi i sosen, lubiła chrzęst suchych igieł pod stopami.

Cisza panująca dokoła dodawała jeszcze uroku temu osamotnionemu zakątkowi. Bardziej w dole płynęła bezszelestnie rzeka, jakby fale jej przejęte były sennym lenistwem. Mieszkańcy wsi Denham utrzymywali, że jeżeli coś wrzuciło się do rzeki w pobliżu lasu sosnowego, to przedmiot wrzucony nigdy już z niej nie wypłynął. Ludzie twierdzili nawet, że w tym miejscu coś straszy, lecz Joan żadnych strachów się nie lękała. Lubiła po prostu ten zakątek ze względu na panujący w nim spokój.

Wąska dróżka biegła o kilka jardów ponad rzeką i Joan zaczęła się rozglądać za zimorodkami, które tutaj podobno wiły swoje gniazda. Rozglądała się jednak bezskutecznie i miała już zamiar ruszyć prędzej z miejsca, gdy nagle coś niespodziewanego zwróciło jej uwagę.

Nad samym brzegiem rzeki, poniżej drogi, którą jechała, leżał mężczyzna z twarzą zwróconą ku ziemi.

— Wielkie nieba! — szepnęła Joan.

Świadomość jakiejś tragedii przejęła ją nagle i nieznany głos szepnął

w duszy, że kiedyś widziała już tego człowieka. Przypomniała sobie nagle owego mężczyznę, który wyglądał jak złoczyńca, a mówił jak gentleman.

Leżał teraz bez ruchu z ramionami rozpostartymi, z palcami zanurzonymi w ziemi, jakby zeszywniały w paroksyzmie cierpienia. Obserwowała go przez kilka sekund, lecz on nie dawał znaku życia. Coś było nie w porządku, stanowczo nie w porządku i należało bezwarunkowo natychmiast wziąć się do działania.

— Nie mogę go tak pozostawić — mruknęła Joan, zsuwając się z siodła na mokrą ziemię. — Zaczekasz tu, stary! Za chwilę wrócę.

Wiedziała, że Busby nie oddali się stąd, bo zawsze stosował się do jej poleceń. Pozostawiła go więc na drodze, sama zaś zaczęła ostrożnie schodzić nad brzeg rzeki. Stopy jej grzęzły w miękkim gruncie, więc posuwała się naprzód bezszelestnie. Za chwilę znalazła się na świeżej murawie, okalającej rzekę.

Mężczyzna leżał ciągle jeszcze w tej samej pozycji, sztywny i jakby martwy. Stała nad nim, a on widocznie nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

Nagle ogarnęło ją przerażenie, bo oto człowiek ów zadrżał i z jego piersi wydarł się głuchy szloch.

Przejął ją chwilowy lęk, lecz opanowała się natychmiast. Istniało tu coś, czego nie można było ignorować. Gdyby pozostawiła tu tego wędrowca, ktoś mógłby mu wyrządzić krzywdę. Zbliżyła się o krok jeszcze i rzekła:

— Czy coś się panu stało? Mogę coś dla pana uczynić? Poruszył się i po chwili podniósł głowę, widziała jednak, że poruszał

się z trudem i że ręce i nogi miał dziwnie zeszywniałe. Twarz jego była śmiertelnie blada, lecz rozpoznała w niej natychmiast twarz tamtego człowieka, którego poprzedniej nocy widziała na cmentarzu.

Usiadł na wilgotnej ziemi i spojrzał na nią płonąącym wzrokiem. Nigdy jeszcze takich oczu w życiu nie widziała.

— Znowu pani? — rzekł. — Jakie to zabawne!

I wybuchnął śmiechem, pod wpływem którego Joan zadrżała. Pochyliła się nad nim.

— Bardzo mi przykro, że przejeżdżałam tędy — rzekła swobodnie, lecz z powagą. — Myślę jednak, że lepiej będzie, gdy panu pomogę, nieprawdaż? Nie może pan tak leżeć na tej wilgotnej ziemi.

— Nie mogę? — zdziwił się. — O, ja wszystko mogę. Nie istnieje nikt taki, kto by mnie mógł od czegoś powstrzymać.

Charkotliwy jego głos przejął ją nowym dreszczem. Lecz Joan posiadała odwagę i niełatwo ją było wyprowadzić z równowagi. Ta śmiertelnie blada twarz i płonące oczy mówiły o tragedii, która nie mogła być przeciętna. Ten człowiek musiał bardzo cierpieć, była o tym przeświadczona. A jej obowiązkiem było mu pomóc.

— Oczywiście, że nikt nie może pana powstrzymać — rzekła. — Ale przypuszczam, że posiada pan odrobinę zdrowego rozsądku. Nie jest pan znowu takim siłaczem, aby pan mógł leżeć o tej porze roku na wilgotnej ziemi i uniknąć przeziębienia.

Podniósł kolana w górę i objąwszy je ramionami, spoglądał na dziewczynę swymi dziwnymi szarymi oczami, jakby chciał ją przeszyć tym spojrzeniem na wylot.

— Tak, czuję się jak siłacz — zauważył. — Nie taki siłacz pokonywany, lecz siłacz pokonany. Jeżeli pani czytała kiedykolwiek Biblię, to zrozumie pani, co mam na myśli.

Znowu dostrzegła pewną kulturę w jego słowach. Nie był to zwykły włóczęga, mimo swej nieogolonej twarzy i opuszczonego wyglądu. Czują, że dałaby dużo za to, gdyby mogła się dowiedzieć, kim był właściwie. Trudno było nieść pomoc człowiekowi, o którym się absolutnie nic nie wie.

— Niech pan słucha! — odezwała się znowu. — Jeżeli pan będzie mógł przejść ze mną kawałek, dam panu chętnie kubek gorącej kawy. Wygląd pański świadczy o tym, że pewne pokrzepienie bardzo by się panu przydało.

Mężczyzna nie zmieniał swej pozycji.

— Pani jest bardzo dobra — przyznał. — Lecz myślę, że zimna woda też mnie zdoła pokrzepić dzisiaj, toteż serdecznie pani dziękuję.

Nie patrzył na rzekę, wypowiadając te słowa, lecz Joan uczuła nagle jakby zimne ostrze sztyletu w piersiach. Siłą opanowała się.

— Pod tym względem nie zgadzam się z panem — zaznaczyła. — Przemókł pan przecież do nitki, a to wcale nie jest przyjemne. Jeżeli pan postanowił popełnić samobójstwo, to mógł pan znaleźć jakiś inny sposób. Ja osobiście nie mam zamiaru patrzeć, jak pan wskoczy do rzeki.

Dziwny błysk pojawił się w oczach nieznajomego.

— Na Boga! — zawołał. — Ale pani ma poczucie humoru. Kto pani powiedział, że zamierzam popełnić samobójstwo?

— Nikt — odparła Joan. — Nawet pan mi o tym nie powiedział. Przypuszczam, że pan tego nie uczyni, przynajmniej wówczas, gdy ja będę na to patrzyła.

Rozejrzał się pośpiesznie wokoło, jakby chcąc się upewnić, że byli sami. Potem spojrział ponuro w stronę rzeki.

— Niepotrzebnie się pani trudzi — zauważył. — Nikt nie odczuje mego braku.

— Ale to się nie stanie — rzekła Joan z przeświadczeniem. — Nie stanie się teraz, kiedy ja tutaj jestem.

Znowu skierował na nią swój wzrok.

— Dlaczego nie? — zapytał. — Czyż to dla pani byłby taki straszny widok?

— Wskoczyłabym natychmiast do rzeki za panem — odrzekła Joan. — Nie chciałby pan chyba, aby pana z powrotem wydobyto.

Usta jego skrzywiły się dziwnie, jakby do śmiechu.

— Być wydobytym przez panią, to też wielki zaszczyt.

— Tak pan sądzi? — zagadnęła Joan, nie zwracając uwagi na jego ironię. — Ale teraz najważniejsze, co ma pań zamiar z sobą robić?

Uczynił niewyraźny ruch ręką.

— Ta sprawa może chyba tylko mnie obchodzić.

— Niekoniecznie! — zaprotestowała Joan z nową dozą odwagi. — Mnie również obchodzi z chwilą, gdy jestem tutaj. Jest pan przemoknięty i musi pan koniecznie się podnieść, aby uniknąć reumatycznej gorączki.

— Ach! — westchnął. — Może to byłby sposób samobójstwa?

— Nie! — odparła Joan nieco brutalnie. — Z reumatyzmu się nie umiera. Może pan tylko stać się kaleką. Wątpię, czy to by panu odpowiadało.

— Czy znalazłby się na świecie taki człowiek, który chciałby zostać kaleką? — zagadnął.

Joan umilkła. Traktowała tego człowieka jak znajomego, jak towarzysza nawet i dopiero teraz to sobie uprzytomniła. Może nawet zbyt swobodnie z nim rozmawiała. Ale cóż miała robić? Przecież nie mogła zostawić go tutaj.

— Nie wiem nawet, jak mogłabym panu pomóc — odezwała się znów po chwili. — Mam tabliczkę czekolady w kieszeni, może by pana to troszkę pokrzepiło.

Spojrzenie jego uległo zmianie i stało się jakby łagodniejsze.

— Dobra z pani dziewczyna — zauważył. — Chętnie bym zjadł tę czekoladę, gdyby mi ją pani dała.

— Z ochotą! — zawołała Joan, zadowolona, że odwróciła jego uwagę od przykrych myśli.

Podawała mu czekoladę, a on wolno podniósł się z ziemi.

— Dziękuję — wyszeptał. — Może kiedyś będę mógł się pani odwdziżyć.

— Zesztywniały panu nogi, nieprawdaż? Czy przez całą noc pan tu leżał?

Zaczął jeść czekoladę. Zauważyła, że ręce jego nie były rękami człowieka pracującego fizycznie. Zauważyła również, że był bardzo głodny, chociaż starał się to przed nią ukryć.

Począł mówić dopiero po dłuższej chwili.

— Ta noc nie wydawałaby mi się taka długa — rzekł — gdybym wiedział, że panią tu rano spotkam.

Było to dziwne zdanie, wypowiedziane bez sentymentu, jakby ze zdawkową uprzejmością, lecz twarzyczka Joan spłonęła rumieńcem zażenowania. Obojętnie kim jest ten człowiek, to przecież należało m'u nieść przyjacielską pomoc.

Odezwała się po krótkim namyśle:

— Proszę nie myśleć, że pragnę się wtrącać do pańskich spraw. Ale czy nie ma pan nikogo z bliskich krewnych, czy przyjaciół?

— Nikogo — odrzekł spokojnie. — Należę do tego typu ludzi, co Rip Van Winkle. Byłem izolowany, że tak powiem, zapomniany przez wszystkich przez pół życia i nikt mnie teraz nie zna.

— Pół życia! — powtórzyła Joan. Zdawała się go dobrze rozumieć. Spojrzała nań wzrokiem, wyrażającym współczucie. — Czy tak? — zagađnęła.

Skinął głową.

— Tak, dobrze się pani domyśla! Prawdopodobnie pani zaledwie się urodziła, gdy mnie zabrano.

Dziwne podejrzenie zrodziło się w umyśle dziewczyny. Zdecydowała, że przecież niewielu ludzi zasłużyło na takie długie wyroki.

— Nie wiem, jak to było dawno — rzekła. — W każdym razie ja mam już więcej niż piętnaście lat.

Przelotny grymas pojawił się na jego twarzy.

— Co pani nasunęło tę myśl? — zapytał. Wyjaśniła z absolutną szczerością:

— Wczoraj rozmawialiśmy, a właściwie macocha moja opowiadała o pewnym jegomościu, którego przed piętnastu laty skazano na dwadzieścia lat więzienia. Nie wiem dlaczego powiązałam ze sobą te dwa wypadki.

— Jakie było nazwisko tego jegomości? — zapytał.

— Nazywał się Cheverell — odparła Joan. Wyprostował się nagle i spojrzał jej prosto w oczy.

— Tak samo jak ja! — rzekł.

Nie dała po sobie poznać zdziwienia. Jakaś tajemna intuicja powiedziała jej o tym, chociaż nie przypuszczała, że on będzie z nią taki szczery. Wyraz jej oczu nie zmienił się zupełnie i on po chwili pierwszy opuścił wzrok.

— Teraz już pani wie — wyszeptał.

I Joan uczyniła rzecz dziwną, rzecz, która pasowała raczej do chłopca, niż do dziewczyny. Wyciągnęła rękę do nieznanego.

— Dziękuję panu za to! — powiedziała z prostotą.

Nie przyjął podanej sobie dłoni. Odwrócił się nawet ruchem wyraźnej odmowy. Lecz ona nie była tym zrażona.

Położyła swą dłoń na jego ramieniu.

— Teraz pan pójdzie prawą drogą — rzekła.

Stał odwrócony od niej, z twarzą opuszczoną ku dołowi. Lecz po kilku chwilach, jakby nie mogąc się opanować, uściskał gorąco jej rękę. Zaczął mówić z widocznym trudem:

— Naprawdę, jest pani nadzwyczajna.

— Ani trochę — rzekła Joan swym spokojnym tonem i ku wielkiemu swemu zdziwieniu skonstatowała, że i jej słowa przychodziły z trudnością. — Przecież to takie naturalne, nieprawdaż? Każdy może popełnić w życiu jakąś omyłkę.

Opuścił jej rękę ku dołowi, trzymając ją jednak ciągle w uścisku.

— Pani to do mnie mówi? — rzekł prawie szeptem. — Pani, która mnie nie zna?

— Oczywiście! — odparła natychmiast. — Powiedziałabym to samo każdemu. Naszym obowiązkiem jest czynić dobrze, dopóki żyjemy. Gdybyśmy nie kierowali się tą zasadą, nie byłoby lojalności.

— Lojalność! — rzekł, tłumiąc uśmiech, który był smutniejszy od łez. — Omal nie zapomniałem, że istnieje coś takiego, jak lojalność.

Joan skierowała wzrok na szare fale rzeki.

— Wiem, że pan zapomniał, ale powinien pan pamiętać. Każdy człowiek powinien pamiętać o tym w chwili zwątpienia. Nienawidzę ludzi, którzy nie usiłują nawet wydostać się z otchłani, a pan?

— Nie wiem — odparł. — To zależy, jak nisko upadli.

— Nie! — odrzekła Joan z zapalem. — Zawsze warto się podnieść. Proszę sobie przypomnieć tego człowieka na wojnie, och, jak mi przykro! — dorzuciła, gdy on uczynił jakiś ruch pełen bezradności — zupełnie zapomniałam. Otóż był taki człowiek, który utracił wszystko, nawet honor i został zdegradowany. Lecz potem wstąpił do Legii Cudzoziemskiej i począł czynić dobro. Zawsze marzyłam o poznaniu tego człowieka.

Umilkła po tej długiej przemowie, jakby zawstydzona tym, że powiedziała tak dużo, chociaż jednocześnie chciała mu dać czas do namysłu. Jakiś wewnętrzny instynkt mówił jej, że w tym człowieku toczy się teraz zacięta walka. Był prawdziwym uosobieniem rozpacz. Ciągłe trzymał jej dłoń w swoim uścisku, lecz orientowała się, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Trzymał jej rękę raczej automatycznie.

Czekała, aby zaczął mówić, czując, że dużo zależało obecnie od tego, co powie, a gdy wreszcie przerwał milczenie, słuchała go z uczuciem dziwnej ulgi.

— A zatem — rzekł. Ona zaś dojrzała blady uśmiech na jego twarzy, który nie był przepojony ani cynizmem, ani goryczą. — A zatem, ja mam również czynić dobro?

— Ja bym stanowczo je czyniła, gdybym była na pańskim miejscu — rzekła Joan.

Spojrzenie jego znowu spotkało się z jej wzrokiem, a w spojrzeniu tym był również dobrotliwy uśmiech.

— Ciekawy jestem, czy chciałaby pani być w mojej sytuacji — zauważył.

Patrzyła nań ze szczerą odwagą.

— Może bym nawet chciała — odparła. — Ogromnie lubię pokonywać przeszkody.

— Mogłaby pani stracić siły! — wyszeptał. — Chociaż wątpię, bo posiada pani dużo odwagi.

— Nigdy nie wystawiałam swoich sił na próbę. Uczynił ruch pełen uszanowania.

— W każdym razie okazała mi pani wiele dobroci. Dziękuję pani za nią. Teraz pragnąłbym się czegoś dowiedzieć.

— Mianowicie?

Spoglądał na nią przenikliwie, jakby bardzo dużo zależało od informacji, której mu miała udzielić.

— Pragnąłbym wiedzieć — wyszeptał — co skłoniło macochę pani do wymienienia mego nazwiska podczas wczorajszej rozmowy.

— Właściwie nie wiem. Prosty przypadek.

— Jest pani pewna, że to był przypadek? — zapytał.

— O, tak, najzupełniej. Ona często coś takiego opowiada—odparła Joan. — Nia miała pojęcia, że pan znajduje się gdzieś tutaj w pobliżu.

— Więc mówiliście państwo w ogóle o sławnych kryminalistach, prawda?

— Ja nie mówiłam — odrzekła Joan. — Nie wiem, dlaczego macocha zaczęła o tym mówić. Ale gdy się jest w towarzystwie, rozmawia się o różnych rzeczach.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, komu opowiadała o tym pani macocha? — zagadnął.

— Beresfordowi Vane i jego matce — odparła obojętnie Joan, pragnąc go tylko uspokoić. — Mieszkają obydwójce ze starym admirałem Vane-Traffordem w Lacy Denham.

— Czy to są pani przyjaciele? — zapytał.

— Bardzo serdeczni. Berry jest ogromnie miły. Wszyscy bardzo go lubimy. — Poczęła się uśmiechać. Jaka szkoda, że Beresforda tu nie było. Z pewnością pomógłby jakoś temu biedakowi. Nagle zauważyła wyraz zaciekawienia w oczach nieznajomego i poczęła się zastanawiać nad tym, co mogło go w jej słowach tak zainteresować.

On nagle zaczął mówić, jakby odpowiadając na to jej zdziwienie:

— Lubi go pani, istotnie? Co za szczęściarz z niego. Joan wybuchnęła mimowolnym śmiechem.

— Tak, lubię go, ale nie w sentymentalnym znaczeniu tego słowa. Polujemy razem prawie codziennie. Jest doskonałym sportsmenem.

— Ach! — westchnął głęboko. — Widocznie musielibyśmy być wszyscy sportsmenami, aby zaskarbić sobie odrobinę przyjaźni. Mam

nadzieję, że polubi go pani jeszcze bardziej. Ciekaw jestem, czy natchnęła Już pani kogoś tak, jak mnie dzisiaj!

— Niech pan nie plecie głupstw — oburzyła się Joan.

Jego dziwny uśmiech dotknął ją, lecz uważała, że lepiej mu tego nie okazywać.

— Mówię całkiem poważnie — rzekł po chwili. — Jeżeli sobie pani nie życzy, nie będę mówił dalej. Pozwoli mi pani podziękować za swą dobroć i prosić o okazanie dalszych względów?

— Oczywiście, uczynię wszystko, aby panu pomóc — odparła Joan.

— Ogromnie lubię to pani „oczywiście”—wyszeptał.—Nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ktoś w podobny sposób ten wyraz wypowiadał. Chodzi mi tylko

o to, aby pani była łaskawa nie wspominać nikomu o naszym spotkaniu.

— To wszystko? — uśmiechnęła się Joan. — Mogę panu to obiecać.

i tak nie miałam zamiaru nikomu o tym mówić.

— Możliwe, ale w każdym razie dziękuję za obietnicę! A teraz — westchnął głęboko — lepiej będzie, gdy sobie pójdę.

— Dokąd pan zamierza pójść? — zapytała.

Zadała to pytanie całkiem naturalnie i z prostotą. Dziwne, że uczuła teraz, iż ten wygnaniec nie był już jej tak daleki. Była mu wdzięczna za to, że miał do niej tak duże zaufanie.

— Czy naprawdę chciałaby pani wiedzieć? — zapytał.

— Tak, niech mi pan powie! — odparła.

Spojrzał na nią, a na jego twarzy odzwierciedliło się coś takiego, co wniknęło aż do głębi jej serca.

— Zamierzam — mówił wolno, jakby cedząc każde słowo — zamierzam otrząsnąć się i wstąpić w życie na nowo.

— Bardzo pięknie! — pochwaliła Joan. — Ale dokąd zamierza się pan udać?

— Tego nie mogę pani powiedzieć. Sam nie wiem.

— A powie mi pan, jak pan będzie wiedział? — zapytała. Uniósł brwi, powodowany nagłym zdziwieniem.

— Co takiego? Chce pani powiedzieć, żebym napisał?

— A czemu nie?

Zdziwiony wyraz w jego oczach zniknął.

— Nie — zawołał — nigdy w życiu nie zdarzyło mi się spotkać takiej istoty, jak pani. Czy pani jest religijna?

— Wierzę w Boga, jeżeli o to panu chodzi — odparła Joan zupełnie szczerze.

Skinął głową.

— Właśnie o to mi chodziło. I sędzę, że On powinien być dumny z pani. Tak, napiszę pani kilka słów, gdy stanę już na nogach, ale musi mi pani podać swoje nazwisko i adres.

— Jestem Joan Harbridge z Dworu Harbridge — odparła. — Będzie pan chyba pamiętał?

— Na pewno — rzekł, po czym przyklęknął na jednym kolanie i ucałował jej rękę.

— Ach, niech pan da spokój! — zawołała Joan, zażenowana. Choć żal jej było tego człowieka, nie pojmowała jego gestu.

Podniósł się.

— Do widzenia! — rzekł.

Uścisnęła mu mocno rękę. Była dziwnie wzruszona.

— Do widzenia — powtórzył, po czym dodał z dziwnym uśmiechem: — Pani jest święta!

Zaprotestowała słabym głosem.

— Głupstwa pan plecie! Proszę nie być śmiesznym! Do widzenia, życzę dużo szczęścia!

Wypuścił jej dłoń z uścisku. Poklepała go przyjaźnie po ramieniu, jakby był jej rówieśnikiem i odwróciła się, spłonawszy purpurowym rumieńcem.

Stary Busby czekał na nią na ścieżce. Nie obejrzała się ani razu, wspinając się po stromym brzegu. Potem, z ręką na cuglach, odwróciła się i rozejrzała dokoła.

Wygnańca już nie było.

— Przyjemnie jest być ładną — rzekła Sally.

Persis powstrzymała głębokie westchnienie i spojrzała na nią prawie z rezygnacją.

— Posiada to jednak swoje złe strony, moja kochana. Mężczyźni są tacy nudni!

Sally zachichotała cicho. Siedziała w swej ulubionej pozie, z pod-

winiętymi nogami w kącie kanapy. Trzymała w ręku purpurowy goździk, który od czasu do czasu wachała.

Przyjechała ze szkoły na ferie Bożego Narodzenia dopiero wczoraj i upojona była swą swobodą. Persis stała przy stole w wyniosłej pozie, układając cieplarniane kwiaty w wazonie. Sally bawiła się kosztem przyrodniej siostry w jakiś dziwny, złośliwy sposób. Przecież to wszystko, co Persis mówiła, było skierowane do niej.

— Nie martw się! — zawołała Sally wesoło, odpowiadając na ostatnią uwagę Persis. — Będiesz przecież gwiazdą sezonu, gdy pojedziesz na wiosnę do miasta i z pewnością wyjdiesz za mąż bardzo prędko.

Persis uniosła swe delikatne brewki, słysząc to zapewnienie.

— Moja droga, wcale mi nie śpieszno wyjść za mąż — odparła. Sally uczyniła nieprzyjemny grymas.

— Zależy na kogo natrafisz, prawda? — zauważyła. — Gdyby to był na przykład książę, posiadający błękitną krew i brzęczący monetą...

— Głupstwa mówisz — odparła Persis, wzdychając znowu, jakby bardzo znudzona.

— To tylko dlatego, że jestem bardzo młoda — zawołała Sally z powagą. — Zmądrzeję, jak dorosnę. Bardzo lubię książęta, a ty? Oni są tacy strasznie nieprzystępni.

— Nie jestem tego pewna — mruknęła Persis.

— Nie? — zdziwiła się Sally. — Jestem przekonana, że żaden książę nie spojrzałby nawet na mnie, bez względu na to, ile miałby lat.

— W tym wypadku — rzekła Persis, układając dalej kwiaty — myślę, że prawdopodobnie masz słuszość.

— Ciekawa jestem, czy pojedziesz do miasta na wiosnę — mruknęła Sally.

— To zależy.

— Od czego? — zapytała znowu nieznośna dziewczyna. — Przecież umiesz doprowadzić do wszystkiego, czego pragniesz, jeżeli tylko zadasz sobie trochę trudu.

— Niestety, nie! — rzekła Persis. — Nie zawsze to jest takie łatwe...

— Do licha! — zakląła Sally.

— Widzisz — ciągnęła dalej Persis z godnością — cała moja przyszłość praktycznie zależy od niektórych przyjaciół mamy. Teraz,

na przykład oni są w Ootacamund i nie wiadomo, czy wrócą w marcu lub kwietniu, aby spędzić lato w Anglii.

— Ach! — zawołała Sally rezolutnie. — Słyszałam, że Ooty jest tak cudowną miejscowością, iż trudno się z nią rozstawać na długo.

— Właśnie w tym tkwi największy sęk — skinęła głową Persis. — Oni ogromnie lubią tę miejscowość, a jednocześnie są moją jedyną nadzieją. Wiesz, że to nie takie łatwe.

— Bardzo przykra sprawa! — przyznała Sally. — Nie znoszę ludzi, którzy nie potrafią się zdecydować. — Powąchała znowu trzymany w ręku goździk. — Zabawne jest pomyśleć — zawołała, odbiegając od tematu — że na wiosnę będę miała już osiemnaście lat.

— Ach, ty! — rzekła Persis z uśmiechem. — Jesteś jeszcze takim dzieckiem, że trudno przypuszczać, iż masz więcej, niż osiem lat. W każdym razie nikt cię o więcej nie posądzi.

— Możliwe — rzekła Sally, zupełnie niezażenowana tym oświadczeniem. — Ośmioletnie dzieci też mają swoje przygody. Nigdy nie będę się lepiej bawiła, jak podczas zeszłorocznych wakacji.

— Naprawdę nie pamiętam, co takiego robiłaś zeszłego lata — zaprotestowała Persis, wznosząc znowu swe brewki.

— Wiem, że pojechaliśmy do Szkocji, ale ja osobiście nie byłam z tego bardzo zadowolona. Podróże mnie nie nęcą. Spotyka się zbyt wiele nieprzyjemnych ludzi.

— To bardzo smutne! — uśmiechnęła się Sally. — Założę się, że zarówno Joan, jak i ja bawiłyśmy się w Wimereux doskonale. Joan jest niezwykłą dziewczyną.

— Istnieją rozmaite gusta! — zauważyła Persis nieco dwuznacznie. — Ja osobiście wcale nie byłam zachwycona Wimereux. Straszna dziura.

— Tak, bardzo prymitywna — przyznała Sally. — Dlatego pewnie obydwie z Joan, tak dobrze się tam czułyśmy. W każdym razie było o wiele weselej, niż w domu.

— Siedzenie w domu byłoby jeszcze gorsze — zgodziła się Persis. — Nawet Berry wyjechał na letnie wakacje.

— Tak, był w Szwajcarii — rzekła Sally. — Nie widziałam go od zeszłej Wielkanocy i prawie zapomniałem, jak wygląda.

— Bardzo wyrósł i zmeźniał, stał się nawet przystojny. Słyszałam, że admirał jest ogromnie z niego dumny.

Sally uczyniła znowu grymas.

— Nie lubię ładnych chłopców — zauważyła obojętnie. — Mają zawsze wrażenie, że wszystkie dziewczęta na nich lecą. A co się dzieje z jego matką?

— Naprawdę nie wiem — odparła Persis. — A dlaczego pytasz?

— Joan powiada, że wygląda okropnie, ale przecież ona zawsze źle wyglądała, nieprawdaż? Nie pamiętam, kiedy była zupełnie zdrowa. Jak mają zamiar uczcić uroczystość dwudziestej pierwszej rocznicy urodzin Berry'ego? — Sally mówiła obojętnie, lecz jej oczy zabłyśły niesamowicie, zapatrzone teraz w sam środek purpurowego goździka. Persis obrzuciła ją pośpiesznym spojrzeniem, które także było dość wymowne.

— Sądzę, że to będzie jedna z tych staroświeckich ceremonii — odparła. — Obiad dla dzierżawców w Village Hall, a potem tańce, czy coś w tym rodzaju. Zasadniczo nie mówiono mi nic o tym. Prawdopodobnie Joan więcej wie ode mnie.

— Berry jest w gruncie rzeczy dobrą partią — zauważyła Sally, obracając wciąż kwiat w palcach.

Persis uśmiechnęła się ironicznie.

— Kwestia gustu! Przecież w przyszłości może być tylko szlachcicem, nie posiada żadnego tytułu.

— To prawda! — westchnęła Sally. — Wątpię, czy ty byś chciała nawet nań spojrzeć.

Persis wzruszyła ramionami.

— W każdym razie nie lecę na niego, jeżeli ci o to chodzi — odparła. — Możesz mi dać ten kwiat, który trzymasz? Zielone oczy zapłonęły nagle, zetknąwszy się ze wzrokiem Persis. Sally zaśmiała się dziecinnie, z przekorą, pokazując koniec języczka między zębami. Potem ruchem pełnym kokieterii, wpięła czerwony goździk w czarne włosy za uchem.

— Nie uważasz, że on tutaj o wiele ładniej się prezentuje? — zapytała.

Persis nie uśmiechnęła się nawet.

— Nie, nie uważam — rzekła z zupełną powagą. — Żadna dekoracja nie zrobi różnicy, więc powinnaś sobie te wszystkie nonsensy wybić z głowy.

— Jakie nonsensy? — zapytała Sally.

Persis postanowiła dać nauczkę swej przyrodniej siostrze.

— Nie powinnaś sobie wyobrażać, że w czymkolwiek będzie ci do twarzy, bo nie posiadasz żadnych danych, aby wierzyć w to, że jesteś ładna. Wyglądasz jak Chinka bez warkocza.

— Och, dziękuję ci serdecznie! — zawołała Sally z taką radością, że Persis skrzywiła się niechętnie. — Ależ to cudowny pomysł! Może gdybym pojechała do Chin, albo Japonii, znalazłabym tam kogoś z tytułem, kto by uważał, że jestem piękna. Czyż nie byłoby to zabawne, Persis, gdybym wyszła za mąż za księcia krwi, podczas gdy ty zdołałabyś złapać zaledwie przeciętnego szlachcica?

Delikatne rysy twarzy Persis skurczyły się dziwnie. Doszła do wniosku, że na taką zniewagę nie powinna odpowiadać słowami.

— Będę ogromnie zadowolona, gdy znudzi ci się już wreszcie zabawa z tym goździkiem — rzekła chłodno. — Przypuszczam, że oddasz mi go, oczywiście, jeżeli będzie jeszcze w takim stanie, że można go będzie wstawić do wazonu.

— Ależ on jest już na nic — odparła Sally ubawiona. — Zwiądł zupełnie, gdy się tylko zetknął z moją okropną chińską głową. Będąc na twoim miejscu, pozostawiłabym ten goździk, skazując go na zagładę.

— Jesteś strasznie próżna — rzekła Persis uszczypliwie. — A nie masz żadnych danych, aby być próżną. Gdy będziesz nieco starsza, sama dojdiesz do tego wniosku.

— Takie przekonanie na dobre nie wyjdzie — odparła Sally. — Czy orientujesz się, że w lutym skończę osiemnaście lat?

— Mimo to nie opuścisz szkoły do lata — rzekła Persis ostro.

— Wiem — odparła Sally z głębokim westchnieniem. — Ty się już o to postarasz, prawda?

— Mama uważa, że tak będzie najlepiej — rzekła Persis trochę niepewnie. — I ma słuszość. Ty jesteś jeszcze strasznie młoda na swój wiek.

— Serdeczne dzięki! — powiedziała Sally drżącym głosem. — Ale nawet ty nie będziesz mogła zatrzymać mnie w szkole po lipcu, chociażbym była nie wiem jak młoda.

Persis oglądała swój wazon z kwiatami okiem znawczyni i widocznie zdecydowała, że kwiat, trzymany przez Sally, nie nadaje się już do wazonu.

— Nie — rzekła wreszcie — w Anglii na pewno nie. Na nieszczęście

nie masz zupełnie zamiłowania do wyższych studiów. Słyszałam jak mówiono coś o tym, żeby cię wysłać do Brukseli na rok, abyś nabrała trochę oglądy.

Sally nagle znieruchomiała. Siedziała jak mała, marmurowa figurka.

— Więc tak to wygląda? — wyszeptała w pewnej chwili. — A ja po prostu nie pojedę, choćby nawet zmuszali mnie do tego!

Persis uśmiechnęła się z przekąsem.

— Moja kochana, postąpisz tak, jak będzie chciał twój ojciec. On nie pozwoli sobie na żadne sprzeciwy z twojej strony.

— Ale nie wyśle mnie wbrew mojej woli — rzekła Sally tym samym spokojnym, przyciszonym głosem.

— Na pewno to uczyni, jeżeli mama będzie to uważała za stosowne — odparła Persis lakonicznie. — Ona lepiej zna dziewczęta, niż twój ojciec, a nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przydałaby ci się odrobina wychowania. Mama zawsze to powtarza.

Sally nagle zapałała gniewem.

— Gwiżdżę na to, co twierdzi twoja „mama” — oznajmiła z wybuchem. — Tak samo jak gwiżdżę na ciebie, głupia intrygantko! Dążysz do tego, żeby mnie wysłano, bo lękasz się, że ci zrobię konkurencję. Ja tam wcale nie patrzę na tych idiotów, którzy się koło ciebie kręcą!

Ogarniała ją coraz większa złość. Zerwała się na równe nogi, drżąc ze zdenerwowania. Persis odwróciła się od niej z niechęcią, nie zapominając jednak zachować swej godności.

— Głupia smarkata! — zawołała. — Jak możesz być taka nieznośna? To zazdrość przez ciebie przemawia.

— Zazdrość! — syknęła Sally. — Ty lalko malowana! Czego bym ci miała zazdrościć, może mi powiesz? Ty jesteś zazdrosna i dlatego pragniesz, abym została jak najdłużej w szkole! Ale to ci się nie uda. Po wakacjach nigdzie nie wyjadę. Możesz sobie gadać, ile zechcesz. Nie pojedę! — podnosiła coraz bardziej głos i prawie krzyczała w tej chwili.

— Niemożliwe! — zawołała Persis.

Rozejrzała się dokoła i z ulgą skonstatowała, że drzwi były otwarte. Nigdy jeszcze nie widziała Sally w takim podnieceniu i nie orientowała się, czy należy lękać się tej dziewczyny, czy też tylko bawić się jej złością.

Sally sprawiała wrażenie małej tygrysicy, gotowej do skoku. Śmieszne byłoby lękać się jej, ale z drugiej znów strony...

Persis odetchnęła swobodniej, słysząc przez otwarte drzwi odgłos zbliżających się kroków.

— Halo, Joan! — zawołała. — To ty? Chodź i zobacz moje kwiaty! Odpowiedział jej meski głos:

— Niestety, to nie Joan! Aleja także chętnie je zobacze. Można wejść?

— Boże święty! — zawołała Persis. — Phil Croy! Młodzieniec wszedł do pokoju z miną człowieka, który pewny jest serdecznego powitania. Miał na sobie sportowy garnitur, w którym mu było wyjątkowo do twarzy. Twarz miał zresztą całkiem ładną, ale dość pospolitą. Gęste włosy przyczesane były gładko. Szedł majestatycznym krokiem, z niezwykłą pewnością siebie.

— Tak, Phil Croy! — rzekł, podając najpierw rękę Persis, a potem Sally, która zdawała się nie oczekiwać tego. — Przyszedłem tu, aby zabrać panią na przejażdżkę. Przypuszczam, że moja propozycja zostanie przyjęta. Nie przeszkadzam? — wzrok jego błędził po twarzach dziewcząt. — Kazano mi tu wejść.

— Oczywiście, że pan nie przeszkadza — rzekła Persis łaskawie. — Bardzo się cieszę, że pan przyszedł. Nie przypuszczałam jednak, że pojedziemy konno. Nie jestem odpowiednio ubrana. Może lepiej wybralibyśmy się samochodem.

— Chciałaby pani? — zapytał z radością. — Doskonale! Będzie to dla pani druga lekcja prowadzenia auta. Ostatnim razem wykazała pani duże zdolności.

Uczyliła dziwny grymas, który według niej miał wyrażać uprzejmą obojętność.

— Już wszystko zapomniałam. Sally, pobiegiesz do Hawkinsa i powiesz, aby przygotował auto.

— Dlaczego nie miałabyś tego sama uczynić? — oburzyła się Sally.

— Ach, głupstwo! — rzekł Phil. — Pani pozwoli! Uczynił ruch w stronę drzwi, lecz Persis zatrzymała go.

— Sally pójdzie — rzekła rozkazująco. — Biegnij, Sally! Stajesz się śmieszna. A wyjmij przedtem ten kwiat z włosów! Bardzo słusznie robisz — dodała widząc, że Sally rwie kwiat na strzępki i rzuca jej pod nogi. — Teraz biegnij i bądź grzeczna! Niech pan siada, Phil! Może pan zapalić, jeżeli ma pan ochotę!

— Dziękuję serdecznie! — skłonił się Phil.

Nie zwracali już więcej uwagi na Sally, która po chwili, nie widząc innego wyjścia, wymknęła się z pokoju. Nigdy nie lubiła Phila Croya. Po prostu czuła się urażona jego zachowaniem, choć właściwie nigdy nie uczynił, ani nie powiedział jej nic przykrego.

Polecenie zawiadomienia Hawkinsa dotknęło ją nieco, lecz postanowiła spełnić je, pomna tłumaczeń Joan, która zawsze jej perswadowała, że Sally jest przecież najmłodsza i powinna słuchać starszych.

Gdy wyszła z garażu i wolnym krokiem wracała ku domowi, stanęła nagle oko w oko z Beresfordem.

Sally zarumieniła się aż po korzonki swych czarnych włosów, chociaż w duszy zła była na siebie za to, że nie mogła utrzymać równowagi. Właściwie nie widziała Beresforda od owego pamiętnego dnia, kiedy się poprzytykali i przez cały ten czas chciała wmówić w siebie, że wcale nie tęskni za jego widokiem.

Widocznie on również nie odczuwał tej rozłąki, bo zawołał z taką swobodą, jakby się rozstali dopiero wczoraj:

— Hallo! Czyżby to była Sally! Nadzwyczajne! Zbytecznie byłoby pytać o twoje zdrowie. Wyglądasz, jak róża.

Kwitniesz.

— Sam kwitniesz! — odparła Sally, odzyskując równowagę, która ją na chwilę opuściła. — I tyjesz także. Co się z tobą stało, na miłość boską?

Był to odwet za jego powitanie. Twarz Beresforda nieco spochmurniała.

— Ja! Zdaje ci się! — oświadczył. — Cóż za głupie posądzenia! Staciłem kilka funtów od lata.

— Od kiedy? Założę się, żeś utył! — zaśmiała się Sally! — Kogo szukasz? Joan? Wyszła z ojcem. Persis? Jest w domu w towarzystwie Phila Croya. Mają pojechać autem na spacer. Lękam się, że będziesz ją musiał odwiedzić kiedy indziej.

Beresford zmarszczył brwi, słysząc te słowa, a ona zaśmiała się nieco złośliwie.

— Phil Croy! — wyszeptał. — Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ten dureń tu przychodzi! Po jakie лихо zjawił się znowu?

— Nie wyobrażam sobie — odparła Sally. — Ale właściwie dlaczego nie miałby przyjść, jak zresztą każdy inny znajomy?

Beresford odwrócił się od niej.

— Za mądra jesteś, moje dziecko. Sama nie wiesz, co mówisz.

— To jest najlepszy dowód mądrości, nieprawdaż? — odcięła się Sally. — Ty też kiedyś dojdiesz do tego przekonania. Może byś wszedł do mieszkania? Zdażysz jeszcze udzielić im swego błogosławieństwa.

Uczył obojętny ruch i energicznie otworzył przed nią drzwi. Sally weszła majestatycznym krokiem księżniczki.

— Tędy droga do świątyni kochanków! — oznajmiła z patosem. — Znajdziesz ich w małym saloniku.

Wypowiedziawszy te słowa poczęła wspinać się po schodach, pozostawiając go w hallu samego.

Poszedł we wskazanym kierunku. Lecz jedyną osobą, jaką zastał w saloniku, był Phil Croy, rozłożony w głębokim fotelu i palący papierosa.

Beresford zlustrował go krótkim, niechętnym spojrzeniem, które wyrażało więcej niż słowa. Zdawał się prowokować go tym wzrokiem. Phil Croy był starszy od Beresforda o trzy lata, co w każdym razie stanowiło znaczną różnicę.

Beresford podszedł do okna i wsunawszy ręce w kieszenie, począł obojętnie spoglądać na ogród.

Na odległość pokoju doszedł go pewny siebie głos Croya:

— Pan już wrócił?

Beresford wzruszył ramionami, nie odwracając się.

— Bo co?

— Dopiero dzisiaj, przypuszczam — ciągnął dalej Croy, uśmiechając się lekko. — Admirał był u nas wczoraj i mówił, że oczekuje pańskiego przybycia. — Wyjął z ust papierosa i począł go oglądać.

— Nadzwyczajny starzec, powiadam! Trzyma się na swój wiek nadspodziewanie.

— Nieprzeciętny wiek — zauważył Beresford grobowym głosem.

— Przyznaję — zgodził się Croy łagodnie. Przyglądził czuprynę i znowu począł obracać w palcach trzymanego papierosa.

Siedział w fotelu z zupełną swobodą, choć poza Beresforda była dlań stanowczo obraźliwa.

Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał Croy, spoglądając ukradkiem na otwarte drzwi.
— Co się stało z małą Sally? Zdaje się, że przed chwilą słyszałem jej głos. Beresford odwrócił się nieoczekiwanie.
— Nie mam pojęcia, co się z nią stało — rzekł. Błękitne oczy Croya spojrzały przenikliwie w jego twarz.
— Myślałem, że wróciła z panem — rzekł obojętnie. — Zabawny z niej dzieciak!
Całą odpowiedzią Beresforda było wymowne milczenie, które wywarło jednak pewien wpływ na towarzysza, lecz nie spieszyło go i po chwili ciągnął dalej:
— Dobry z niej będzie numer za kilka miesięcy, niech pan zapamięta moje słowa! Temperament ma nieokiełzany!
— Panie! — wybuchnął Beresford, jakby nie mogąc już dłużej panować nad sobą.
Croy cofnął się trochę na krzesło, lecz głos jego zachował ten sam spokój.
— Co pan chce ode mnie? Przecież nic panu złego nie zrobiłem! Beresford podszedł do kominka, poprawił ogień z wściekłością, po czym zwrócił się znów do swego przeciwnika:
— Z prawdziwą przyjemnością oświadczam panu — rzekł, cedząc słowo po słowie — że jest pan największym durniem, jakiego zdarzyło mi się spotkać w życiu! To tylko chciałem panu powiedzieć!
— Na miłość boską! — zawołał Croy, zrywając się z miejsca. Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo nagle do pokoju wbiegła Persis.
Wpadła zarumieniona, wyglądając prześlicznie w granatowym skórzanym płaszczu i skórzanej maleńkiej czapeczce.
— Ach, chłopcy! — zawołała. — Nie kłóćcie się! O co wam idzie? Beresford! — błagalnie schwyciła go za rękę. Ujął jej dłoń z zażenowaniem, podczas gdy Phil Croy stał na środku pokoju, paląc wciąż jeszcze swego papierosa. Persis błędziła zaleknionym wzrokiem po ich twarzach.
— Och, dajcie spokój! — zawołała z kokieterią. — Berry, tyś tego nie myślał, coś powiedział przed chwilą. Jestem pewna, żeś nie myślał. To była tylko zazdrość, nieprawdaż?
— Nie — odparł ponuro Beresford. Zwróciła się do Croya:

— Phil! Musi pan być grzeczny, bo nie pojedę z panem. Właściwie już teraz nie powinnam pojechać. Nie znoszę ludzi, którzy się o mnie kłóca.

Beresford wybuchnął nagle śmiechem.

— Lękam się, że sięfliylisz, moja droga. Tym razem nie szło o ciebie, lecz o Sally.

— O Sally! — rumieniec zniknął z twarzy Persis. Po chwili zarumieniała się ze złości. — O Sally! — powtórzyła mimo woli.

On zaśmiał się trochę nieszczerze.

— I któż by przypuścił? Takie nieporozumienie! Muszę pójść i powiedzieć jej o tym. Ubawi się dziewczyna.

Persis uczyniła gniewny ruch niechęci. Stała, spoglądając na dwóch młodzieńców wzrokiem księżniczki. Lecz nim zdołała wyrazić swe oburzenie słowami, Croy odezwał się:

— Ten młodzieniec plecie głupstwa, panno Persis. Będąc na pani miejscu, nie zwracałbym na to uwagi. Właściwie Sally nie miała z tym nic wspólnego. Była tylko pretekstem.

— Ja tam nie jestem tego pewny — wtrącił Beresford.

Lecz Persis odsunęła go od siebie energicznym ruchem. Była na niego strasznie zagniewana.

— Mam zaufanie do pańskich słów — zwróciła się do Croya. — Idziemy? Robi się późno.

Croy ruszył z miejsca z uśmiechem, a Beresford usunął im się z drogi z ponurą twarzą. Chociaż był jeszcze wściekły, to jednak nie dawał im tego poznać. Lecz gdy Persis wyszła ze swym towarzyszem, wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła ze smutkiem, co by dziewczynie sprawiło na pewno wielką radość, gdyby to dostrzegła.

Właśnie w tej chwili Beresford zdecydował, powodowany nagłym impulsem, że cokolwiek się stanie, musi sprzątnąć Croyowi sprzed nosa Persis.

— Chciałem z tobą pomówić, Berry, mój chłopcze — rzekł admirał z bladym uśmiechem. — Doszedłem do wniosku, że z każdym dniem staję się starszy.

— Cóż za głupstwa, sir! — zaprotestował Beresford.

— Nie przerywaj! — rozkazał admirał. — Wiem dobrze, o czym mówię. Któregoś pięknego dnia zamknę oczy i tobie zostawię wszystko na barkach. Musisz przecież wiedzieć, jak się wziąć do dalszego prowadzenia interesów.

— Sir — odezwał się Beresford — jeżeli wuj ma zamiar mówić ze mną w ten sposób, to nie pozostanie mi nic innego, jak zapewnić wuja, że będę się starał nadal zachować rodowe tradycje, chociażby ze względu na pamięć ojca. Admirał uczynił niespokojny ruch. Spoczywał w staroświeckim fotelu, przed kominkiem w swym gabinecie.

Przeziębł się przed kilku dniami, miał bronchit, toteż nie był w najlepszym humorze.

— W danej chwili mówimy o tobie — rzekł trochę porywczo. — Istnieje całe mnóstwo rzeczy, które pragnąłbym z tobą omówić. Harbin orientuje się w tym wszystkim doskonale. — Przerwał, nawiedzony nowym atakiem kaszlu.

— To może pomówiłbym z Harbinem?—zaproponował Baresford.

— Siadaj!—zawołał admirał.—Nie przerywaj, dopóki nie skończę! Zakaszłał znowu, szkarłatniejąc na twarzy, a Beresford, nieco

bezzradny, usiadł z odrobiną niecierpliwości, odsuwając swoje krzesło nieco od ognia.

Admirał odchrząknął i spojrział na siostrzeńca.

— Pragnąłbym powiedzieć tylko jedno — rzekł po krótkiej chwili milczenia — o czym prawdopodobnie dotychczas nie myślałeś. Właściwie nie istnieje prawny spadkobierca tej posiadłości. Gdybym chciał, mógłbym zapisać cały majątek na cele dobroczynne.

Beresford poruszył się na krześle jeszcze bardziej niecierpliwie.

— Ależ ja wuja nie powstrzymuję od tego — rzekł z zapalem. — Nie powstrzymywałbym nawet wówczas, gdybym miał do tego prawo.

Admirał uspokoił go skinieniem ręki.

— Cicho bądź, mój drogi! — rzekł. — Oczywiście, że mnie nie powstrzymujesz! Nie bądź głupi!

Beresford przyjął dawną pozycję na krześle. Cała ta historia nie byłaby taka nieprzyjemna, gdyby nie pragnął w tej chwili wymknąć się na polowanie, do Joan, która prawdopodobnie już wyjechała, widząc, że on się nie zjawia.

— Nie bądź głupi! — powtórzył admirał z mniejszym już zdenerwowaniem. — Czy nie rozumiesz do czego zmierzam? Za dwa, trzy tygodnie będziesz pełnoletni i prawdopodobnie sądzisz, że staniesz się panem własnej woli. A4e tak nie będzie. Okres twojej próby dopiero się rozpocznie. Rozumiesz?

— Nie wiem, czy ta próba będzie miała zadowalające wyniki — rzekł Beresford.

— Musi mieć zadowalające wyniki — odparł admirał. — Zadałem sobie dużo trudu, aby uczynić z ciebie to, czym jesteś, zadanie moje jednak nie jest jeszcze skończone. Gdyby życie nie było tak niepewne, pozostawiłbym ci może jeszcze kilka lat swobody, lecz w obecnej sytuacji nie mogę sobie na to pozwolić. Nie wiem, jak daleko zaawansowałaś już w kolegium i ile ci jeszcze zostało do zrobienia. Nie dbam zresztą o to. Twoja uniwersytecka kariera jest już skończona. Zostaniesz teraz w domu, aby się nauczyć prowadzenia Lacy Denham.

— Wielki Boże! — zawołał Beresford. — Co wuj właściwie ma na myśli?

Cofnął się na swym krześle, przerażony, spoglądając przenikliwie w twarz wuja. Taki pomysł nigdy mu dotychczas nie przyszedł do głowy. Do tego stopnia przejęty był oświadczeniem admirała, że na chwilę zapomniał zupełnie o oczekującej go Joan.

— A jak ci się zdaje, co mam na myśli? — zagadnął admirał. Beresford odetchnął głęboko.

— Nie mam pojęcia, sir. Przysięgam, że nie wiem. Przecież nie otrzymałem jeszcze dyplomu, a poza tym mam milion rzeczy do załatwienia, nim opuszczę Cambridge. Jestem prezesem ligi antybojówkarzy, która jest jedyną kontrsocjalistyczną organizacją. Prowadzę również kółko literackie, które rozwija się z każdym miesiącem.

Rozumie wuj, że nie mogę tego wszystkiego zostawić i osiąść na stałe w Lacy Denham.

Mimo argumentów, jakie wysuwał, widać było, że nie protestuje stanowczo. Admirał pozwolił mu się wypowiedzieć. Siedział z ponurą twarzą, czekając aż siostrzeniec skończy i Beresfordowi po raz pierwszy przyszło na myśl, że istotnie wuj w ostatnich czasach bardzo się postarzał.

— Mam nadzieję, że wuj mnie rozumie?— dorzucił po chwili, gdy wypowiedział wszystkie swe argumenty, a admirał wciąż jeszcze nie przerywał ciszy.

Spojrzenie przenikliwych oczu starca błędziło po dywanie, leżącym przed kominkiem.

— Wiedziałem o tym wszystkim, jeszcze nim zaczęłaś mówić — wybąkał. — Bardzo mi ciebie żal. Ale lepiej nie żałować tego, na co nie ma żadnej rady. Potrzebny mi jesteś w domu i to wszystko.

— Tak, ale... — zaczął Beresford. Admirał przerwał mu krótko:

— Powiedziałem ci już raz, więc musisz się do tego zastosować. Trzeba wziąć pod uwagę stan zdrowia twojej matki, chociaż ona się do swych cierpień nie przyznaje. A poza tym ja — odchrząknął głośno — z tym obrzydliwym bronchitem. Harbin jest bardzo porządnym człowiekiem, lecz wolę sam nauczyć cię wielu rzeczy. Najlepiej będzie, gdy otrzymasz ode mnie wskazówki i wołałbym, abys się zaczął zajmować tym bezzwłocznie. Istnieje możliwość, że nie będziesz miał zbyt dużo czasu na naukę.

Umilkł. Beresford odzyskał już równowagę po chwilowej konsternacji i spoglądał wujowi prosto w oczy, chociaż zdziwiony był nieco, bo do tej pory nie słyszał nigdy podobnie pesymistycznych słów z ust starca. Wspomnienie stanu zdrowia matki przekonało go bardziej. Już decyzja starego admirała, odnosząca się do jego własnej przyszłości. Zrodził się w jego duszy jakiś niewytłumaczony lęk, który zasnuł wszystkie inne myśli i sprawiał dziwny ból w sercu.

Po chwili Beresford odezwał się z nerwowym niepokojem:

— A co jest ze zdrowiem mojej matki, sir? Czy wuj coś wie? Admirał uczynił niecierpliwy gest, jakby ten temat był dlań bardzo nieprzyjemny.

— Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem znawcą cierpień kobiecych. Prawdopodobnie to są nerwy, przynajmniej tak mi się zdaje. W każdym razie w żadnej sytuacji nie można liczyć na pomoc ze strony twojej matki. Sam się zresztą już niejednokrotnie o tym przekonałeś. Musisz się nauczyć samodzielności i zająć się wszystkim. Jeżeli nie masz ochoty, to będę musiał poradzić sobie jakoś inaczej.

— To ma być pogrożka? — zauważył Beresford.

— Obyś się nigdy z gorszymi nie spotykał! — uśmiechnął się admirał. — Dość już miałeś rozrywek, najwyższy czas przyjąć na siebie jarzmo codziennych kłopotów. Słuchaj chłopcze! — Głos jego stał się

nieco łagodniejszy. — Nie będę zbyt srogi dla ciebie, gdy weźmiesz się do pracy. Jesteś może bardzo młody, ale posiadasz rozwinięty umysł. Nie znaczy to, że pragnę sam wytknąć ci w życiu drogę. Będiesz pracował i sam tę drogę wkrótce sobie znajdziesz.

Słowa te wzruszyły Beresforda, mimo poprzedniej niechęci. Zorientował się, że poza arbitralnością, wuj po prostu zwracał się doń o pomoc i wrodzona młodzieńcza rycerskość odezwała się w nim nagle.

— Oczywiście, jeżeli jestem wujowi potrzebny, jeśli wuj może mieć ze mnie jakiś pożytek, to zupełnie coś innego.

Szkoda, że nie wiedziałem

o tym dotychczas, ale teraz nie ma już innej rady. Mam nadzieję — mówił powodowany nagłym impulsem serdeczności — mam nadzieję, że wuj jeszcze długo będzie mi udzielał swoich wskazówek.

Zwrot ten był niezwykle zręczny. Admirał wybuchnął śmiechem

i przyjaźnie wyciągnął rękę do siostrzeńca.

— Dobry z ciebie chłopak, Berry! Uważałeś mnie dotychczas za starego tyrana, ale jednak udało mi się z ciebie zrobić człowieka. Czeka cię ciężka praca, lecz przekonasz się, że nie jestem taki straszny, gdy tylko sam przyłożysz się do swych obowiązków.

Beresford uścisnął tę dłoń, która w ciągu ostatnich lat tylekrotnie karała go surowo i bezlitośnie.

— Dołożę wszelkich starań, sir — zawołał. — Mam nadzieję, że wuj z mego powodu nie będzie miał przykrości.

— Będziemy pomagać sobie nawzajem — odparł admirał. — Musisz stać się wreszcie dorosłym człowiekiem.

Będziesz miał mniej czasu na rozrywki i zabawy z dziewczętami z Harbridge.

Obrzucił Beresforda przy tych słowach wymownym spojrzeniem, lecz chłopak spojrzał mu w oczy ze szczerością.

— Właśnie na ten temat chciałem z wujem pomówić — odezwał się po chwili z prostotą.

Błękitne oczy admirała rozwarły się nieco szerzej ze zdziwienia.

— O! — mruknął. — Czy coś nowego? Beresford poprawił się na krześle.

— Mógłbym działać bez aprobaty wuja — wyszeptał — lecz nigdy nic nie uczynię bez wuja wiedzy. Pragnąłem zakomunikować, że postanowiłem ożenić się z panną Persis Kenyon, jeżeli oczywiście ona na to się zgodzi.

— Na miłość boską! — zawołał admirał. — Nie tracisz czasu, mój chłopcze.

— Nie, sir, nie tracę. — Beresford mówił dalej po chwilowym zastanowieniu. — Kocham ją i mam wrażenie, że zdołam ją nakłonić do tego, aby i mnie pokochała. W każdym razie mam zamiar starać się o to.

— I żądasz mojego błogosławieństwa? — zagadnął admirał z pewną ironią.

Beresford wciąż jeszcze patrzył mu prosto w oczy.

— Bardzo bym tego pragnął — odparł. — Wówczas wszystkie starania przyszłyby mi łatwiej. Niezależnie od okoliczności, moje postanowienie jest niezłomne.

— Jesteś marzycielem, nieprawdaż? — zauważył admirał, bez odrobiny złośliwości. Szczera odwaga chłopaka przemówiła mu do serca. — A jak twoja matka przyjęła to oświadczenie?—zapytał po chwili.

— Nie mam pojęcia, sir — odrzekł Beresford. — Nie wspominałem jej jeszcze o tym, ale przypuszczam, że nie będzie mogła się sprzeciwić.

Admirał zakaszczał i uśmiechnął się jednocześnie.

— O, nie będzie mogła? — zdziwił się. — Więc twierdzisz, że jestem pierwszą osobą, której zwierzyłeś się ze swych zamiarów?

— Jedyń, sir — rzekł Beresford.

— Bardzo to dla mnie zaszczytne — rzekł admirał. — Ale jesteś jeszcze ogromnie młody, masz mnóstwo czasu.

Beresford podniósł się z fotela i stanął przed kominkiem.

— Tak, przyznaję, że jestem młody — odparł. — Lecz jestem wystarczająco dorosły, aby powziąć pewne zamiary. Zresztą lękam się, że nie powinienem tracić czasu, jeżeli chodzi o Persis. Należy ona do tego typu dziewcząt, które wychodzą za mąż wcześniej.

Umilkł, oczekując nowej ironii starca. Omylił się jednak. Admirał spoglądał prosto przed siebie ze zmarszczonymi nieco brwiami.

- Tak — zdecydował wreszcie. — Masz trochę słuszności. Rozumiem cię, młodzieńcze. Boisz się, że ktoś przed tobą zerwie owoc z drzewa, nim ty zdążysz przystawić drabinę. Ale czy w tej chwili masz jakieś szanse?

— Tego nie mogę powiedzieć — odparł Beresford ze smutkiem. — Ona tak mało zna młodzieży, ale faktem jest, że syn starego Croya ubiega się o jej względy i posunął się już dość daleko.

— Kto? — zapytał admirał ostro. — Syn starego Croya z Barnesfordu? Ten dureń? Ależ ona na niego na pewno wcale nie patrzy!

Beresford wsunął ręce w kieszenie i zacisnął je mocno.

— Owszem, patrzy, sir. Młody Croy bywa nawet u nich. Widziałem go dopiero wczoraj i powiedziałem mu, co o nim myślę. Mam nadzieję spotkać go wkrótce w bardziej odosobnionym miejscu.

Admirał mimo woli wzruszył ramionami.

— Nawymyślałeś mu w obecności kobiety? Jak ona to przyjęła? Beresford zagryzł wargi. Wspomnienie tej sceny nie było dlań

przyjemne.

— Po prostu ubawiła się. Każda dziewczyna postąpiłaby tak na jej miejscu. Zresztą jest jeszcze zbyt młoda, aby się orientować, kim jest jej wielbiciel. Tu właśnie istnieje największe niebezpieczeństwo. Ten łotr gotów jej zawrócić głowę.

— Sądzę, że jej matka miałaby też coś do powiedzenia — zauważył admirał.

Beresford niecierpliwym ruchem kopnął skórę niedźwiedzią, leżącą przed kominkiem.

— Jakąż to stanowi różnicę? Zresztą, lady Łucja...

— Jest głupia, przyznaję — dorzucił admirał. — Ale dziewczyna głupia nie jest. Posiada dużo wrodzonego sprytu.

— Oczywiście, sir! — w głosie Beresforda brzmiało lekkie zniecierpliwienie. — Nie ożeniłbym się z dziewczyną, która nie posiadałaby sprytu.

— Dobrze powiedziane! — pochwalił admirał. — Masz rację, mój chłopcze. Życzę ci, abyś ją zdobył! Pochodzi z dobrej rodziny i otrzymała przyzwoite wychowanie, przy tym jest również ładna. Jeżeli zaskarbisz sobie jej względy, przypuszczam, że nie odmówię wam mego błogosławieństwa.

Beresford drgnął i spojrzał z niemym zdziwieniem na wuja, nie będąc przygotowanym na tak nieoczekiwaną zgodę. Admirał znany był ze swego opozycyjnego stanowiska. Przez chwilę Beresford nie chciał wierzyć własnym uszom, aż dobroduszne spojrzenie admirała utwierdziło go w tym mniemaniu.

— Czy wuj naprawdę tak uważa? — zapytał z chłopięcą naiwnością. — Dziękuję wujowi!

— Myślę tak, jak mówię — odparł admirał. — Nie znam bliżej tej dziewczyny, lecz z tego, co widziałem, dochodzę do wniosku że jest zupełnie odpowiednią dla ciebie żoną. Jest może trochę zepsuta i trzeba będzie ją utemperować. Ucz wszystkie one są takie w dzisiejszych czasach, oczywiście z wyjątkiem Joan! Joan jednak należy do innego typu kobiet i prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie za mąż.

— Joan! — powtórzył Beresford ze zdziwieniem. — Nigdy nie pomyślałem o możliwości poślubienia Joan. Jest ona nieocenionym towarzyszem.

Admirał skinął potakująco głową.

— Wiem o tym. Nie mogłeś o niej w podobny sposób myśleć. Jest ona kobietą jedną na tysiąc. Nie przyjęłaby nawet twoich oświadczeń. Potrafi z chłopcami żyć tylko na stopie koleżeństwa. — Zakaszła znowu i zakończył wreszcie temat rozmowy — Nie, nie ożeniłbys się z Joan. Ona zbyt wyrosła ponad poziom dzisiejszej młodzieży.

Nigdy nie wrócili do tego tematu. Beresford pozostał jeszcze chwilę z wujem, wysłuchując uważnie jego wskazówek i czując w głębi duszy, że od tej chwili zawarty między nimi został tajemny pakt przyjaźni. Potem z gorączkową niecierpliwością pożegnał starca i udał się na poszukiwanie swej matki. We wszystkich jego radościach i smutkach, matka była zawsze powierniczką, doszedł więc do wniosku że i tym razem powinien poinformować ją o swych matrymonialnych zamiarach. Ponieważ wtajemniczył już w nie admirała, należało i matce coś o tym wspomnieć. Zapomniał nawet na chwilę, że umówił się z Joan Stanowczo przed wyruszeniem na polowanie musi pomówić z matką. Należało z nią również omówić plany przyszłości, które mu przed chwilą wyłuszczył admirał. Bez wątpienia matka wie już o tym, ale prawdopodobnie chciałaby dowiedzieć się, jak on się na to zapatruje.

Rozrzewniło go zachowanie admirała i fakt, że zaakceptował jego przyszłe małżeństwo. Drżał z radości na samą myśl, że jednak zdobędzie Persis i że wkrótce wprowadzi ją jako swoją żonę do Lacy Denham.

Stary admirał tego dnia zręcznie rozrzucił karty, lecz Beresford zorientował się w tym dopiero trochę później.

Tuż za sypialnią Sylwii Vane znajdował się ośmiokątny buduar, w którym często siadywała i w którym teraz zastał ją Beresford.

Siedziała przy małym biurku pod oknem. Ostatnio jadła zazwyczaj śniadanie na górze i Beresford dopiero teraz przypomniał sobie, że wcale nie widział jej tego ranka.

— Halo, mateczko! Jesteś zajęta? — zawołał. — Chciałem z tobą pomówić.

Wsunęła pośpiesznie jakiś papier do otwartej szuflady i zamknęła ją troskliwie na klucz.

— Berry? Myślałam, że jesteś na polowaniu.

— Zamierzałem pojechać — odparł, pochylając się nad nią i całując ją w czoło. — Ale wuj Ned zatrzymał mnie, a teraz jest już za późno. Może jeszcze pojedę, lecz przedtem chciałem z tobą pogadać.

Siedziała, oparta łokciem na biurku, z podbródkiem wspartym na dłoni. Pochyliła się naprzód, jakby przygotowana do wysłuchania jego słów.

— Przypuszczam, że wiem, o czym z tobą mówił — zauważyła.

— O, tak, ale nie wiesz wszystkiego — odparł chłopak, trochę niecierpliwie. — Jestem przesiąknięty nowinami. Mogę zapalić?

Wyjął papierosa z lakierowanego pudełka, stojącego na biurku, gdy ona skinęła tylko przyzwalająco głową. Potem usiadł na krawędzi biurka tuż przy niej, zabierając się do opowiadania.

— Nadzwyczajna rzecz się przydarzyła — rzekł, lecz umilkł natychmiast. — Mateczko, czy słuchasz? Co ci się stało?

Wzrok jej był w tej chwili zamglony i poszybował gdzieś w daleką przestrzeń. Beresford spoglądał na nią z niepokojem i dostrzegł, że jej twarz miała wyraz tragicznej maski. Spojrzenie oczu matki było spojrzeniem kamiennej figurki. Zdawać się nawet mogło, że w danej chwili nic przed sobą nie widziała.

Pochylił się ku niej.

— Kochanie, co się stało? Tak dziwnie wyglądasz. Nie jesteś chyba chora, prawda?

Uśmiechnęła się, jakby miała przed sobą nic nie rozumiejące, rozszczebiotane dziecko.

— Oczywiście, że nie, drogi chłopcze! Jestem taka, jak zwykle. Więc przyszedłeś, aby powtórzyć mi swoją rozmowę z wujem Nedom?

— Tak, mateczko, ale nie będę mówił, jeżeli cię to męczy — rzekł urażonym nieco głosem. — Nie chcę cię denerwować moimi sprawami w chwili, gdy zajęta jesteś czymś ciekawszym.

Słowa te przywróciły jej zupełnie przytomność. Dostrzegł ciepłe błyski w jej oczach i jakby iskrę macierzyńskiej czułości.

— Cóż za dziki pomysł! — wyszeptwała. — Wiesz dobrze, że nic mnie bardziej nie interesuje. Powiedziałam ci już jednak, że wiem, o czym wuj z tobą mówił, bo kilka dni temu poruszał ze mną ten temat. Sądzę, że nie jesteś bardzo rozczarowany, kochanie. Ja osobiście przyznałam wujowi słusność.

— Nie, rozczarowany nie jestem — oświadczył Beresford. — Chociaż z początku byłem przerażony. Wiesz jak trudno jest zerwać ze wszystkim, z czym się człowiek dotychczas zżył i rozpocząć zupełnie nowy tryb życia.

Człowiek na chwilę traci równowagę, nieprawdaż?

— Właśnie lękałam się, że przyjmiesz to w ten sposób — odparła. — Ale teraz już myślisz inaczej?

Uczył dziwny grymas.

— Mateczko droga, nie miałem jeszcze czasu porządnie się nad tym zastanowić. Wprost od wuja przyszedłem do ciebie. Na szczęście istnieje pewien przyjemny dla mnie warunek. Gdyby nie to, cała zmiana wydałaby mi się niemożliwa. Czy naprawdę słuchasz, mateczko? Mam zamiar sprawić ci szaloną niespodziankę.

Usiłowała skupić uwagę, lecz widać było, że czyni to z prawdziwym wysiłkiem.

— Jakież to warunek?

— Zdziwisz się ogromnie, gdy ci opowiem. Zamierzam się ożenić, jak najspieszniej, a wuj Ned zaakceptował mój plan.

Zdawała się powoli budzić z chwilowego letargicznego snu. Poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Zamierzasz się ożenić? Beresford! Co chcesz przez to powiedzieć? Zaśmiał się wesoło, po chłopięcemu.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że jestem już dorosłym mężczyzną, kochanie? Ja również nie przypuszczałem, że wuj Ned tak szybko się na to zgodzi. Tak, zamierzam się ożenić. Jeszcze nie oświadczyłem się.

Ta przyjemność ma dopiero nastąpić. Lecz gdy zostanę przyjęty, nie będę czekał zbyt długo.

— Beresford! — wyszeptała bezdźwięcznie i mimowolnym ruchem przyłożyła dłoń do piersi; Zbladła jeszcze bardziej, lecz to nie zwróciło jego uwagi, bo przecież prawie zawsze była blada.

Zresztą w tej chwili nie patrzył na nią, zajęty podrzucaniem ku górze pudełka zapalek i w pewnej chwili zapalki rozsypały się na podłogę. Zeskoczył z biurka i z głośnym śmiechem począł je zbierać.

Matka jego nie śmiała się. Siedziała na swym krześle, obserwując go uważnie. Oddech jej stał się znowu powolniejszy i blady rumieniec okraślił policzki.

Wreszcie on podniósł się i śmiejąc się ciągle, zawołał:

— Dobry kawał, co?

Położył zapalki na biurku, lecz uśmiech nie zagaśł w jego oczach.

— Ale to nie jest kawał, mateczko — rzekł po chwili, głaszcząc czule jej dłonie.— Jest to najpoważniejsza prawda.

Powiedziałem o tym wujowi Nedowi zupełnie szczerze. A teraz mówię tobie. Przyjął moje oświadczenie ze spokojem, czego się nawet nie spodziewałem. Tak, mateczko droga, mam nadzieję, że wkrótce przedstawię ci twoją przyszlą synową.

Zakończył łagodnie z nutą niemego błagania w głosie, bo ona wciąż siedziała sztywno z zimnymi dłońmi, leżącymi nieruchomo na kolanach.

— Ach! — wyszeptała wreszcie, gdy umilkł. — A któż to jest? Pytanie brzmiało dziwnie automatycznie, nie było w nim ani

odrobiny zainteresowania. Odwrócił głowę, nieco urażony.

— Sądzę, że się domyślasz. Oczywiście mam na myśli Persis. Jest ona jedyną dziewczyną w sąsiedztwie, na którą warto spojrzeć. Nieprawdaż? — Nuta entuzjazmu zabrzmiała w jego głosie całkiem mimo woli.

Lecz wyraz twarzy matki nie uległ żadnej zmianie. Spojrzenie jej nadal pozostało kamienne. Tylko delikatny grymas niechęci wykrzywił jej pobladłe usta.

— Jeżeli to jest twój wybór, to chyba ja nic nie mam do powiedzenia — rzekła. — Tak, Persis jest ładną dziewczyną i wcale się nie dziwię, że ci się spodobała.

— Mateczko! — zawołał. Zraniła mu serce swym wystąpieniem. Uczuł dziwną gorycz. Przestał głaskać jej dłonie i wsunął ręce w kie-

szenie. — Nie powinnaś się lękać, że Persis kiedykolwiek będzie ci się sprzeciwiać — dorzucił.

Uczyniła słaby ruch protestu, a po chwili zapytała głośno:

— Ale jeszcze nie oświadczyłeś się?

— Mówiłem ci, że nie — odparł ponuro, odwracając głowę. — Może mnie nawet nie przyjąć. Sądzę, że byłabyś uradowana, gdyby nie przyjęła mych oświadczeń?

Odpowiedź jej zdziwiła go.

— Nie — rzekła spokojnie. — Z chwilą, gdy jej się oświadczysz, byłoby mi bardzo przykro, gdyby cię nie przyjęła. Jej ton nie był zbyt zachęcający, ale nie wyrażał sprzeciwu. Odwrócił się do niej plecami.

— Dziękuję ci — rzekł niezręcznie. — Mnie również byłoby przykro. W każdym razie jestem zadowolony, że się nie sprzeciwiasz.

Westchnęła głęboko.

— Mam nadzieję, że to małżeństwo da ci szczęście, kochanie — wyszeptła.

Odwrócił się nagle i spojrzał jej prosto w oczy, odczuwając dziwne wzruszenie.

— Mateczko, kochana, co się stało? — zawołał. — Źle się czujesz? Uśmiechnęła się doń blado.

— Czuję się jak zwykle — odparła. — Dziękuję ci, żeś mi to wszystko powiedział.

— Nie rozumiem cię — zawołał zdziwiony. Potrząsnęła głową.

— Myślałam już dawno, że to się kiedyś stanie.

— Ale ty nie jesteś z tego zadowolona. Pragnęłabyś, abym jeszcze z dziesięć lat był kawalerem, prawda?

— O, nie! — zaprzeczyła. — Pragnęłam, abyś się ożenił, gdy tylko znajdziesz odpowiednią dziewczynę.

— A, więc tak! — zawołał z rumieńcem na twarzy. — Nie lubisz jej. A dlaczego, mateczko?

W głosie jego brzmiała niechęć, lecz ona pozostała wciąż uśmiechnięta i niezdradzająca zniecierpliwienia.

— Właściwie prawie wcale jej nie znam — odparła. — W każdym razie nie znam jej tak, jak Joan i Sally.

Beresford wyjął ręce z kieszeni i pochylił się ku matce.

— Ach, po co je w to mieszać? Powiedz szczerze! Nie lubisz Persis. Pragnąłbym wiedzieć dlaczego?

Spoglądał na nią przenikliwym wzrokiem, lecz ona zdawała się nie dostrzegać tego. Spojrzenie jej poszybowało znowu w przestrzeń i zdawała się obejmować ją zupełna obojętność. Po chwili jednak zaczęła mówić spokojnie, jakby odmierzając każde słowo:

— Powiem ci dlaczego, kochanie, chociaż z chwilą, gdy jesteś w niej zakochany, nie sprawi to żadnej różnicy.

Uważam, że jest ona taka sama jak matka, tylko posiada trochę więcej rozumu. Uważam, że jest próżna, wyrachowana i nawet może nieuczciwa. Wątpię, czy potrafi kogoś kochać oprócz siebie. Ale jeżeli tobie wystarcza jej uroda i prezencja, to prawdopodobnie potrafi ci dać szczęście.

Zdawać się mogło, że Sylwia Vane mówi teraz w hipnotycznym śnie. Chłopak był tak przejęty jej słowami, jakby słuchał głosu z dalekich zaświatów. Trudno było nawet obrażać się. Gniew jego przygasł pod wpływem jakiejś nieznannej siły. Stał teraz w obliczu czegoś wyższego, czego własnym rozsądkiem nie mógł objąć. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że to co słyszał było prawdą, której nie należało ignorować.

— Bardzo mi przykro, droga mateczko — rzekł wreszcie. — Lękam się, że nie myślimy jednakowo. Może kiedyś zmienisz pogląd na to. Miejmy nadzieję. Słuchaj, kochanie! Zboczmy teraz na inny temat! Musisz się koniecznie poradzić lekarza. Jesteś ogromnie zmieniona.

Dostrzegł znowu jej błady uśmiech, uśmiech pobłażania, zwrócony do rozszczebiotanego dziecka.

— Mój drogi, wówczas poradzę się lekarza, gdy ta porada będzie mi potrzebna — odparła. — W każdym razie nie przedtem.

Temat był skończony. Orientował się w tym z jej stanowczego głosu. Uczyniwszy ruch zniecierpliwienia, zabierał się do wyjścia, lecz od drzwi przywołał go jej głos:

— Berry!

Odwrócił się. Wyciągała ku niemu ramiona. Podbiegł do niej i chwycił ją w objęcia.

— Mateczko droga, dbaj więcej o siebie! — szeptał, przytulając swą twarz do jej policzka. — Jestem o ciebie ogromnie niespokojny.

Przyłgnęła doń na chwilę ruchem pełnym namiętności.

— Mniejsza o mnie, Teddy-Bear! — wyszeptała. — Twoje szczęście jest teraz rzeczą ważniejszą. Musisz być szczęśliwy.

Pocałunek jej był gorący, choć wargi miała zimne. Czuł, że była bliska łez, aczkolwiek prawie nigdy nie płakała. Wiedziony instynktem, postanowił zakończyć tę scenę i dać jej czas do zastanowienia się nad tą kwestią.

— Muszę już teraz iść, kochanie—rzekł—później pomówimy o tym obszerniej. W każdym razie nie przejmuj się! Wszystko będzie dobrze.

Ucałował ją jeszcze raz gorąco i skierował się ku drzwiom. Nie zatrzymywała go, a on wyszedł na palcach, zamykając cichutko drzwi buduaru.

Smutek ogarnął Beresforda, gdy wyszedł z buduaru. Zdawało mu się, że jakaś ciemna chmura zasłoniła mu przed oczami tarczę słoneczną. Zachowanie się matki niepokoiło go bardzo. Tak pragnął, aby pochwałała wszystkie jego zamiary. Nie mogło być mowy o tym, żeby się ożenił wbrew jej woli. Powiedziała jednak, że będzie jej bardzo przykro, jeżeli Persis jego oświadczyn nie przyjmie. Co miała wówczas na myśli?

Myśli jego poczęły teraz krążyć dookoła osoby matki. Stanowczo źle się czuła. Był przekonany o tym, lecz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wyglądała lepiej. Zdaje się, że przed rokiem dostrzegł taką zmianę na jej twarzy. Zmiana ta była raptowna, lecz nikt tego nie zauważył. Nawet admirał, który prawdopodobnie widział to dokładnie, nie brał stanu zdrowia Sylwii Vane na serio. Pogodził się z faktem, że zdrowie jej nie dopisało i na tym koniec.

Lecz Beresford nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego. Zaciekawilo go, czy Joan również zauważyła tę zmianę i postanowił zapytać ją o to przy najbliższej sposobności. Ona przecież posiada tyle zdrowego rozsądku, a poza tym wiedział, że matka bardzo ją lubiła. Joan mogłaby łatwiej pomówić z matką o tym, niż on.

Rozmyślając tak, znalazł się na podwórzu stajennym i dostrzegł, iż oczekiwał go już osiodłany wierzchowiec. Polowanie na pewno miało się ku końcowi, lecz w każdym razie należało jechać, aby nie zrobić zawodu Joan.

— Pan się spóźnił, sir — zauważył stajenny Watson nieco oficjalnie. Beresford zmarszczył brwi. Tarcza słoneczna wciąż jeszcze zasnutą była chmurą.

— Wiem o tym. Nie mogłem być wcześniej. Może jeszcze zdążę. Wskoczył na siodło i wyjechał poza bramę podwórza.

Dzień był wilgotny, wietrzny i chmurny, mniej więcej taki dzień, kiedy nie wiadomo, czy za chwilę nie zacznie padać deszcz.

Jadąc gościńcem w kierunku Barnesfordu, Beresford począł zastanawiać się, po co właściwie jedzie. Polowanie dzisiaj go nie ciągnęło! Może lepiej wrócić i pojechać od razu aby złożyć oświadczenia Persis? Czy powinien? Nie widział jej od swego wczorajszego nieprzyjemnego wystąpienia. Stanowczo ją tym swoim wystąpieniem obraził. Może lepiej dać dziewczynie czas do namysłu i otrząśnięcia się z pierwszego wrażenia? Właściwie nie miał słuszności, występując w jej obecności przeciwko Philowi Croyowi.

Jakże ona mogła znieść tego durnia? Czy Joan go lubiła? A Sally? Nieprzyjemne pytania! Odegnął je od siebie. Ale taka dziewczyna, jak Persis, musi mieć stanowczo jakąś różnorodność w życiu, a skazana była na przebywanie w tak szczupłym towarzystwie. Każda inna dziewczyna na jej miejscu postępowałaby tak samo.

Całkiem mimo woli skierował swego wierzchowca na drogę prowadzącą do dworu Harbridge. Widocznie postanowił tam pojechać. Dotarł do zakrętu dróżki i zatonął w weselszych już rozmyślaniach. Droga ta rzadko była uczęszczana, więc nie sądził, aby mógł tu spotkać kogoś, kto by przerwał jego samotną zadumę.

— Ruszaj zwawo, Robin — zwrócił się do wierzchowca, klepiąc go czule.

Robin zachęcony tą pieśczęcią, przyspieszył kroku.

Minęli zakręt i poczęli posuwać się naprzód wysadzoną drzewami alejką, gdy nagle Beresford drgnął na siodle.

Tuż przed nim, w odległości zaledwie dwudziestu jardów, stało otwarte auto, w którym ujrzał dwie ludzkie postacie. Jedną z nich była dziewczyna w granatowym skórzanym płaszczu i w granatowej czapeczce, siedząca przy kierownicy. Obok niej siedział mężczyzna, trzymając ją mocno w objęciach.

W pierwszej chwili zdawało się Beresfordowi, że dziewczyna przytulała się gorąco do swego towarzysza, lecz potem dostrzegł, że usiłuje

wydostać się z jego ramion. Wówczas Beresford ruszył śpiesznie przed siebie.

— Ty łotrze! Ty przeklęty łotrze! — zawołał do mężczyzny, którego dziewczyna w tej chwili odepchnęła od siebie.

— Wynoś się stąd!

Spojrzenie oczu Phila Croya spoczęło ze zdziwieniem na jego twarzy. Robin począł tańczyć dookoła samochodu, dzwoniąc podkowami.

— Precz stąd! — zawołał znowu Beresford. — Precz, bo uderzę!

Gdy szpicruta Beresforda spoczęła na plecach Croya, ten zorientował się dopiero, że sytuacja stawała się groźna. Beresford zeskoczył z siodła i znalazł się tuż przy samochodzie.

— Wynoś się! — zawołał chrapliwym głosem. — Słyszysz? Wynoś się, bo cię zamorduję!

— Jedźmy dalej! — zwrócił się Phil Croy do dziewczyny, lecz ona ukryła twarz w dłoniach i pochyłona nad kierownicą siedziała bez ruchu.

Ręka Beresforda spoczęła na kołnierzu Croya i potrząsnęła nim w pasji.

— Wynoś się! — powtórzył — jeżeli chcesz cało wyjść z moich rąk. Coraz mocniejszy był uścisk jego ręki, coraz groźniejszy wyraz oczu.

Twarz Croya nabiegła krwią, gdy usiłował wyswobodzić się z kleszczowego uścisku przeciwnika.

Nagle dziewczyna poruszyła się, czując grożące niebezpieczeństwo. Odjęła dłonie od twarzy, pochyliła się i bez słowa otworzyła drzwiczki auta.

— Niech pan wyjdzie! — rzekła. — Berry, puść go!

Beresford odsunął się nieco, nie odejmując jednak swej ręki od kołnierza Croya. Croy leniwym krokiem wysiadł z auta. Stali teraz przed sobą, lustrując się wzrokiem nie zwiastującym przyjaźni.

Nagle usłyszeli warkot motoru i dostrzegli oddalające się z pośpiechem auto, kierowane pewną już zupełnie dłonią Persis. Beresford z wściekłością pchnął Croya, który potoczył się w błotnistą kałużę.

Nim Beresford zdołał się opamiętać, Phil Croy był już na nogach i stanął przed nim z pałającą gniewem twarzą.

— Teraz się rozprawimy! — zawołał. — Będzie to rodzaj honorowego pojedynku!

— Dobrze — odparł Beresford, szykując się do walki. Jednocześnie rzucili się na siebie, lecz po kilku minutach straszliwych

zapasów Beresford doszedł do wniosku, że Phil Croy jest silniejszy od niego i bardziej wprawiony do tego rodzaju potyczek. Beresford walczył według zasad pięściarskich. Phil Croy omijał te zasady, usiłując zdobyć dla siebie najwygodniejsze stanowisko.

W pewnej chwili Beresford czuł się już pokonany i usiłował się bronić ostatkiem sił. Zwycięstwo przechylało się na stronę młodego Croya, gdy nagle nad głową walczących świsnął duży rzemienny bat i opadł na plecy Phila. Z piersi młodego Croya dobył się jęk bólu.

Beresford skorzystał z chwilowej nieuwagi przeciwnika i jednym pchnięciem powalił go na ziemię. Po sekundzie obydwaj jednak zerwali się na równe nogi. Teraz dopiero dostrzegli, że nie byli sami. Stała przed nimi wiotka postać dziewczęca z pejczem w ręku, gotowa do czynu.

Croy ze spuchniętym policzkiem stał oniemiały, otwierając coraz szerzej usta.

— Na Boga! Sally! — zawołał.

Obrzuciła go pełnym pogardy spojrzeniem i odwróciła się doń plecami.

— Beresford! — zwróciła się do młodego Vane. — Co u licha robisz? Walczysz z takim gadem?

Beresford zaciął wargi, nie mając siły odpowiedzieć. Był dotkliwie poturbowany i wołałby teraz raczej umrzeć, niż znieść tę chwilową zniewagę. Sally jednak nie traciła czasu i jednym spojrzeniem objęła sytuację.

— Proszę się stąd wynosić! — rzuciła przez ramię Croyowi. — Takich łotrów nam tu nie potrzeba. Nawet walczyć uczciwie nie potrafi. — Głos jej brzmiał pogardą i mimo woli podniosła pejcz, jakby chcąc go opuścić na plecy znienawidzonego młodzieńca. — Precz stąd, słyszysz durniu? Wynosić mi się! — Podskoczyła ku niemu z rozpłomienioną twarzą, a on cofnął się mimo woli. — Na co jeszcze czekasz? Czego chcesz? Jeszcze raz pragniesz dostać po plecach? Dostaniesz, jak natychmiast się stąd nie wyniesiesz!

Ustał jej z drogi, nie mając innego wyboru. Z ironicznym wzruszeniem ramion odwrócił się, podczas gdy Sally mierzyła go wzrokiem z wściekłością. Nigdy dotychczas w taki sposób do nikogo

się nie zwracała i zastanawiała się sama nad tym, skąd zdobyła się na taką energię.

Gdy Croy zniknął na zakręcie alejki, stała jeszcze przez chwilę, zapatrzona w tę stronę, po czym zwróciła się do Beresforda z wyrazem serdecznej sympatii.

— Berry, w jaki sposób ten łotr cię pokonał? Czy zaatakował cię z tyłu? Beresford ocierał krew i błoto z twarzy. Była to dla niego straszna

chwila, lecz usiłował utrzymać równowagę. Zmusił się nawet do bladego uśmiechu.

— Ślicznie się spisałaś, Sally! — rzekł. — Dziękuję! Twarzyczka Sally spłonęła rumieńcem. Ona także odczuła dziwne

zażenowanie. Usiłowała ratować sytuację i nie mając nic więcej do powiedzenia, gwizdnęła na swego psa, rasowego setera, który przybiegł do niej, opierając się wilgotnymi łapami o jej piersi. Odsunęła go od siebie.

— Ach, nie bądź głupi, Ben! Daj mi spokój. — Nieśmiało spojrziała znów na Beresforda. — Nic ci złego nie zrobił? Beresford powoli przychodził do siebie.

— Nie, czuję się zupełnie dobrze — odparł. — Przywiązałem tam Robina do drzewa.

— Wiem o tym. Dzięki niemu zorientowałam się, że tutaj jesteś — wyszeptęła Sally, patrząc nań swymi połyskliwymi zielonymi oczami. — Szkoda, że nie zjawiłam się wcześniej. Przeklęty łotr! Nigdy w życiu nie spotkałam człowieka, który by tak jak on nie posiadał ani odrobiny ambicji.

Beresford nic nie odpowiedział, pomny zasad honoru, których się nauczył, przebywając wśród kolegów, Sally jednak domyśliła się powodu walki.

— Musiałeś go przyłapać z Persis — rzekła. — Wymknęli się, jak dwoje złodziei. Co ona widzi w tym durniu? Obydwe z Joan nie możemy jej pojąć. Ja bym go przegnała na cztery wiatry.,

— Zadowolony jestem, że tak się stało — rzekł Beresford, po czym dodał całkiem mimo woli: — Może wreszcie Persis zorientuje się, z kim ma do czynienia.

— Chciałabym w to uwierzyć — szepnęła Sally. — Ona chwyta każde zło, które staje jej na drodze. Może z czasem nabierze więcej

doświadczenia. — Spojrzała ukradkiem na swego towarzysza. — W każdym razie nie będzie ci wdzięczna za obronę — dorzuciła.

— Nie pragnę wdzięczności — odparł Beresford trochę szorstko. Bywały chwile, kiedy Sally denerwowała go. Stanowczo wolałby, aby ze swych myśli nie zwierzała się głośno.

Lecz ona uśmiechnęła się i rozbroiła go tym swoim uśmiechem. Nie można było zaprzeczyć, iż wystąpieniem swym wyratowała go z przykrew sytuacji.

— Zachowałeś się jak bohaterka — rzekł — i jestem ci ogromnie wdzięczny.

— Nie pleć głupstw! — zaśmiała się Sally. — Mnie to sprawiło ogromną przyjemność. Szkoda tylko, że jeszcze raz nie dostał.

— I tak dałeś mu nauczkę — uspokajał ją. — Następnym razem postaram się poturbować go silniej.

— Lepiej będzie, gdy tego zaniechasz — tłumaczyła Sally rozsądnie. — Nie warto się porywać. On i tak na niczym się nie wyznaje. Chciałabym tylko, żeby Persis to widziała, może wreszcie rozjaśniłoby się jej w głowie.

— Daj spokój! Nie mówmy lepiej o tym! — zaprotestował Beresford. Gorąca fala krwi napłynęła do twarzy Sally.

— Ja znam Persis, ty ją znasz mniej ode mnie. Mogę jej to powiedzieć z zupełną swobodą w oczy. Nie postępuje tak, jakby należało, nie stara się o to nawet. A ty, dlatego, że ona jest ładna, nie widzisz poza tym żadnych jej wad! — świsnęła batem w powietrzu, jakby dla zaakcentowania swych słów.

Beresford zmarszczył brwi, lecz nie zaprzeczył. Nasunął kołnierz wyżej i zabierał się do odejścia.

— Wracasz do domu? — zapytał obojętnie. Sally zagryzła wargi. Nagle odwróciła się do niego.

— Nie masz się czego obrażać! Powiedziałam to, co myślałam. Nie zrozumiałeś mnie?

Spojrzał na nią z powagą.

— Tak, zrozumiałem dokładnie — odparł. — Jesteś zazdrosna. Sally rozwarła szeroko oczy, jakby wylano na nią w tej chwili kubek

zimnej wody. W spojrzeniu jej była niema skarga, po czym nie mówiąc już ani słowa, poczęła oddalać się od niego szybkim krokiem.

Nie poszła prosto alejką, lecz poczęła kroczyć przez wilgotne pole, na oślep, a za nią szedł ze zwieszoną głową wierny jej przyjaciel, Ben.

Beresford spoglądał za nią z niezadowoleniem. Czuł, że wyrządził krzywdę tej dziewczynie, posądzając ją niesprawiedliwie o zazdrość.

Nazajutrz rano około dziesiątej Beresford podążył swym starym małym samochodzikiem do dworu Harbridge. Samochodzik kupił od jakiegoś zubożałego kolegi za dwieście funtów podczas ostatniego semestru. Był to dziwny wehikuł, który przystawał co kilka kroków, a gdy wolno poruszał się już naprzód, to wydawał jakieś niesamowite zgrzyty. Beresford pocieszał się jednak, że w dwudziestą pierwszą rocznicę urodzin dostanie w podarunku od wuja samochód, postanowił więc do tego czasu zadowolić się owym starym klekotem.

Pierwszą osobą, jaką spotkał w obszernym hallu dworu Harbridge, była Joan uzbrojona w przybory do golfa. Powitała go dziwnie chłodno.

— Halo, Berry! Coś się zjawiał tak rano? Nie mogłeś spać w nocy?

— Owszem, spałem — odparł nieco zdziwiony. — Czy jesteś niezadowolona z mojej porannej wizyty?

— Jestem nią zachwycona — odparła niechętnie. — Ale dajmy temu spokój. Wyobraź sobie, że prawie cała nasza rodzina znajduje się jeszcze w łóżkach. Kobiety cierpią na ból głowy.

— Do licha! — zaklął Beresford. Odwrócił się, zamknął troskliwie wejściowe drzwi i zapytał: — Kto jeszcze leży? Joan poczęła wyliczać na palcach lewej ręki.

— Przede wszystkim mama, ale ona zazwyczaj jada śniadanie w łóżku. Potem Persis. — Zmieniła nagle głos, przedrzeźniając swą przyrodną siostrę: — Taki ma straszny ból głowy! Po prostu nie może wytrzymać. A wreszcie Sally — dorzuciła normalnym już głosem. — Jeszcze ci mało?

— Sally! — zawołał ostro. — A co jej się stało?

— Strasznie się przeziębila — odparła Joan. — Przemoczyła

wczoraj nogi i okropnie kaszle. W żaden sposób nie chciała zostać w łóżku, ale zmusiłam ją do tego.
— Paskudnie się składa — rzekł z dziwnym niepokojem. — Czy nie mógłbym pójść do mej na górę?
— Nie, lepiej nie — rzekła Joan. — Im mniej mówi, tym lepiej. Dałam jej książkę do czytania i uspokoiła się jakoś.
— Obrzuciła go surowym spojrzeniem, kończąc tym samym temat rozmowy.
Beresford nie prosił już więcej. Nie wiadomo dlaczego był dziwnie zawstydzony.
— A ty wychodzisz? — zauważył po chwili.
Mimo jej nieprzyjemnego zachowania, chętnie zgodziłby się jej towarzyszyć, lecz Joan pośpieszyła z odpowiedzią:
— Tak, idę z ojcem na golfa. Ładna pogoda, co?
— O tak! — zawołał Beresford, bo zaświtała mu jakaś myśl w głowie. — Zupełnie zapomniałem o wczorajszym naszym polowaniu. Bardzo mi przykro, że ci zrobiłem zawód, sędzę jednak, że nie czekałaś na mnie.
— Czekać! Na ciebie? — uśmiechnęła się Joan ironicznie. — Nie zadawałam sobie tego trudu.
Dziwna była dzisiaj! Nigdy by nie uwierzył, że Joan potrafi być taka obojętna. Chciał się usprawiedliwić, lecz przerwało mu wejście sir Richarda, który powitał go z daleka wesoło.
— Halo, młodzieńcze! Więc to pan? Na miłość boską, cóż to za samochód? Z jakiej to serii? Tudor, czy Plantagenet? Nadawałby się doskonale do muzeum osobliwości, prawda, Joan? Wybacz mi, kochanie, że się spóźniłem. Nie mogłem zjawić się wcześniej. Ten nudziarz, Pinfold... Gdzie są moje kije?
— Są tutaj! — odparła Joan. — Chodźmy! Bądź zdrow, Berry! Zobaczymy się później!
Wyszła z ojcem, pozostawiając Beresforda samego w obszernym hallu.
Stał przez chwilę w zamyśleniu, po czym wyszedł i skierował się w stronę swego auta. Joan i sir Richard zniknęli mu już sprzed oczu. Był dziwnie niezadowolony z siebie. Usiadł przy kierownicy i nacisnął starter. Motor nie zapalił. Nacisnął go po raz drugi, lecz bezskutecznie. Wskoczył z auta i zabrał się do korby...
Kilka minut majstrował przy motorze, wreszcie otworzył maskę i począł kręcić coś przy cylindrach...

W pół godziny potem usłyszał za sobą przyciszony słodki głosik:

— Czy coś się zepsuło? Odwrócił się z rumieńcem na twarzy.

— Nie mogę znaleźć uszkodzenia. Głupstwo zrobiłem, że zgasiłem motor. Bardzo cię przepraszam, ale jestem okropnie brudny. Majstruję tu już od godziny.

— Wiem, słyszałam — uśmiechnęła się Persis. — Nieprzyjemna historia. Czy jesteś pewny, że cylindry są w porządku?

Zaśmiał się mimo woli.

— Posiadasz dużo orientacji, ale cylindry już sprawdzałem. Pan Bóg raczy wiedzieć, co się stało. Będę musiał spędzić tutaj resztę dnia na naprawie.

— Trzeba znaleźć kogoś, kto by ci pomógł — zauważyła. Powstrzymał ją.

— Nie, daj spokój! Poślę do wsi, jeżeli mi ktoś będzie potrzebny. Mam jednak wrażenie, że sam sobie dam radę.

— Wejź do mieszkania i zatelefonuj! — zaproponowała Persis, drżąc nieco. — Strasznie zimno jest dzisiaj.

Spojrzał na swe zabrudzone dłonie.

— Musiałbym się chyba umyć. Uśmiechnęła się, przejęta dreszczem.

— Tak, przydałoby się trochę wody, prawda? Wejź do mieszkania! Zatelefonujemy po mechanika, a tymczasem zaczekamy na niego w saloniku.

Nie mógł oprzeć się tej propozycji. Wyglądała wyjątkowo prześlicznie tego poranka i zauważył to od razu. Zamknął maskę motoru i zwrócił się do niej z uśmiechem.

— Dobry kawał zrobił ten klekot — zauważył.

— O, często dzieją się rzeczy nieoczekiwane — odparła.

Gdy się znaleźli w małym saloniku, usiadła na kanapie, opierając się plecami o wzorzystą poduszkę, na tle której jej uroda jeszcze bardziej się uwydatniła.

— Idź się umyć, a ja tu zaczekam na ciebie.

Beresford wyszedł z pokoju, urzeczony jej widokiem. Jakież piękne miała oczy! A te złociste włosy!

Gorąca fala krwi napłynęła mu do twarzy, gdy mył ręce. Co by

powiedziała, gdyby wrócił do niej i chwycił w ramiona? Na samą myśl o tym czuł, że krew szybciej mu płynie w żyłach. Postanowił jednak opanować się. Dopiero dwa dni temu ją obraził. Utracił wówczas zupełnie równowagę. Ale zachowanie się takiego dumia, jak Croy, mogłoby każdego doprowadzić do szaleństwa. Persis powinna go była zrozumieć. Prawdopodobnie zresztą przebaczyła mu już dawno, a w tej chwili było to dla niego najważniejsze. Może chciała mu teraz wyrazić swą wdzięczność za to, że wyratował ją z tak przykrew sytuacji na drodze. Nadzwyczajny pomysł! Pośpiesznie zatelefonował do wsi, aby mu przysłano kogoś do naprawy auta.

Gdy wrócił do saloniku, zastał ją w tej samej pozie na kanapie, przeglądającą jakieś ilustrowane pismo.

— Wejdz, wejdz! — zawołała, nie podnosząc wzroku znad ilustracji. — Na stole są papierosy.

Zamknął za sobą drzwi i z jakimś nowym postanowieniem zbliżył się do niej.

— Teraz nie będę palić, dziękuję — odparł. — Chciałem z tobą pomówić.

Głos jego był stanowczy. Powieki Persis zatrzepotały, jak delikatne płatki kwiatu na wietrze.

— Istotnie? — wyszeptała. — A o czym?' Zatrzymał się tuż przy niej.

— Jestem zadowolony, że wczoraj szczęśliwie wróciłaś do domu — rzekł.

Teraz właściwie powinna była wyrazić swą wdzięczność, lecz jakoś się na to nie zносиło. Przewróciła stronicę tygodnika, milczała przez chwilę, po czym zagadnęła obojętnie:

— Zadowolony jesteś? Jak pięknie z twojej strony!

Beresford wciąż na nią patrzył. Czy to zawstydzenie nie pozwoliło jej mówić dalej? A może lęk? Przypomnił sobie swoją wczorajszą wściekłość. Może to wywarło na nią taki dziwny wpływ?

Pochylił się nieco w jej stronę.

— Persis, lękam się, że byłem wczoraj zbyt brutalny w twojej obecności. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Tak się jakoś stało.

— Ach! — wyszeptała Persis, przeglądając wciąż ilustracje. — Byłeś brutalny?

Ton jej wciąż był jeszcze obojętny, lecz dostrzegł rumieniec, który wypłynął na jej policzki. Palce przewracające stronice drżały nieco.

Więc to było zażenowanie. Postanowienie jego stało się mocniejsze. Położył swoją rękę na jej dłoni.

— Persis, Croy jest brutalem! Mogłem go zabić w owej chwili. Zadrżała nieco pod wpływem jego dotyku, po czym uspokoiła się znowu.

— Tego nie przypuszczałam — wyszeptała z zapartym oddechem.

— Może tak daleko bym się nie posunął — przyznał po chwili. — Ale byłem wściekły. W pewnej chwili przewrócił mnie w błoto. — Miał już imię Sally na końcu języka, lecz postanowił go nie wypowiadać. — Całe szczęście, żeś wyrzuciła go z auta. Uczyniłaś to bardzo zręcznie.

— Cieszę się, że tak myślisz — rzekła Persis w zamyśleniu. Ręka jego wciąż spoczywała na jej dłoni, a ona nie próbowała

uwolnić się z tego uścisku. Beresford milczał przez chwilę, po czym uklęknął przed nią.

— Persis! — rzekł miękko. — Przyrzeknij mi, że już nigdy nie wybierzesz się na wycieczkę z tym durniem!

Zaniepokoiła się, jak schwyty w zasadzkę ptak.

— Czyż ja tak często z nim wyjeżdżałam? — zapytała, wciąż nań jeszcze nie patrząc.

— Nie powinnaś nigdy tego czynić — rzekł łagodnie. — On nie jest dla ciebie towarzyszem. Matka twoja powinna zwrócić ci uwagę.

— Ach, mama! — rzekła Persis tonem pełnym litości. — Ona jest taka zaściankowa, że nie orientuje się w wielu rzeczach. A widzisz — westchnęła — nie mam przecież ojca, który by roztoczył nade mną opiekę.

Wzruszyły go te słowa i fala gorącej krwi znowu napłynęła mu do serca. Opasał ją ramieniem z gorącą pieśczęcią.

— Ja będę się tobą opiekował, kochanie — wyszeptał. Usiłowała wyswobodzić się z jego objęć.

— Ach, Berry, przestań! Daj spokój! — prosiła. — Jesteś taki sam, jak inni chłopcy, gdy się w ten sposób zachowujesz.

Taki sam jak inni! Całkiem mimo woli odezwał się w nim zdrowy rozsądek.

— Czy znasz aż tylu chłopców? — zapytał.

Spojrzała nań po raz pierwszy swoimi błękitnymi oczami.

— Ach, nie bądź śmieszny! — prosiła drżącym głosem. — Pozwól mi liczyć na ciebie, jak na przyjaciela, proszę cię, Berry!

Nie wypuszczał jej z ramion.

— Właśnie tym pragnę być dla ciebie — rzekł — pragnę być serdecznym przyjacielem. Czy pozwolisz?

— Sama nie wiem — szepnęła Persis, unikając jego wzroku. — Mam tak mało prawdziwych przyjaciół. Widzisz — głos jej stał się nienaturalny — wszyscy mi dziwnie zazdroszczą.

Pomyślał nagle o Sally i doszedł do wniosku, że posądzając ją o zazdrość, miał jednak rację. Persis spojrzała nań nieco zdziwiona jego milczeniem.

— Na pewno mnie zrozumiesz! — rzekła.

Jej drżące wargi znajdowały się teraz dość blisko. Pochylił się i ucałował je gorąco.

— Wiem coś o tym, kochanie — odparł. Zadrżała, lecz nie odepchnęła go od siebie.

— Dlatego warunki są takie ciężkie — westchnęła.

— Staną się lżejsze, gdy się pobierzemy — rzekł Beresford z przeświadczeniem.

Rozwarła szeroko oczy i odsunęła się od niego.

— Ależ, Berry! Ja nie mam zamiaru tak prędko wychodzić za mąż. Zaśmiał się wesoło, spoglądając na jej pobladłą twarzyczkę.

— W każdym razie przedtem muszą się odbyć nasze zaręczyny — oznajmił.

— O nie, nawet zaręczyć się nie możemy! — zaprotestowała z niepokojem. — Nie można działać tak śpiesznie. Nie powinienesz mnie nawet całować!

— Dlaczego nie? — indagował z dumą. — Gotowaś orzec, że nie mam prawa się w tobie zakochać!

Zarumieniła się znowu i energicznie wysunęła się z jego objęć.

— Ach, każdy z was tak mówi — zauważyła naiwnie. — Czy to nie straszne?

Zdawała się być bliska łez, więc postanowił ją uspokoić.

— Ależ ja mówię całkiem poważnie — rzekł. — Nie rozumiesz, Persis? Proszę cię, abyś została moją żoną.

— Ach, prosisz? — wyszeptała bezradnie. — I co ja mam robić?

Pochylił się nad nią z błyskiem w swych szarych głębokich oczach.

— Powiedz „tak”! Zaoszczędzi nam to mnóstwo zmartwień. Potrząsnęła głową.

— Nie mogę! Nie mogę! Muszę mieć trochę czasu do namysłu. A zresztą — dorzuciła bez odrobiny logiki —jeszcze dotychczas znalazłam niewielu mężczyzn. Skąd mogę mieć tę pewność, że ty jesteś tym jedynym, którego zdołam pokochać?

— Mogę ci na to odpowiedzieć — zawołał porywczo. — Nikt mnie nie zwycięży z chwilą, gdy zdobędę ciebie.

— Sam nie wiesz, co mówisz—zauważyła przezornie, a przezorność ta przypominała mu jej matkę.—Nie znasz życia lepiej ode mnie. Kochasz mnie teraz, kochasz moją urodę. Ale przyzwyczaisz się do tego i będziesz miał mnie dosyć. Ja znów mogę spotkać w życiu mnóstwo mężczyzn, którzy będą chcieli się ze mną ożenić. Czy można mieć pewność?

— Więc czekasz na lepszą partię? — zagadnął Beresford. Uczyniła ruch protestu.

— Daj spokój! Wstrętny jesteś! Wiesz przecież dobrze, o czym mówię, że należy mieć pewność, iż poślubia się człowieka, którego się naprawdę kocha. Ludzie tak często popełniają błędy, nieprawdaż? Ja bym takiej omyłki nie przeżyła, gdyby coś realnego stanęło na mej drodze za późno. — Spojrzała mu w twarz, wypowiadając te słowa i ujrzała w niej coś takiego, co zmieniło nagle jej zachowanie. — Och, dotknęłam cię! Wybacz! Cóż mogę uczynić, coż mogę powiedzieć? — podniosła dłonie do oczu i poczęła szlochać. — Żebyś wiedział, jak cię lubię! Nie przeżyję tego.

— Przestań, przestań! — prosił Beresford, otaczając ją znowu ramieniem. — Sprawiasz sobie całkiem niepotrzebne przykrości. Nie będę cię zmuszał do niczego, kochanie! Rozumiesz mnie? Otrzyj łzy i uśmiechnij się znowu! Nie masz powodu do płaczu.

— Jesteś pewny? — szlochała Persis, wspierając główkę na jego ramieniu. — Nie mogę nawet zaręczyć się z tobą, dopóki nie namyślę się poważnie.

— Dobrze, niech i tak będzie — odparł. — Należy przyjmować wszystko rozsądnie. Możesz mi nawet dać odpowiedź w przyszłym roku.

— Już niewiele czasu pozostało — mruknęła Persis, sięgając po chusteczkę. — Przecież za parę tygodni mamy Boże Narodzenie.

— Weź moją chustkę! — zaproponował Beresford. — Jest zupełnie czysta. Ale nie martw się kochanie. Pomówimy o tym po Bożym Narodzeniu. Wiesz, co ci powiem? — dorzucił łagodnie. — Pozostawimy tę sprawę do moich urodzin. Jak uważasz? Będiesz miała trzy tygodnie do namysłu. Jeżeli zechcesz przyjąć moje oświadczyzny, to zaręczymy się podczas mego urodzinowego balu. Zgadzasz się?

Persis otarła oczy i niepewną dłonią przygładziła włosy.

— To będzie dziesiątego stycznia, prawda? — zapytała.

— Jak zwykle! — odrzekł Beresford. — Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć. Otóż mój wuj bardzo cię lubi i będzie ogromnie zadowolony, gdy zostaniesz moją żoną.

Uśmiechnęła się blado.

— Nie powinienesz zbyt na to liczyć, Berry. Zależec to będzie... — Umilkła i wyciągnęła doń rękę. — Dobrze.

Przystaje na twoją propozycję.

Podniósł się z kolan.

— Więc załatwione. Dostanę teraz jeszcze jednego całusa, a następny dopiero w urodziny.

Chciała mu odmówić, lecz pocałował ją, nim się zdążyła opamiętać.

— Teraz wrócę do mego auta. Ten mechanik ze wsi na pewno za chwilę się zjawi. Bądź zdrowa, kochanie! Trzymaj się mocno!

Odszedł. Słuchała odgłosu jego kroków i dziwny dreszcz przejął ją od stóp do głowy. Interesująca była ta rozmowa, stanowczo interesująca! Odetchnęła głęboko z zadowoleniem, po czym wsparła głowę na wzorzystej poduszce i sennie przymknęła oczy.

Aż do pory lunchu Beresford i wiejski mechanik zajęci byli naprawianiem auta przed domem sir Richarda Harbridge. Sir Richard i Joan wrócili z golfa, po czym gospodarz zaprosił Beresforda na śniadanie, gdy tymczasem mechanik udał się do wsi, aby przynieść do naprawy jakieś niezbędne narzędzia.

— Zostawiłabym już tę maszynę w spokoju — rzekła Joan. — Żadna naprawa jej nie pomoże.

III

— Zatrzymam ją do dziesiątego stycznia — odparł Beresford, uśmiechając się ponuro. — Do tego dnia może nie zrobi mi ponownego zawodu.

— Niewiele ryzykujesz! — wtrąciła Persis, spoglądając na Beresforda wymownie.

— Właściwie to z mojej winy zgasiłś motor — zaśmiała się Joan. — Ale ten warkot był tak okropny, że dłużej już nie mogłam wytrzymać.

— Biedny Beresford! — litowała się nad nim lady Łucja. — Uważam, że to jest bardzo przykra historia.

— Za trzy tygodnie — uspokajał sir Richard — Beresford dostanie nowe auto, więc nie będzie czekał znów tak długo.

— Oczywiście, że niedługo — uśmiechnęła się Persis. Beresford spojrział na nią poprzez stół.

— Wiecie chyba państwo, że opuszczam Cambridge? — zagadnął.

— Co takiego? — zawołał sir Richard. Beresford zwrócił się do gospodarza.

— Jestem teraz potrzebny wujowi w domu, sir, aby mu pomóc nieco w pracy. Rozumiem go doskonale i oczywiście natychmiast zgodziłem się porzucić uniwersytet.

— Boże święty! — rzekł sir Richard. — Mnie by było szkoda pańskich studiów. Ale sądzę, że wuj wie, co robi.

Skończyły się zabawy, co?

Joan zaśmiała się z przymusem, a Beresford poczerwieniał.

— Sądzę, że będę umiał pracować, sir — zauważył.

— Oczywiście, oczywiście! — rzekł sir Richard dobrotliwie. — Nie potrzebuje mnie pan o tym przekonywać. Jestem pewien, że pańska matka cieszy się ogromnie z pańskiego powrotu. A propos, jak się matka czuje?

— Zupełnie nieźle, sir — odparł Beresford, zastanawiając się jednocześnie nad tym, czy obcy ludzie również dostrzegają zmianę w pani Vane.

— Dobrze! — rzekł sir Richard. — Nie tak łatwo jest uniknąć przeziębienia w tej porze roku. Na szczęście Boże Narodzenie wkrótce minie. Mnie osobiście zawsze najbardziej dolegają mroźne pogody.

Gospodarz chciał za wszelką cenę naprowadzić rozmowę na inne tory, w czym oczywiście pomogła mu Joan. Beresford zorientował się w sytuacji, lecz nie wiedział dokładnie, dlaczego Joan tak pragnie

zboczyć na inny temat. Czuł, że nie będzie mógł nawet dzisiaj zapytać ją o to, bo była dla niego dziwnie oschła. Istotnie okazja pomówienia z nią sam na sam nie nadarzyła się, gdyż natychmiast po skończonym śniadaniu wstała od stołu i wyszła, tłumacząc się tym, że musi dotrzymać towarzystwa Sally.

Persis także dyskretnie wymknęła się tuż za matką, a Beresford i sir Richard wyszli przed dom, aby obejrzeć nieszczęsny samochód.

— Widocznie coś się uszkodziło w cylindrach — zauważył sir Richard jowialnie. — Zeszłej nocy mieliśmy przyzwoity mróz.

Powrót mechanika ze wsi przerwał dalszą rozmowę i Beresford pożegnał się, myśląc o tym, że właściwie powinien się czuć dzisiaj o wiele szczęśliwszy.

Odstawił auto do garażu, sam zaś udał się piechotą w stronę domu. Co u licha działo się z Joan? Przecież dotychczas nigdy w ten sposób go nie traktowała. Nie знаła również jego zamiarów względem Persis, a jeżeli nawet domyślała się czegoś, to nie miała powodu do zazdrości. Znał ją z tego, że na ogół nie była kapryśna i posiadała znaczną dozę zdrowego rozsądku.

Pogoda się zmieniła i powietrze stało się chłodne i wilgotne. Beresford szedł gościńcem, nie chcąc brnąć przez błotniste pola.

Przechodząc w pobliżu kościoła, usłyszał za sobą warkot auta; może to ktoś znajomy, kto go podwiezie do domu. Zszedł na bok, lecz po chwili w zbliżającym się samochodzie rozpoznał kierowcę.

Auto minęło go i zatrzymało się o kilka metrów dalej. Ku niemu znad kierownicy odwrócił się Phil Croy, witając go przyjaznym skinieniem ręki.

Beresford tak był zdziwiony tym powitaniem, że przez chwilę stał bez ruchu. Później, orientując się, że musi przejść obok auta, zawrócił nagle i począł iść w przeciwnym kierunku.

— Hallo! — zawołał Croy przyjaźnie, podjeżdżając bliżej. — Niech pan wsiada! Jadę w pańską stronę.

Beresford mimo woli przystanął.

— Jedź pan do diabła! — rzekł, nie podnosząc głosu. Chciał odejść, lecz Croy otworzył drzwiczki i wyskoczył z samochodu.

— Chciałem pana o coś zapytać — rzekł spokojnie. — Chyba się pan na mnie już nie gniewa?

Beresford znów przystanął. Twarz jego pobladła.

- Zejdź mi pan z drogi! — mruknął. Lecz Croy nie był tym zmieszany.
— Bardzo mi przykro za to wczorajsze wystąpienie — odezwał się po chwili. — To był błąd z mojej strony. Może mi pan wybaczyć¹?
— Łajdactwo z pańskiej strony, chciał pan powiedzieć — rzekł Beresford, zaciskając zęby.
— O, może to pan nazwać, jak pan chce! — uśmiechnął się Croy dobrodusznie. - Postąpiłem trochę nieprzyzwoicie, przyznaję. W każdym razie przepraszam pana.
— Ach!-zawołał Beresford.-Woli pan być ze mną na przyjaznej stopie, czy tak?
— Jak panu wygodniej - odparł Croy. - Nie ma powodu do gniewu. Wybaczy pan?
— Nie chcę mieć nic wspólnego z takim łotrem, jak pan — syknął młody Vane.
Croy połknął zniewagę, zdając się jej wcale nie słyszeć.
— Dajmy temu spokój! — zaproponował. — Proszę pamiętać jednak ze panaprzeprosiłem. Byłem tak rozgniewany, że nie wiedziałem, co czynię
— Mozę pan również nie pamięta, co pan robił w owej chwili,gdv się zjawiłem — zapytał Beresford z ironią.
Ku jego zdziwieniu Croy wybuchnął śmiechem.
- Ach, dajmy spokój! Chyba to nie jest zbrodnia, jeżeli się całuje ładną dziewczynę. Sam pan tego nigdy nie robił?
Beresforda ogarniał coraz większy gniew.
— Ale nie wbrew jej woli, ty przekłeta świnio! — zawołał
— Cicho, cicho! - uspokajał go Croy. - Sądzę, że obydwaj mamy juz tego dosyć. Zresztą ja całkiem inaczej zapatruję się na to Przecież to jest dziewczyna, którą nie jeden już całował.
— Co takiego? — Beresford spoglądał na swego przeciwnika nieprzytomnym wzrokiem. - Co takiego? - powtórzył.
- Powiada pan, że ona... Ach, to kłamstwo! Przecież widziałem sam!
- Tak, jak sie pan zjawil, to sie zaczela wyrrywac, ale przedtem...
To nie jest kłamstwo. Dostrzegła pana jeszcze wówczas, kiedy ja pana nie widziałem i to wszystko.
— Milcz! — wycharkotał Beresford z wściekłością. — Precz! Lecz Croy stał wciąż na tym samym miejscu.

— Mówię panu szczerą prawdę, człowieku — upierał się przy swoim. — Najszczerzą prawdę! Może wygląda jak anioł, ale w gruncie rzeczy jest taka sama, jak wszystkie.

Beresford nie słyszał już ostatnich słów, bo odszedł pośpiesznym krokiem, miotany furją.

— Idiota! — bąknął Phil Croy, wsiadając z powrotem do swego auta. — Zawróciła mu głowę, ale przyjdzie taki dzień, kiedy sam zrozumie, z kim ma do czynienia!

Wrodzony takt nie pozwalał Beresfordowi przeprowadzać dalszych kroków względem znieawidzonego Croya i chociaż w głębi duszy nie bardzo wierzył jego słowom, to jednak nie mógł się pozbyć wspomnienia o tym, co mu Croy powiedział, a wspomnienie to nachodziło go teraz częściej, gdy się dowiedział, że Persis zaraz po świętach Bożego Narodzenia wyjeżdża w odwiedziny do kogoś ze znajomych.

Wiadomość tę podała mu lady Łucja w niedzielę po nabożeństwie. Persis nie była na nabożeństwie.

— Dziewczynie potrzebna jest zmiana — mówiła — i zaproszenie moich znajomych przybyło w samą porę. Z radością je przyjął, tym bardziej, że Persis ostatnio jest dziwnie przygnębiona.

Spoglądała przez cały czas badawczo na Beresforda, kierując jednocześnie te słowa jakby do admirała, który zauważył kwaśno:

— Mam nadzieję, że jednak panna Persis wróci na uroczystość urodzin Berry'ego, 10 stycznia.

— O tak, naturalnie! — uśmiechnęła się lady Łucja, zerkając wciąż jeszcze na Beresforda. — Na pewno nie zechce ominąć tej okazji. Zresztą pocieszamy się nadzieją, że potem na dłuższy czas wyjedzie do Londynu, to znaczy, jeżeli nasi przyjaciele w porę powrócą z Indii.

— Ach, do tego czasu może się jeszcze tyle zmienić — uśmiechnął się admirał. — Nie mogę tak długo stać na tym wietrze. Do widzenia.

Ruszył wąską ścieżką w towarzystwie Beresforda, który był jednocześnie wdzięczny za to, że nie przedłużał rozmowy na temat wyjazdu Persis. Beresford nie widział jej od owego pamiętnego poranka. Przez

cały ten czas zajęty był ogromnie rozmowami ze swą matką i admirałem na temat przyszłej pracy w majątku, a w całym domu zdawała się panować teraz atmosfera zadowolenia, że ukochany chłopak wrócił wreszcie na stałe do domu. Pani Sylwia Vane przyzwyczała się już na pozór do myśli o przyszłym małżeństwie swego syna z Persis, lecz Beresford miał ciągle wrażenie, że nie godziła się z tą koniecznością zbyt chętnie.

Zachowanie Joan dziwiło go coraz bardziej. Dziewczyna przy każdym spotkaniu była dziwnie chłodna i zdawała się go coraz przenikliwiej obserwować. Przez ten czas spotkali się raz, czy dwa razy na polowaniu, lecz nigdy nie byli sami, toteż nie miał okazji pomówić z nią szczerze. O Sally właściwie nic nie wiedział, bo z powodu przeziębienia przez cały tydzień siedziała w domu, a pewna delikatność w stosunku do Persis trzymała go przez ten czas z daleka od dworu Harbridge.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia urządzono bal myśliwski w sali ratuszowej w Barnesfordzie i Beresford miał nadzieję, że spotka tam Sally. Jednakże ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zastał tylko Joan w towarzystwie ojca, jako jedynych przedstawicieli rodziny Harbridge.

Joan uśmiechnęła się doń przy powitaniu, lecz dostrzegł, że nie witała go ze zwykłą radością.

— Trzeba było koniecznie przyjść na ten bal — rzekła. — Ty jesteś bez towarzystwa, prawda? Będziesz miał ogromne powodzenie.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Chciałem z tobą chwilę pomówić — rzekł. Przyjęła tę propozycję z zupełnym spokojem

— Dobrze, możemy przesiedzieć jeden taniec — odparła.

Ta jej obojętność zastanawiała go coraz bardziej. Znał ją zbyt dobrze, nic dziwnego więc, że zauważył, iż usiłowała za wszelką cenę milczeć i że prawdopodobnie nawet dzisiaj nie dowie się od niej prawdy. Postanowił jednak za wszelką cenę wyjaśnić sytuację, bo męczył go ten jej dziwny chłód.

Gdy nadeszła umówiona godzina, przeprowadził ją do zacisznego kącika sali i postanowił zaatakować ją bezzwłocznie.

— Przede wszystkim — rzekł — chciałbym wiedzieć, co się stało? Ciemne oczy Joan zawisły na jego twarzy z wyrazem jakby litości.

— Źle się czujesz? — zapytała.

— W każdym razie niespecjalnie — odrzekł z powagą. — Nie jestem przyzwyczajony pokutować za grzechy nie popełnione. Chciałbym się dowiedzieć, co takiego uczyniłem.

Stał ciągle przed nią, nie zajmując miejsca na fotelu. Pochyliła się, aby bliżej mu się przyjrzeć.

— Dasz mi papierosa? — zagadnęła nagle.

Podał papierośnicę i sam zapalił papierosa również, lecz nie ustępował w indagacji.

— A zatem — rzekła Joan wolno — jeżeli chcesz wiedzieć, to powiem ci, że jesteś strasznie głupi, chociaż nie powinnam się wtrącać w te sprawy.

Zarumieniła się nieco przy tych słowach, jakby wypowiadała je z pewnym wysiłkiem, lecz ani na chwilę nie starała się unikać jego wzroku.

Skinął głową, zaciągając się dymem papierosa.

— Powiedzenie to właściwie jest całkiem proste. Czy wolno mi zapytać, na mocy czego wyrobiłaś sobie o mnie takie zdanie?

— Nie — odparła Joan. — Wątpię, czy byłoby dobrze, gdybym ci powiedziała. Jesteś za młody, aby zwracać na takie rzeczy uwagę. Uśmiechnął się raczej niechętnie.

— W każdym razie nie jestem za młody, aby móc nie zauważyć twojego niezadowolenia.

— Nie — powtórzyła znowu w zamyśleniu. — Ja znów nie sądzę, aby niezadowolenie moje było tak wyraźne.

Zresztą to się nie liczy, prawda?

— Co się nie liczy? — zapytał.

— To, co ja myślę — wyjaśniła łagodnie. — Chciałam powiedzieć, że to i tak nie zmieni sytuacji, więc po cóż mamy mówić o tym?

— Nie zmieni sytuacji — rzekł z naciskiem. — Zawsze byliśmy przyjaciółmi i uważam, że nasza przyjaźń nie powinna się zmienić tylko z tego powodu, że nie chcesz mi powiedzieć prawdy.

— O, jeżeli tak sądzisz, to ci chętnie powiem — rzekła Joan. — Lepiej żebyś wiedział, niż miałbyś coś przykrego podejrzewać. Odsunęła mnie od ciebie ta sprawa z Persis. — W tej chwili zaciągnęła się dymem z papierosa. —

Sądziłam, że posiadasz więcej rozumu.

— Co chciałaś przez to powiedzieć? — zapytał.

Jej poważne oczy wciąż jeszcze utkwione były w jego twarzy.

— Jeżeli sam nie orientujesz się, że igrają z tobą, jak z bezbronną rybą, to cóż mogę na to poradzić — rzekła. — Nie gniewaj się, jeśli zmienię zdanie o twojej inteligencji i orientacji. W danej chwili nie mogłabym stwierdzić, że posiadasz te dwie zalety.

— Rozumiem — rzekł Beresford. — Pragniesz mnie zbuntować przeciwko Persis, czy tak?

— Usiłuję wyratować cię z przykrej sytuacji i to wszystko — odparła Joan ze smutkiem. — Ale jak już powiedziałam, właściwie nie powinnam wtrącać się do tych spraw.

— To po co w ogóle tak dużo o tym mówisz? — zapytał z ironią. Joan poprawiła się na krześle, obracając papierosa w palcach.

— Mogę nie mówić, jeżeli sobie nie życzysz — rzekła. — Tylko nie proponuj mi, abym tańczyła na twoim pogrzebie! Zawsze byłeś głupi, ale nie przypuszczałam, że głupota twoja aż tak daleko się posunie. — Podniosła się i stała przed nim, smukła i zgrabna, prawie imponująca. — Znaczy się, że to jest wszystko — dorzuciła.

Wyciągnął do niej rękę, gdy zauważył, że chciała odejść.

— Czekaj, Joan! Nie możesz mnie tak pozostawić. To byłoby nieli-tościwe. Ty i Sally, wy obydwie jesteście właśnie... — powstrzymał się nagle.

Stała się jeszcze chłodniejsza.

— Jakie jesteśmy? Powiedz! Nie wstydź się!

Lecz Beresford nie rzekł nic więcej. Było coś takiego, czego nie mógł powiedzieć nawet Joan. Tylko w milczeniu zacisnął dłoń na jej jędrnym ramieniu.

Ona zaczęła mówić po chwili nieco spokojniej:

— Zdaje się, że chciałeś mnie to samo powiedzieć, co powiedziałeś Sally. Chciałeś powiedzieć, że jestem zazdrosna. Byłoby to jeszcze jednym dowodem twego braku inteligencji, o co cię zresztą ostatnio bardzo poważnie posądzałam. Przyznaję, że w tym wszystkim jest może moja wina, więc najlepiej będzie, gdy zakończymy rozmowę na ten temat. On jednak ciągle jeszcze trzymał w uścisku jej ramię.

— Więc Sally powiedziała ci o tym! — wyszeptał.

— Tak. Zawsze mi o wszystkim mówi—odparła Joan z prostotą. — Masz coś przeciwko temu?

Zarumienił się nagle i zdjął rękę z jej ramienia.

— Nie, nic. Nigdy nie patrzyłaś na mnie przez różowe okulary, więc z zupełnym spokojem mogłaś przyjąć najgorszą o mnie wiadomość.

Był pewny, że po tych słowach odejdzie i zostawi go samego. Ona jednak nie ruszała się z miejsca.

— To najgorsze nie jest oznaką twego braku honoru — rzekła. — Ale nie kłóćmy się lepiej na ten temat i zatańczmy. Poszedł za nią z uczuciem zdziwienia. Trudno było obrażać się na Joan. Zresztą z ostatniej jej uwagi wywnioskował, że Sally jednak nie wszystko jej powtarzała. Uczucie dziwnego zmieszania owładnęło nim znowu, lecz postanowił się z niego otrząsnąć.

— Niech i tak będzie — szepnął, podając jej rękę. — Będziecie wszyscy na moich urodzinach, dziesiątego, prawda? Ty, Sally i reszta rodziny.

Joan uczyniła grymas.

— Reszta szlachetnej rodziny! Przypuszczam, że tak. Nie wiem tylko nic pewnego o Sally. Zależy, czy mama jej pozwoli.

— Głupstwa pleciesz! — zawołał. — Sally musi być koniecznie. Sam pomówię o tym z lady Łucją.

Obrzuciła go pośpiesznym spojrzeniem.

— Daj spokój! Już mnie to pozostaw! Postaram się przeprowadzić tę sprawę jak najlepiej, to znaczy, jeżeli uważasz, że sama Sally będzie z tego zaproszenia zadowolona.

— Na pewno będzie zadowolona! — odparł. — Przecież to jej pierwszy prawdziwy bal. Czyż nie miałyby ochoty przyjść?

— O, na pewno będzie miała ochotę — szepnęła Joan.

— Wobec tego postaraj się o to! — rzekł rozkazująco. — Jeżeli nie zjawi się razem z wami, gotów jestem po nią pojechać.

Joan wybuchnęła swym dźwięcznym, szczerym śmiechem.

— Jesteś naprawdę szalenie głupi! — zawołała, lecz tym razem nie wyjawiała swej myśli.

Nastał wreszcie tak niecierpliwie oczekiwany przez Beresforda wieczór jego urodzin. Tego dnia dostał od matki w podarunku piękny

sygnet, który podobno kiedyś nosił jeszcze jego ojciec Uradowany był tym ogromnie, choć jasną atmosferę dzisiejszej jego uroczystości zaciemniała chmurka niepokoju o zdrowie matki, która od kilku dni czuła się gorzej i dziś dopiero po raz pierwszy wstała z łóżka. Drugą rzeczą, której Beresford oczekiwał jeszcze bardziej niecierpliwie, była projektowana rozmowa z Persis, bo przecież to dzisiaj miały się odbyć wreszcie ich oficjalne zaręczyny. Wreszcie późnym wieczorem nadarzyła się sposobność podejścia do ukochanej dziewczyny, która dzisiaj wyglądała niezwykle uroczo.

Zaprowadził ją do małego pokoiku, tak zwanej zbrojowni admirała. Tutaj mogli być wreszcie sami i na pewno nikt im nie mógł przeszkodzić.

— Na Boga! — rzekł w pewnej chwili, spoglądając na nią. — Jesteś dzisiaj niezwykle piękna!

Zawisła na jego twarzy spojrzeniem swych pięknych błękitnych oczu, mówiąc:

— Cóż za dziwna uwaga! — lecz uśmiechnęła się doń jednocześnie z czułością.

— Właściwie nie o tym chciałem z tobą mówić — rzekł, uśmiechając się również z odrobiną zniecierpliwienia. —

Usiądź! Masz tu bardzo wygodny fotel.

Rozejrzała się dokoła bez zbytniego entuzjazmu.

— Cóż za nieprzyjemny pokój, Berry! Tak jakby zaglądali tu tylko mężczyźni o ponurych twarzach, z fajkami w zębach.

Zaśmiał się głośno.

— Właściwie zgadłaś, ale nie przejmuj się zbytnio tutejszą atmosferą. Siadaj kochanie! Pogadamy!

Uniosła swe delikatne brewki, jakby ze zdziwieniem.

— Czy jest specjalny temat do rozmowy? — zapytała.

— Oczywiście! — odparł z zapalem. — Przez cały ten czas nie przesłałaś mi ani słowa od siebie, więc przypuszczam, że mogę to uważać...

Umilkł. Ona pośpiesznie odwróciła głowę.

— Ach, nie bądź taki nieopanowany! — rzekła—Nie lubię nic załatwiać na gorąco. Nie wolno ci zapominać o tym, że jestem jeszcze bardzo młoda

— Persis! — zawołał z rozpaczą. — To nie jest chyba z twojej strony odmowa!

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Jesteś taki niecierpliwy. Po prostu lękam się własnych słów. Nie pojmuję, po co mamy się tak strasznie śpieszyć. Czy istnieje jakaś ważna przyczyna?

— Oczywiście, że istnieje! — odparł. — Wybacz, jeżeli cię mój pośpiech zraził! Ale wiesz przecież, że cię kocham, prawda? Musisz chyba o tym wiedzieć.

Ujął jej rękę w obydwie swoje dłonie i chociaż uczyniła ruch niechęci, to jednak nie zwolnił uścisku.

— Jesteście wszyscy jednacy — rzekła. — Wszyscy mówicie jedno i to samo. Tak trudno jest wam na to odpowiedzieć.

— Nie jesteśmy wszyscy jednacy — zaprotestował gorąco. — Nie należę do tego typu mężczyzn, którzy się bawią kobietą. Czyż tego nie pojmujesz, kochanie? Kocham cię, pragnę cię poślubić i dać ci wszystko, co jest w mojej mocy. Czyż nie chcesz zostać moją żoną, Persis?

Znowu uczyniła lekki ruch niechęci.

— Nie widzę przyczyny dla której musielibyśmy się tak śpieszyć — zauważyła. — Nie pojmuję, dlaczego miałabym już teraz wyjść za mąż.

— Nie kochasz mnie?—zagadnął, zbliżając swą twarz do jej twarzy. Zaśmiała się trochę niepewnie.

— Dlaczego zadajesz takie pytania? Mogę przecież cię kochać, ale to nie znaczy, że pragnę cię poślubić zaraz pojutrze!

— Ach, najdroższa! — wyszeptał. I nagle znalazła się w jego objęciach, bezradna, nie usiłując jednak wydostać się z jego ramion. — Pobierzemy się naturalnie wówczas, gdy sama zechcesz! Czy to jest jedyne twoje zmartwienie? Pocałuj ją całować namiętnie, dopóki nie położyła dłoni na jego ustach.

— Nie bądź taki dziki — wyszeptała. — Musimy się zachowywać jak rozsądni ludzie.

Ujął jej dłoń, którą trzymała na jego ustach.

— Nie puszczę cię, dopóki mnie chociaż raz nie pocałujesz — zawołał namiętnie. — Persis, kochanie, zasłużyłem chyba na to.

Zaśmiała się znowu i musnęła wargami jego policzek.

— Już! Teraz chyba jesteś zadowolony, bo gotowa jestem pomyśleć, że jesteś taki sam, jak Phil Croy.

— Daj spokój! — zawołał. — Nie wspominaj mi o tym durniu! Pamiętaj, że jesteśmy zaręczeni. Mam teraz do ciebie prawa.

— Jeszcze ci nie dałam odpowiedzi — zaprotestowała. — Zbyt wielkie pokładasz nadzieje, czy nie tak?

— Tak, masz słuszość — odparł. — Czyż nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz? To zupełnie wystarczy.

Westchnęła lekko i potrząsnęła złocistą główką, opartą o jego ramię.

— Jesteś strasznie impulsywny, Berry.

— Cóż mogę na to poradzić — zawołał. — Jesteś taka piękna! Zresztą, kochanie, sama wiesz, że mnie kochasz, więc lepiej nie zaprzeczaj.

Obruszyła się z dziwnym niepokojem.

— Nie mam jednak zamiaru nikomu o tym mówić. Ty także nie mów. Lepiej nie wtajemniczać w to ludzi.

— Moja najdroższa — wyszeptał z uczuciem — wiesz, że nigdy bym nie uczynił nic wbrew twojej woli. Za bardzo cię kocham. Tylko na chwilę krew uderzyła mi do głowy. Wybaczysz mi prawda?

— Tak, jeżeli nadal będziesz rozsądny — odparła.

— Na pewno będę — obiecał. — Jak sądzisz, czy zmieścimy się razem na tym fotelu? Spróbujmy!

— Możesz usiąść na poręczu, jeśli chcesz — rzekła Persis łaskawym tonem.

Ulokowała się w fotelu, on zaś skorzystał z pozwolenia i objął ją ramieniem. Był w tej chwili naprawdę szczęśliwy. Może jeszcze zupełnie jej nie zdobył, ale pocieszał się nadzieją, że zdobędzie ją wkrótce.

— Dlaczego tak długo bawiłaś poza domem? — pytał. Westchnęła dwuznacznie.

— Myślałam, że tak będzie lepiej — po czym dodała obojętnym głosem: — Nie przypuszczam, żebyś tak bardzo odczuwał ten brak.

— Źle mi było bez ciebie na balu myśliwskim — odparł. — Nie sądziłem, że się nie zjawisz.

— O, spędzałam wówczas o wiele przyjemniej wieczór w Yorkshire — zapewniła go. — Była tam cudowna zabawa. Poznałam mnóstwo ludzi.

— Jacyż to byli ludzie? — zapytał. Oparła znowu głowę o jego ramię.

— Najrozmaitsi. Na pewno nie znasz nikogo. Wszyscy mężczyźni byli starsi od ciebie.

Odczuł ukłucie i zaśmiał się.

— Cóż za zniewaga! Mam nadzieję, że nikomu nie zawróciłaś głowy.

— I ja tak przypuszczam — odparła z niepewnym uśmiechem. — Stateczny mężczyzna nie tak łatwo daje sobie zawrócić głowę.

— Tak sądzisz?—zagadnął, wpatrzony w złociste pasma jej włosów.

— Naturalnie! — odparła z przeświadczeniem. — Mężczyźni szybko się leczą z chwilowej choroby.

— Więc wszyscy tamci panowie byli stateczni? — zauważył.

— W tej sprawie nie mogłabym wypowiedzieć swojego zdania. Człowiek żyje i uczy się.

— Ty mała cyniczko! — wyszeptał, muskając wargami jej aksamitne włosy.

— Czy cynikiem jest ten, kto posiada pewną powściągliwość sądu? — zapytała. — Nie wiem, jak można tak szybko wypowiadać o ludziach swoje zdanie. Właśnie dlatego... — Umilkła nagle.

— Co dlatego? — zapytał.

Podniosła głowę, spoczywającą dotychczas na jego ramieniu.

— Nie gniewaj się, Berry. Chciałam ci powiedzieć, dlaczego byłabym bardzo rada, gdyby o naszych zaręczynach nie wiadano. Najważniejszą jest rzeczą, gdy się ma zupełną pewność.

— Rozumiem — szepnął.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała nią jego dłoń.

— Może powiem coś, co będzie brzmiało dziwnie — rzekła po chwili — lecz wiem, że ty mnie zrozumiesz. Gdybym była taka, jak inne dziewczęta, byłoby mi o wiele łatwiej, lecz osobista uroda nie zawsze jest rzeczą pożądaną. Posiada ona powab dla niektórych mężczyzn, przejętych złym celem. Ciebie o to nie posądzam, oczywiście. Ale ty jesteś jeszcze taki młody, nieprawda, Berry?

— Nigdy dotychczas nikogo nie kochałem — odparł — jeżeli ci o to idzie.

Westchnęła lekko.

— Nie — wyszeptała, uzbrajając się w cierpliwość. — Nie to miałam na myśli. Bardzo mi miło, że jestem twoją pierwszą miłością, kochanie. Nie sądz, że się w tym nie orientuję. Ale przyrzekłeś mi, że nie będziesz mówił o tym nikomu, pamiętasz? Powiedziałaś, że będziesz czekał.

— Tak, naturalnie, najdroższa. Jak długo zechcesz. Odwróciła ku niemu swą twarzyczkę z niemą prośbą.

— Berry, chciałabym, żeby to przez pewien czas było tajemnicą. Nie masz nic przeciwko temu?

Zaczął ją całować, była urocza.

— Moja najdroższa — zawołał — uczynię wszystko, czego tylko pragniesz.

Z pewnym zawstydzeniem musnęła wargami jego czoło.

— Dziękuję ci za to zrozumienie — rzekła.

Był do głębi wzruszony. Czuł się silnym mężczyzną, podczas gdy ona była bezradnym dziewczęciem, łaknącym opieki. To, że prosiła go

o pomoc przeciwko niemu samemu, nie wnikało do jego świadomości

i dzięki temu tajemny czar nie prysnął od razu.

— Mam do ciebie tylko jedną prośbę — rzekł, trzymając ją ciągle w objęciach. — Pozwolisz, że powiem o tym mojej matce.

— Twojej matce! — wyszeptała. — Ach, Berry, czy koniecznie?

— Ona wie, że cię kocham — odparł.

— Ale, mój drogi — opuściła mimo woli oczy. — Co będzie, gdy się dowiesz, że ona mnie nie lubi?

— Mało cię jeszcze zna, kochanie — tłumaczył. — Jak cię pozna bliżej, na pewno zmieni zdanie.

Po raz pierwszy poczuł, że przywarła do niego całym ciałem.

— Przeważnie matki jedynaków nie lubią dziewcząt, które ich synowie pragną poślubić — wyszeptała z patosem. —

Twoja matka może będzie chciała oddalić cię ode mnie.

— To jej się nie uda — rzekł ponuro, po czym dodał całkiem nieoczekiwanie:—Ty jej także nie znasz, kochanie.

Musisz ją poznać bliżej!

— Więc lepiej nie mów jej o niczym! — prosiła z powagą. — Mam takie przykre przeczucia na ten temat. Nie chciałabym, aby cię matka przekonywała przeciwko mnie, Berry. Zaczekasz z tym trochę? Jestem pewna, że tak będzie lepiej.

Lecz tym razem on obstawał przy swoim.

— Nie mogę, najdroższa! — tłumaczył, — Muszę jej o tym powiedzieć. Przecież...

Odsunęła się od niego nagle i przymknęła oczy.

— Wobec tego, nie możemy się zaręczyć — skostatowała ze smutkiem. — Jest tak, jak przypuszczałam. Pragniesz mnie zdobyć dlatego, że jestem piękna. Nie potrafisz się poświęcić dla miłości.

Odsunął ją od siebie, zirytowany.

— To nieprawda! — zawołał. — Dla ciebie uczyniłbym wszystko, wiesz dobrze o tym.

Pochylił się nad nią z twarzą przy jej twarzy. W oczach jego błyszczał płomień. Spojrzała nań przelotnie i przymknęła oczy.

— Teraz się gniewasz! — rzekła słabym głosem.

Urok, którym tchnęła, doprowadzał go do szaleństwa, zabijając wszelki rozsądek. Przyciągnął ją do siebie.

— Uwielbiam cię! — zawołał chrapliwie. — Wiesz, że cię uwielbiam. Nawet to uczyniłbym dla ciebie, ale musisz mi dać w zamian pewną obietnicę. Persis, musisz mi przyrzec, że zostaniesz moją żoną!

Wzrastająca namiętność opanowała jego zmysły. Chwytał ją w kleszczowy uścisk, okrywając jej twarz i szyję płomiennymi pocałunkami, podczas gdy ona spoczywała w jego ramionach bez ruchu, nie próbując się nawet bronić. Był przygotowany, że wreszcie ocknie się z chwilowej bezsilności i odepchnie go z niechęcią od siebie. Jednakże nie uczyniła tego. Łagodnie tylko wyswobodziła się z jego objęć i wstała z fotela.

— Po tym wszystkim—rzekła, przyczesując włosy rękami, które nieco drżały — przypuszczam, że lepiej będzie, gdy wrócimy na salę balową.

Stał przed nią dziwnie zmieszany.

— Persis, ty nie jesteś na mnie zła? Nie mogłem się opanować. Wyciągnęła doń rękę.

— O, nie, nie jestem zła. Ale czy nie miałam słuszności? Nie mówmy lepiej o tym nikomu, Berry.

Swym uśmiechem pokonała go zupełnie. Padł przed nią na kolana. Czuł, że musi jej ulec.

— Jak sobie życzysz, kochanie — wyszeptał. Zwróciła się ku drzwiom, trzymając go za rękę.

— Teraz zatańczymy! — rzekła.

Gdy wrócili do sali balowej i przyłączyli się do par tańczących, Beresford odzyskał równowagę. Persis tańczyła świetnie, lecz nie poddawała się

czarowi tańca. Nie była ona taką wdzięczną tancerką, jak Sally i jej zachowanie przyczyniło się do ochłodzenia gorącej krwi Beresforda.

— Kiedy zobaczymy się znowu? — zapytał, gdy nadeszła pora rozstania.

Odpowiedziała mu ze spuszczoną głową, że trudno w tej chwili określić jej dzień i godzinę.

— Pojedź ze mną jutro na spacer moim nowym autem! — zaproponował. — Przyjadę po ciebie o jedenastej.

— O, może trochę później! — wyszeptała. — Może po południu, jeżeli mamie nie będę potrzebna.

— Niech i tak będzie! Wobec tego o drugiej. Przez ten czas wypróbuję moje auto. Możliwe — zniżył nagle głos — że wybierzemy się nim kiedyś w dalszą podróż. Kto wie?

Nie dała odpowiedzi, lecz odniósł wrażenie, że ten pomysł przypadł jej do gustu.

— Przypuszczam, że teraz na dłużej pozostaniesz w domu? — zagadnął, pochylając się nad nią.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

— Sama nie wiem, naprawdę. Otrzymałam zaproszenie do Ooty w Indiach, ale...

— Ale oczywiście nie pojedziesz! — dorzucił pośpiesznie. Odpowiedź jej wzbudziła w nim nowy niepokój.

— Nie mam pojęcia. Jeszcze nie zostało zadecydowane. Przecież trudno siedzieć tutaj okrągły rok, nieprawdaż?

— Och, ale do Indii nie pojedziesz — tłumaczył. — Gotów byłbym pojechać tam za tobą.

Uśmiechnęła się.

— Istotnie? To byłoby strasznie miłe z twojej strony. Ja oczywiście wolałabym raczej pojechać do Londynu, jeżeli mi się tylko uda. Strasznie lubię Londyn.

— Będiesz tam kiedyś miała własne mieszkanie — wyszeptał. Oczy jej utraciły senny wyraz i zapłonęły nagle.

— Ach, to byłoby cudowne! — zawołała. — Niczego w życiu bardziej nie pragnę.

Ktoś stanął za Beresfordem i ten mimo woli się odwrócił.

— Panie drogi! — zawołał Phil Croy.—Należałoby się przywitać, sądzę! Beresford zadrżał, spotykając się z przyjaznym uśmiechem nieproszonego gościa.

— Powinien pan zajmować się wszystkimi gośćmi — rzekł Croy — chociaż to jest dwudziesta pierwsza rocznica pańskich urodzin. Panna Sally podobno pana szuka. Chodźmy już, miss Kenyon! Szkoda czasu.

Ujął Persis pod rękę i oddalili się, a dziewczyna pożegnała swego dotychczasowego partnera zaledwie bladym uśmiechem.

Beresford stał przez chwilę, spoglądając za odchodzącymi ze szczerym niezadowoleniem. Jakaż ona była dziwna! Jak mało przejmowała się dzisiejszą sceną zaręczyn! Krew napłynęła mu do twarzy, gdy pomyślał, że wreszcie po ślubie zabroni jej przebywać w towarzystwie Phila Croya. Tego młodzieńca stanowczo nienawidził.

Myśląc wciąż jeszcze o tym, wpadł prawie na Sally, która biegła pędem w jego kierunku.

W przelocie chwycił ją w ramiona.

— Ach, Berry, nareszcie jesteś! Szukam cię wszędzie.

— Co się stało? — zapytał prawie niechętnie. — Byłem przez cały czas na sali balowej.

— Nigdzie nie mogłam cię znaleźć — odparła. — Wszędzie zaglądałam, Berry — zniżyła głos prawie do'szeptu — Joan mnie tu przysłała. Matka twoja bardzo źle się czuje. Prosiła, aby ci nie mówić do końca zabawy, lecz Joan uważała, że powinieneś natychmiast tam przyjść.

— Moja matka! — wyszeptał Beresford, blednąc na twarzy. — Gdzie ona jest?

Sally ujęła go pod ramię.

— Na górze. Joan jest przy niej. Prosiła, abyś nie robił z tego tragedii i przyszedł tam nie zauważony przez nikogo. Rozpoczął się następny taniec. Goście przeszli do sali balowej. Oni obydwój minęli salę, nie zwracając na nikogo uwagi. Nikt zresztą i na nich uwagi nie zwracał. Było już późno i zabawa wkrótce miała się skończyć.

Schody były puste, gdy się wreszcie na nie dostali. W pewnej chwili Sally znowu szepnęła z zapartym oddechem:

— Był doktor Chester, ale już poszedł. Nie wiem, kto po niego posłał. Mam wrażenie, że admirał siedzi w gabinecie z moim ojcem. Czy mam pójść po niego?

— Nie! Nie wołaj nikogo! — odparł Beresford.

Dotarli do drzwi, prowadzących do pokoiów Sylwii Vane. Beresford otworzył je cichutko i obydwójce weszli.

— Czy potrzebna ci jestem? — szepnęła Sally. — Może mam nie wchodzić?

Chwycił ją nagle za rękę.

— Musisz wejść koniecznie!

Uczuł gorący uścisk jej dłoni, który chciał może przynieść ulgę jego zbolełemu sercu. Potem zapomniał o niej, zapomniał o wszystkim, przejęty widokiem, który ujrzał przed sobą.

Matka jego leżała w fotelu przed kominkiem ubrana jeszcze w swą brokatową suknię, w której tak pięknie wyglądała na początku wieczoru. Jej marmurowoblada twarz sprawiała wrażenie twarzy osoby nieżywej.

— Matko! — zawołał, podbiegając do niej.

Do tej chwili nie dostrzegł obecności Joan. Podeszła doń i odsunęła go na stronę.

— Beresford, czyś ty oszalał? Nie widzisz? Powstrzymał się.

— Co? Co to jest? Czy ona zemdlą, czy...

— Tak — odparła Joan. — Nie rób hałasu! Nie przerażaj jej! Zaraz wróci do przytomności. — Pochyliła się nad zemdloną. Widział, że trzymała w ręku małą karafkę. — Podaj mi szklankę! — zawołała.

Podszedł do umywalni i wrócił ze szklanką, którą podał Joan. Dziewczyna obrzuciła go pośpiesznym spojrzeniem.

— Teraz trochę wody! — rozkazała. — Już jej jest lepiej.

Sally znalazła wodę i Joan zmieszała w szklance wodę z odrobiną alkoholu, po czym przytknęła szklankę do bladych warg chorej.

— Proszę to połknąć! — nastawała łagodnie. — Zaraz będzie pani lepiej. — Chora zaczęła się krztusić i Joan na chwilę odsunęła szklankę. — Tak, dobrze. Mamy dużo czasu. Sally, popraw ogień! Tu jest strasznie zimno!

Sally pośpieszyła spełnić polecenie. Beresford klęczał przy matce trzymając jej zimną rękę w swych dłoniach. Nie mógł mówić, bo zdawało mu się, że serce zamienia mu się w sople lodu. Nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Jedyna Joan trzymała się jakoś.

— Przez cały wieczór bardzo źle się czuła — tłumaczyła Beresfordowi. — Sama mi o tym powiedziała. Przyszliśmy na górę, aby odpocząć i nagle zemdląca. Całe szczęście, że było trochę spirytusu pod ręką. Spójrz, już jej lepiej! Błede powieki nieco zdrząły, uniosły się, po czym opadły znowu. Joan przytknęła szklanekę do rozchylonych warg. — Jeszcze tylko jeden łyk! — prosiła. — Potem już wszystko będzie dobrze.

I nagle oczy Sylwii Vane otworzyły się i zawisły na twarzy syna. Zaczęła mówić głosem ledwie dosłyszalnym.

— Więc ci powiedzieli! — wyszeptwała.

— Ja to zrobiłam — odparła Joan. — Uważałam, że powinien o tym wiedzieć!

Beresford począł mówić z wysiłkiem, słowa więzły mu w gardle.

— Naturalnie, że powinienem był wiedzieć, mateczko droga. Czujesz się lepiej, nic cię nie boli?

Uśmiechnęła się doń blado, z przymusem. Wargi jej były jeszcze ciągle sine, oczy zawisły w dalekiej przestrzeni.

— Nie. Nic mnie teraz nie boli — odparła. — Czy cię to uspokoiło, Teddy?

Ścisnęło go coś za krtań. Uczuł w danej chwili swoją zupełną bezradność, wiedział, że nie zdoła jej utrzymać przy życiu.

— Mateczko! — zawołał z niepokojem w głosie. — Co ci jest, mateczko? Czy możemy coś dla ciebie uczynić?

Przecież nie jesteś niebezpiecznie chora! Joan! — zwrócił się z rozpaczą do dziewczyny. — Zawołaj kogoś! Poślij po doktora!

— Ja pójdę! — zaofiarowała się Sally, kierując się ku drzwiom. — Za chwilę będzie tu doktor, Berry.

Wyszła. Przez uchylone ciężkie drzwi wtargnęły z dołu dźwięki melodii i zamarły, gdy drzwi po chwili się zamknęły.

— Gdzie jest służba? — zapytał Beresford.

— Prawdopodobnie wszyscy są zajęci na dole — odrzekła Joan, po czym dodała: — Pozostaw to Sally! Ona ma głowę na karku.

Joan także spoglądała na bladą twarz Sylwii Vane z głębokim wzruszeniem. Aczkolwiek chora odzyskała zupełnie przytomność, to jednak blady rumieniec na jej twarzy nie zwiastował nic dobrego.

Zdawać się mogło, że dusza jej wrywa się ku życiu, lecz ciało powoli zamiera.

Wyczuwali to obydwój w tej paraliżującej ciszy, gdy obserwowali z niepokojem bezwładną postać. Byli przeświadczeni o tym, że niewiele mogą dla niej zrobić. Na wysokim gzymsie kominka mały złoty zegar wydzwonił drugą godzinę. Beresford poruszył się niespokojnie, jakby ów zegar był zwiastunem czegoś niedobrego. W tej chwili oczy Sylwii Vane zwróciły się w stronę syna i spoczęły na jego twarzy z czułością.

— Usiądź, kochanie! — rzekła prawie całkiem normalnym głosem. — Tak na klęczkach musi ci być niewygodnie. Podsunął krzesło do jej fotela i usiadł, trzymając ją ciągle za rękę.

— Jak się czujesz, mateczko? — zapytał.

Oddech jej, do tej chwili nierówny, teraz stał się prawie niedosłyszalny. Głos jej jednak posiadał całkiem normalną siłę.

— Wcale się nie czuję — odparła. — Umieram.

— Przestań, mateczko! Nie wolno ci tak mówić! Wkrótce będziesz zupełnie zdrowa. — Z trudem wypowiadał te słowa, bo jej poprzednie oświadczenie zapadło zimnym ostrzem stali do jego serca. Był tak przerażony, jak jeszcze nigdy dotychczas. — Daj jej jeszcze trochę alkoholu, Joan! — rzekł. — To jest tylko omdlenie.

Lecz Sylwia Vane potrząsnęła głową.

— Nie, to mi nic nie pomoże. Berry, chciałam z tobą pomówić chwilę, nim jeszcze przyjdzie tu twój wuj. Słuchaj mnie i postaraj się zrozumieć! Czy mnie słyszysz, Berry?

— Oczywiście, mateczko! — rzekł, siląc się na spokój. — Ale może odpoczęłabyś teraz trochę? Będziemy mogli pomówić później.

— Nie — odparła. — Później będę odpoczywać. Wuj na pewno nie pozwoliłby mi mówić z tobą na ten temat. Berry, to będzie dla ciebie wielkie przejście, ale muszę ci powiedzieć, bo pragnę, żebyś zaczął działać. — Umilkła, oddychając ciężko.

— Wiesz, że uczynię wszystko dla ciebie, mateczko. Spojrzenie jej zawisło na jego twarzy z powagą.

— Uczynisz, Berry? Ciekawa jestem! — wyszeptwała. Spojrzał jej prosto w oczy, nie odwracając głowy.

— Uczynię wszystko — powtórzył, a w spojrzeniu jego zabłysła odwaga i niezmacona stanowczość. — Tylko powiedz mi, o co chodzi!

Tak więc Sylwia Vane, zachęcona przyrzeczeniem syna, poczęła wreszcie mówić:

— Idzie o twego ojca, Berry. Ojciec twój nie umarł. Żyje i cierpi gdzieś daleko stąd. — Przejął ją nagły dreszcz i głos jej się załamał.

— Mój ojciec! — wyszeptał Beresford. Padł znowu na kolana, ściskając coraz goręcej jej dłoń. — Słucham cię z uwagą, mateczko — dorzucił po chwili. — Mów dalej! Nie lękaj się!

Wzrok jego zatonął w jej oczach. Wracały jej powoli siły i poczęła mówić znowu:

— Nigdy nie przypuszczałam, że on wróci. Teraz już nie wróci na pewno. Kazałam mu wyjechać daleko, Berry, uczyniłam to dla twego dobra.

— Mów dalej, kochanie! — wyszeptał znowu ze stanowczością. Ona mówiła z zapartym oddechem.

— Pragnęłam oddalić od ciebie... tę całą nędzę... ten cały wstyd. Teraz dopiero orientuję się, że byłam w błędzie. Wiedziałam już o tym od chwili, kiedy mu kazałam wyjechać... od owej straszliwej nocy. Pragnął zobaczyć cię... chociaż raz jeden. A wyglądał tak staro... tak mizernie. Serce mnie bolało... lecz uczyniłam to... dla ciebie... — Nagły spazm rozpaczy wykrzywił jej twarz. Jakaś siła nie pozwalała jej oddychać przez kilka chwil i coś dławilo ją w krtani.

Beresford nic nie rzekł, lękał się mówić.

Po kilku minutach znowu odzyskała równowagę.

— Natknąłeś się na nas... pamiętasz? Począłeś się z nim mocować w ciemnościach. Ukryłam się za grobowcem, czekając końca tej walki. Wiedziałam, że on ci krzywdy nie zrobi. Potem... uciekłam do domu... A on odszedł. Nigdy nie wiedział... nie odgadł nigdy... jak go kochałam.

Ostatnie słowa wypowiedziała prawie z płaczem. Beresford przytulił twarz do jej ręki, lecz nie mógł wciąż jeszcze przerwać ciszy. Tylko spojrzeniem błędził po jej postaci.

A ona jakby w odpowiedzi na to spojrzenie, poczęła mówić znowu cicho, lecz wyraźnie:

— Przeczuwałam zawsze, że kiedyś przyjdzie dzień i ty się o tym dowiesz. Nie wiem, dotąd wyjechał. Ale ty go znajdziesz... przez pamięć o mnie... wrócisz z nim... pomożesz mu. Zgadzasz się, Berry?

Odpowiedział jej z trudem, lecz z powagą.

— Mateczko, nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego. Kim jest mój ojciec?

— Ach! — pytanie to sprawiło jej widocznie nowy ból. Oczy rzuciły błyski, jakby spoza mgły. — Zapomniałam, żeś nigdy tego nie wiedział. Nazywa się Rupert... Cheverell.

— Cheverell! — powtórzył nie swoim głosem, ale po chwili opanował się znowu. — Jest on owym człowiekiem, który wtrącony został przed laty do więzienia... za oszustwo.

— Tak — odparła szeptem — tak... człowiek, którego poślubiłam, a potem wykreśliłam ze swego życia. Gdyby umarł... nigdy bym ci o nim nie mówiła. Ale... wrócił... wrócił! — Znowu w głosie jej zadrżały łzy. — A ja go odesłałam stąd! — szepnęła z boleścią. — Ach, Teddy... Teddy! — Głuchy szloch dobył się z jej piersi.

Pochylił się nad nią pośpiesznie.

— Mateczko, nie płacz... nie płacz! Ja go odnajdę i przywiozę. Przrzekam ci, że to uczynię. Przysięgam. Ufasz mi jeszcze?

Uczyniła ruch czułości, skierowany w jego stronę.

— Mój najdroższy... Teddy-Bear! — wyszeptała.

Wyczytał z oczu jej życzenie i objął ją ramionami, przytulając do swej piersi. Jego młodzieńcza twarz, spokojna na pozór i stanowcza, przylgnęła do jej czoła.

— Wszystko będzie dobrze, mateczko — rzekł uspokajająco. — Wszystko będzie dobrze. Już mnie to pozostaw!

Westchnęła lekko, jakby dotknęła ją dłoń zbawczego spokoju i leżała bez ruchu w jego ramionach.

Znowu nastąpiła długa cisza, przerywana tylko szmerem tykającego zegara. Chłopak klęczący i trzymający ukochaną matkę w ramionach, nie poruszył się nawet, nie podniósł oczu. A dziewczyna, stojąca w głębi pokoju jak posąg, obserwowała matkę i syna ze wzruszeniem.

Nagle wśród ciszy powiało bezdźwięczne pytanie:

— Teddy, jesteś jeszcze przy mnie?

— Tak, mateczko, jestem przy tobie, trzymam cię w ramionach! — odparł.

— Podnieś mnie trochę! — wyszeptała. — Teddy, pragnę, abyś mu zwrócił ten mały złoty nóż do papieru. To był ostatni podarek od niego

przed zakończeniem naszego szczęścia. Powiedział, że nożyk ten nie przetnie naszej miłości.

Umilkła, jakby czekając na jego odpowiedź.

— Oddam mu go - odparł Beresford. Westchnęła głęboko.

— Podnieś mnie trochę! — wyszeptała znowu. — Wyżej... wyżej! Ach! Kto tam jest? Joan? Joan — słowa mieszały się z jej świszczącym oddechem — Joan... ty pomożesz mojemu Teddy!

Głos i oddech zamarły jednocześnie. Unieśli ją w górę bezwładną i prawie zupełnie zimną.

— Mój Boże! — szepnął Beresford przerażony.

— Cicho! — odparła Joan. — Połóż ją z powrotem! Nie żyje.

I w cichym pokoju obydwójce zdali sobie sprawę, że dusza Sylwii Vane uleciała w tej chwili w niebiosy.

— Muszę przyznać, że jestem bardzo zdziwiona, iż się wcale nie zjawił — mówiła Persis w zamyśleniu. —

Postanowiliśmy nazajutrz po balu udać się na przejażdżkę nowym autem.

— Nie sądzisz chyba, aby pamiętał o spotkaniu z tobą wówczas, gdy jego matka tak nagle umarła! — zawołała Sally ze źle ukrytą niecierpliwością. Nie pamiętała teraz o naukach Joan, że Persis należało niemal we wszystkich wypadkach ustępować.

— Ty tego nie rozumiesz — oburzyła się Persis, wzdychając. — A mnie jest trudno to wytłumaczyć. Byłam pewna, że postara się zobaczyć ze mną przed pogrzebem.

— To dlaczego nie poszłaś na pogrzeb, skoro chciałaś go ujrzeć?—zapytała Sally, która stoczyła zawziętą walkę ze swą macochą na temat wzięcia udziału w pogrzebie, lecz wreszcie postanowiono, że z dworu Harbridge w pogrzebie wezmą udział tylko sir Richard i Joan.

— To nie ode mnie zależało — odrzekła Persis. — Na pewno bym poszła, gdyby Joan ustąpiła mi swego miejsca, ale...

— Joan! — zaperzyła się Sally. — Przecież ona była serdeczną przyjaciółką matki Berry'ego! Jakżeś ty mogła ją zastąpić?

Persis nie odpowiedziała na ten atak, który przyjęła jako coś wulgarnego i pozbawionego wszelkiego taktu.

Wolałaby nie sprzeczać się z Sally, aby nie narażać się na jej dalsze wywody.

— Będę jeszcze bardziej zdziwiona, gdy i dzisiaj się nie zjawi — zakończyła nieprzyjemny dla niej temat.

Było to nazajutrz po pogrzebie matki Beresforda i nikt, nawet Joan, nie widział chłopaka od wczorajszego dnia na cmentarzu. Na drugi dzień po śmierci Sylwii Vane, Joan otrzymała jakiś tajemniczy list, o którym ani Persis ani Sally nie wiedziały. Persis nie dostała ani znaku życia od Beresforda i chociaż przypuszczała, że wobec ciosu jaki go spotkał, nie wybierze się z nią na spacer, to jednak nie była przygotowana na podobną ignorancję z jego strony. Pragnęła jakiegokolwiek urozmaicenia, które mogłoby ją wyrwać z monotonii codziennego życia. Wolała już nawet nieprzyjemną sprzeczkę z Sally, niż dotychczasowe beznadziejne nudy.

Warkot motoru, dochodzący z bramy wjazdowej, zwabił ją do okna.

— Otóż i on... — zaczęła, lecz Sally przerwała jej natychmiast:

— Nie! To Phil Croy!

Istotnie był to Phil Croy, jak zwykle elegancki i wytworny. Dostrzegł obydwie przy oknie i powitał wesołym ukłonem, na który Sajly odpowiedziała uśmiechem, Persis zaś odwróciła się od okna z niechęcią.

Po chwili był już w pokoju.

— Hallo, miss Persis! Mam jednak szczęście. Jak by się pani zapatrywała na przejażdżkę autem? Ranek mamy prześliczny. Może byśmy pojechali do Morland Cross?

— Cudowny pomysł! — zawołała Persis.

— Mógłby mnie pan także zaprosić — wtrąciła Sally kokieteryjnie. — Nie zajmę dużo miejsca w aucie.

Croy spojrział powątpiewająco najprzód na nią, potem na Persis, która nagle zgromiła młodszą siostrę:

— Nie bądź głupia Sally! Wiesz dobrze, że nie wolno ci wybierać się na dłuższy spacer, bo jesteś przeziębiona.

Sally zaśmiała się, ukazując koniec różowego jęczyczka.

— Ach, nie martw się kochanie! Nie pojechałabym, gdybyście mnie nawet prosili. Mam o wiele ciekawsze zajęcie.

Teraz idź przebrać się, a ja tymczasem zabawię pana Croya.

Persis zmarszczyła brwi.

— Jeżeli pan Croy mnie prosi, to prawdopodobnie nie łaknie wcale twego towarzystwa — mruknęła.

— Ależ najdroższa, nie denerwuj się—zaśmiała się Sally, otwierając swej przyrodniej siostrze drzwi na oścież.

Tuż za nimi zadźwięczał głośny śmiech Croya.

— Nieznośne stworzenie! — wypowiedział uwagę w stronę Sally. Sally zamknęła drzwi za Persis i zwróciła się do gościa.

— A pan jest nudny, jak flaki z olejem! — odpowiedziała. Zajęty był zapalaniem papierosa. Uporawszy się z tym, spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołał. — Nie przyszedłem tu po komplementy.

— Całe szczęście — odcięła się Sally, odrzucając w tył główkę. — Persis lubi takich nudziarzy i dlatego może pan tu przychodzić. Nikt inny w tym domu na pewno by pana nie tolerował.

Croy zaciągnął się dymem z papierosa.

— Mam wrażenie, że jest pani ciągle zbuntowana przeciwko mnie, mając na względzie młodego Vane. Proszę mi jednak wierzyć, że sam wywołał tę awanturę i zasłużył na karę.

— O nie! — zawołała Sally z zapalem. — Przeciwno takim ludziom jak pan, nigdy się nie buntuję. Może pan imponować tylko takiej głupiej dziewczynie, jak Persis. Ale pragnę panu powiedzieć, panie Croy, że nie jest ona jednak tak głupia, aby wreszcie nie poznać się na panu.

Wypowiedziawszy te słowa, odwróciła się doń plecami. Nareszcie znalazła okazję wypowiedzenia mu wszystkiego, co o nim myślała. Teraz właściwie należało wyjść z pokoju. Lecz podczas jej śmiałej przemowy stało się coś, co zwróciło nagle jej uwagę. Drugi samochód zatrzymał się przed domem, a gdy otworzyła drzwi, stanęła oko w oko z wchodzącym do pokoju gościem, na widok którego oniemiała.

— Berry!

Był bardzo blady i jakby szczuplejszy i wyższy, niż przed kilkoma dniami. Ujął ją pod ramię i wprowadził na powrót do pokoju. Nagle dostrzegłszy Croya, odwrócił się.

— Gdzie Persis?

Sally spoglądała nań z ciekawością. Nie był to ten sam towarzysz zabaw, którego znała od tylu lat, lecz mężczyzna stateczny, i opanowany,

mężczyzna dojrzały zupełnie. Po prostu nie miała odwagi przywitać się z nim.

— Jest na gorze — odparła. — Ubiera się do wyjścia. Beresford położył rękę na klamce.

— Idź i powiedz, że pragnę z nią pomówić! Poproś, aby zobaczyła się ze mną sam na sam.

Mówił tak stanowczo, że Sally zaniepokoiła się. Nie zwlekając ani chwili, postanowiła spełnić jego prośbę, a on tymczasem wyszedł również z pokoju, zamknął za sobą drzwi i postanowił czekać w hallu.

Minęło kilka minut, zanim ukazała się Persis, ubrana do wyjścia, z uprzejmym uśmiechem powitania na ustach. Sally szła za nią z wyrazem skupienia na swej rezolutnej twarzyczce.

— Ach, mój drogi Beresfordzie! — zawołała Persis, podając mu rękę i czekając aż złoży na niej pocałunek. — Bardzo się cieszę, że cię wreszcie widzę.

Nie pocałował jej ręki, tylko przytrzymał ją nieco dłużej w swej dłoni.

— Nie mogłem zjawić się wcześniej — rzekł, a gdy mówił, Sally ujrzała dziwne zmarszczki na jego twarzy i wyraz oczu, świadczący o spędzeniu kilku bezsennych nocy. — Czy mogę pomówić z tobą, na osobności, skoro już jestem tutaj?

Persis rozejrzała się dokoła z dziwnym zażenowaniem.

— Lękam się, że teraz to będzie niemożliwe. Muszę koniecznie wyjść. Może dzisiaj wieczorem!

— Bardzo mi przykro — wyszeptał. — Muszę się rozmówić z tobą natychmiast. Mam jeszcze dużo spraw do załatwienia i nie mogę czekać.

Głos jego był całkiem obojętny i prawie bezdźwięczny, lecz brzmiała w nim jakaś nuta, która zwróciła natychmiast uwagę Sally.

Persis skierowała się do drzwi, przed którymi stał teraz Beresford.

— Bardzo mi przykro, Berry, ogromnie mi przykro, lecz nie mogę zadośćuczynić twej prośbie. Czekałam na ciebie przez trzy dni, a teraz muszę pojechać do Morland Cross. Spóźnimy się, jeśli natychmiast nie wyruszymy. Pan Croy czeka na mnie.

Otworzyła drzwi z tymi słowy i ujrzeli znów Croya, siedzącego w nieruchomej pozie na fotelu, lecz usiłującego zachować swą godność.

Beresford ustąpił jej z drogi i wszedł za nią do pokoju. Nie spojrzał nawet na Croya.

— Persis — rzekł — bardzo mi przykro, że przyszedłem w nieodpowiedniej chwili, lecz nie mogę odejść, nie powiedziawszy ci tego, co mam do powiedzenia. Musi to nastąpić teraz, albo nigdy. Czy mogę pomówić z tobą sam na sam?

Sally dosłyszała nutę rozpaczony w jego głosie, choć twarz jego została niezmienną. Przysunęła się bliżej, gotowa w każdej chwili chwycić Croya za kołnierz i wyrzucić z pokoju. Lecz to nie Croy sprzeciwiał się teraz Beresfordowi. Do duszy Persis wstąpił duch przekory. Nie mogła oprzeć się pokusie pokazania Croyowi, że Beresford jest na każde jej zawołanie. Uczyniła swobodny ruch odmowy.

— Bardzo mi przykro Berry, lecz trafiłeś na niestosowną chwilę. Bardzo chętnie zobaczę się z tobą dziś wieczorem. Ale obietnica jest obietnicą i nie mogę robić zawodu panu Croyowi, który na mnie czeka. Przyjedź dziś wieczorem na herbatę! No, Phil, idziemy!

Był to wyraźny rozkaz, którego Croy usłuchał natychmiast, pragnąc jednocześnie za wszelką cenę wydostać się z przykrych sytuacji. Gdy Croy pierwszy wyszedł z pokoju, Beresford energicznym ruchem zastąpił drogę Persis, po czym wciągnąwszy do pokoju Sally, zamknął drzwi uważnie.

— Teraz — rzekł krótko — powiem ci, bo między nami nie może istnieć nic nie dopowiedzianego. Dowiedziałem się, mniejsza o to skąd, że nie jestem tym, za kogo mnie uważałaś, to znaczy nie jestem synem Ronalda Vane. Ojciec mój jest całkiem kim innym i jeszcze żyje. Musiałaś o nim słyszeć, albo też usłyszysz wkrótce. Nazywa się Rupert Cheverell. — Zupełnie spokojnie wypowiedział te słowa, lecz Sally, która go obserwowała badawczo, dostrzegła, z jakim trudem mu to przychodziło.

— Ach! — wyszeptała Persis, cofając się. Jej piękne oczy zawisły ze zdziwieniem na twarzy Beresforda, a twarz jej nagle pobladła.

On spojrzał na nią.

— Przypominasz sobie to nazwisko, nieprawdaż? Matka twoja wspominała je kiedyś przy okazji u nas. Ojciec mój został wtrącony do więzienia przed wojną za oszustwo. Uwolniony został zeszedł wiosny i zniknął. Mam zamiar odnaleźć go i wyjeżdżam zaraz, jak tylko będę mógł.

— Masz... zamiar... odnaleźć go?—powtórzyła Persis z przerażeniem. Dziwny blask ukazał się w oczach Beresforda. Zdawał się być ubawiony jej przerażeniem.

— Czy to cię dziwi? — zapytał. — Czy ty nie szukałabyś swego ojca, gdybyś wiedziała, że jeszcze żyje?

Persis cofnęła się jeszcze o krok, wyraźnie przerażona.

— Ale... nie takiego ojca! — odparła. — Beresfordzie, czy jesteś pewny, że to wszystko prawda? Według mnie to jest jakiś nieprzyjemny sen.

— Najistotniejsza prawda — zapewnił ją ponuro. — Jestem synem Ruperta Cheverella. Tajono to przede mną do teraz. Lecz od dzisiaj wszyscy o tym będą wiedzieć.

— Co takiego? — zawołała Persis. — Masz zamiar powiedzieć o tym wszystkim? Tego nie możesz uczynić! Pomyśl, jaki to będzie publiczny skandal.

Poprzez uchylone wargi Beresforda zajaśniały białe zęby w drapieźnym uśmiechu.

— Tak, wiem o tym wszystkim — rzekł. — Właśnie dlatego przyszedłem najpierw do ciebie. Sądziłem, że lżej mi będzie, gdy się dowiesz wcześniej, niż cały świat.

— Ale po co mówić o tym całemu światu? — zawołała Persis z rozpaczą. — Czy jest jakaś potrzeba? Powiadasz sam, że zniknął. Możliwe, że nigdy więcej nie wróci!

Beresford wyprostował się z dumą.

— Przeszukam cały świat, aż wreszcie go odnajdę — oświadczył.

— Ach! — zawołała znów Persis, opierając się bezsilnie o poręcz krzesła. — To brzmi strasznie patetycznie. Po co on ci jest potrzebny?

Beresford odetchnął głęboko.

— Lękam się, że nie potrafię ci na to odpowiedzieć — mruknął — przynajmniej nie potrafię odpowiedzieć ci tak, abyś zrozumiała. Przypuszczam jednak, że po tym wszystkim, nie będziesz chciała mieć nic wspólnego ze mną?

Persis sprawiała wrażenie spłoszonego ptaka.

— Ja? — wyszeptała. — Przypuszczam, że nikt nie będzie chciał mieć nic wspólnego z tobą. A jak się na to zapatruje admirał?

— Zupełnie tak samo jak ty — odparł Beresford. — Oznajmił mi, że jeżeli komukolwiek pisnę o tym słówko, nie chce mnie znać i wyrzeknie się mnie na zawsze.

— Nie potępiam go za to. — rzekła Persis, z wyraźną ulgą. — Jedyнным racjonalnym środkiem byłoby zatuszowanie całej sprawy,

jeżeli jesteś pewny, że wiadomość ta jest prawdziwa. Ja osobiście nie mogę w nią uwierzyć. Przecież niemożliwym jest, aby przez tyle lat prawdę ukrywano.

— A jednak tak bycie — rzekł Beresford spokojnie. — Jeśli nie możesz uwierzyć, to nie mam na to rady, aby cię przekonać, z wyjątkiem tego, że od dziś przyjmuję nazwisko Cheverell. Nawet mój wuj nie może mi zarzucić braku prawa do tego nazwiska. — Nuta gorzkiej ironii zadźwięczała w jego głosie.

— A jak to się stało? Nic mi jeszcze nie wyjaśniłeś — indagowała Persis. — Więc twoja matka była żoną tego okropnego człowieka?

— Tak, moja matka była jego żoną — odparł Beresford, jakby uradowany. — Ta rzecz nie ulega żadnej wątpliwości. Była ona również siostrzenicą mego wuja, admirała Vane-Trafforda. Nie była tylko żoną Ronalda Vane, który został zabity na wojnie i na którego portret ja zawsze spoglądam, jak na portret mego ojca. Ronald Vane był tylko kuzynem mojej matki z pierwszej linii, lecz z tą całą historią nie ma nic wspólnego.

— Więc twoja matka cię okłamywała! — zauważyła Persis.

Po raz pierwszy Beresford zaczął tracić równowagę. Zadrżał, lecz po chwili opanował się prawie zupełnie.

— Powiedziałem ci już wszystko, co miałem do powiedzenia, więc nie mam potrzeby zatrzymywać cię dłużej.

Sądziłem, że tobie pierwszej powinienem to powiedzieć z przyczyn, które sama dobrze znasz. Lecz przypuszczam, że teraz na tym należy położyć krzyżyk. Na przyszłość nie będziesz miała ze mną nic wspólnego.

Persis wprostowała się z godnością. Stanowczo została dotknięta tymi słowami.

— Naprawdę — rzekła — nie orientuję się prawie o czym mówiłeś, jak zresztą i ty sam prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy. Jeżeli chcesz zachować moją przyjaźń, musisz zastosować się do życzeń admirała i utrzymać cały ten skandal w tajemnicy. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś w twojej sytuacji, mógł postąpić inaczej. W moim pojęciu, to wszystko stanowczo nie przynosi zaszczytu.

— Tak, przypuszczałem, że tak będzie — wyszeptał Beresford. Odwrócił się nagle i otworzył drzwi, przy których stał podczas całej tej rozmowy. — Bądź zdrowa, Persis! Mam nadzieję, że nie spóźnisz się do Morland Cross.

Obrzuciła go pośpiesznym spojrzeniem, jakby powątpiewała teraz

o Stanie jego zmysłów. Uśmiechał się do niej, lecz takim uśmiechem, jakiego nigdy w życiu nie widziała.

— Do widzenia! — rzekła słabym głosem i wybiegła do Croya, oczekującego ją w hallu. Nie było to zaszczytne wycofanie się z sytuacji, lecz stanowczo nie mogła dłużej pozostać w pokoju. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w podobnie przykrym położeniu.

A Beresford zatrzasnął drzwi za nią i począł biegać po pokoju, ściskając rękami skronie.

— Wielki Boże! — szeptał — wybaw nas, wybaw nas!

Może sądził, że jest zupełnie sam? Sally nigdy się o tym nie dowiedziała. Widocznie załamało się w nim coś, bo padł na kanapę

i wybuchnął głośnym płaczem.

— Och, biedactwo! — zawołała Sally.

Pobiegła do drzwi, przekręciła klucz w zamku, po czym wróciła do Beresforda.

Przez cały czas poprzedniej rozmowy stała w milczeniu i bezradności, lecz teraz postanowiła działać z namiętnym zapalem. Uklękła przy nim i objęła jego szyję ramionami.

— Jestem przy tobie, Berry! Jestem przy tobie! — szeptała. Głowa jego opadła na jej ramię. Siły go opuściły.

Szłochał głucho,

nie wstydząc się swych łez.

— Wiem, wiem! — mówiła Sally. — Kochanie, uspokój się. Taki paroksyzm bólu na pewno przeraziłby Persis, Sally jednak

przytuliła go tylko mocniej do piersi.

— Zaraz się będziesz czuł lepiej — szepnęła, przygarniając jego gęstą czuprynę. — Drogi, kochany Berry! Wszystko będzie dobrze.

I rzeczywiście, zrobiło mu się lepiej pod wpływem jej dobrych słów. Jego szloch powoli zamierał i Beresford leżał już spokojnie w objęciu Sally.

Przyszedł wreszcie zupełnie do siebie, a Sally ocierała ukradkiem łzy, całując jego ręce, którymi zasłonił twarz.

Odsunął się nieco.

— Daj spokój... Nie rób tego — wymamrotał.

— Dlaczego?—zagađnęła Sally, ocierając jeszcze ciągle łzy, spływające jej po policzkach. Po chwili rzekła już całkiem spokojnym głosem: — Chciałbyś mieć przy sobie Joan? Pójdę po nią, jeśli sobie życzysz.

Zdawał sobie sprawę, że gotowa jest pobiec natychmiast.

— Nie — zawołał, podnosząc głowę i spoglądając na nią. — Wolę, raczej, że ty jesteś. Tylko wstań z klęczek. Cóż za samolubny brutal ze mnie!

— Ja uważam, że jesteś najszlachetniejszym człowiekiem na świecie — rzekła Sally z prostotą.

Uśmiechnął się do niej blado.

— Niemożliwe, Sally!

Sally wyciągnęła chusteczkę, którą zaczęła osuszać jego oczy. Zachowanie się jej było macierzyńsko czułe.

— Już lepiej! — mówiła. — Biedny Berry! Tak ci chciałam dopomóc.

Wziął z jej rąk chustkę i przetarł nią czoło.

— Dziękuję ci, kochanie — rzekł. — Proszę cię, nie klęcz dłużej! Czy nie moglibyśmy obydwójce usiąść na kanapie?

— Ależ oczywiście! — odparła Sally i usiadła przy nim, trzymając go za rękę. — Oprzyj się na poduszce, to cię głowa przestanie boleć! Wiem, jak płacz ogromnie męczy człowieka.

— Nie powinnaś wiedzieć — szepnął, kładąc się i przymykając oczy.

— Ja przynajmniej w takich wypadkach mam przy sobie Joan — rozumowała Sally — a ty, biedaku, nie masz nikogo. Ale nie mogłeś chyba sądzić, że Persis cię zrozumie?

— Nie — odparł — właściwie nie przypuszczałem. Musiałem jednak jej powiedzieć. Widzisz — otworzył oczy i spojrzał znów na nią — widzisz, tamtej nocy oświadczyłem się jej przed... przed... — nie mógł dokończyć.

Sally pogłaskała jego rękę.

— Wiem. A ona przyjęła cię, prawda?

— Tak, pod pewnym warunkiem. Mieliśmy to zatrzymać w tajemnicy. Ale ty nie powtórzysz o tym nikomu, co, Sally? — Głos jego był teraz pełen ufności.

— Naturalnie, że nie, mój drogi! — rzekła Sally wciąż jeszcze z czułością macierzyńską. — Nie troszcz się o to! — Umilkła na chwilę,

po czym natychmiast zmieniła temat rozmowy: — Opowiedz mi o swym ojcu, Berry! — prosiła. — Nie sprawia ci to przykrości?

— Oczywiście, że nie! — odparł z ulgą. — Jak ładnie z twojej strony, że pragniesz wiedzieć!

— Zawsze pragnęłam wiedzieć wszystko o tobie — oświadczyła Sally z powagą. — Czyś widział go kiedyś?

— Widziałem go tylko raz w czasie dzieciństwa, lecz byłem wówczas za mały, aby pamiętać. Potem widziałem go dziesięć miesięcy temu. Było to bezpośrednio po zwolnieniu z więzienia. Wuj pragnął się go pozbyć z kraju, lecz on tej propozycji nie przyjął. Spotkali się z matką na cmentarzu, w nocy, a ja tam przyszedłem całkiem przypadkowo. Widziałem go przez chwilę. Nie poznałbym go więcej. Było to owej nocy, kiedy z tobą postąpiłem tak brutalnie i doprowadziłem cię do płaczu.

— Głupia byłam — rzekła Sally krótko, rumieniąc się mimo woli. — Mów dalej!

— Dobrze. Sądziłem wtedy, że ją maltretuje i rzuciłem się na niego — ciągnął dalej Beresford. — Stoczyliśmy krótką walkę, a potem on zniknął. Nie wiedziałem, że to była moja matka. Podobno kazała mu wyjechać dla mego dobra, chociaż go wówczas jeszcze kochała.

— Biedactwo! — szepnęła Sally wzruszona.

— Dziękuję ci. Teraz muszę go stanowczo odnaleźć.

— Oczywiście, że to jest twoim obowiązkiem! — przyznała Sally. — Prawdopodobnie ona sobie tego życzyła!

— Tak, życzyła sobie tego — odparł Beresford spokojnie — i przyrzekłem jej. Ale to oznacza zupełne zerwanie z wujem. Jest stanowczo temu przeciwny.

— Och, ależ to niemożliwe! — oburzyła się Sally. — Pozwól, żebym ja z nim pomówiła! A może lepiej Joan! Beresford westchnął głęboko i przesunął dłonią po czole.

— Nic z tego nie będzie. Nawet Joan nic nie zdoła uczynić. Ona wie o wszystkim. Była przy tym, gdy matka wyznała mi całą prawdę.

— Poczciwa Joan! — rzekła Sally. — Zadowolona jestem, że masz taką przyjaciółkę. Berry, tak się starałam sprowadzić tej nocy lekarza.

Uścisnął jej rękę.

— I tak by to nic nie pomogło. Widocznie doktor wiedział o wadzie serca, lecz matka prosiła, aby nikomu o tym nie mówił. — Westchnął

znowu. — Już nie było żadnego ratunku. Szkoda tylko, że nie wiedziałem przedtem, byłbym prawdopodobnie dla niej lepszy. Sally na chwilę przytuliła policzek do jego ramienia.

— Jestem pewna, że kochała cię takim, jakim byłeś — zauważyła naiwnie. — Ale wróćmy do admirała! On nie może z tobą zerwać. Przecież jesteś dla niego wszystkim, co posiada na świecie.

— To prawda, ale to nie stanowi żadnej różnicy — mówił zmęczonym głosem. — Ostatnio zaledwie rozmawiamy ze sobą. Nie może zrozumieć moich uczuć i nie może się przekonać. Zawsze był twardy.

— Ale... ale... — zaczęła Sally — jak masz zamiar wziąć się do rzeczy, Berry? Twój ojciec może się znajdować gdzieś blisko.

— Jeszcze nic nie postanowiłem — odparł Beresford. — Muszę go jakoś odnaleźć. Pokładam wielką wiarę w Bogu. Przecież to On zesłał mi tę misję. — Umilkł, jakby chcąc skupić myśli. — Pozostało mi trochę pieniędzy po matce. Przypuszczam, że wystarczą mi one na podróż. Ten plenipotent wuja, Morton, musi coś wiedzieć. Jeżeli niczego nie dowiem się od niego, pójdę za moją gwiazdą przewodnią.

— Jakże bym chciała pojechać z tobą! — szeptała Sally.

— Ty? — zdziwił się Beresford. Spojrzał znów na nią z większą uwagą. — To byłoby trudne. Nie na długo starczy mi tych pieniędzy. Ale ty poczciwa jesteś, Sally — dodał.

— Głupstwa pleciesz! — zgromiła go nieśmiało. — Wolałabym jednak, abyś nie jechał zupełnie sam. Czy nie mógłbyś zabrać mnie z sobą? Pracowałabym na ciebie.

— Moja kochana! — zawołał, uśmiechając się. — Mówisz tak, jakby cię można było wziąć do kieszeni i zabrać w najdalszą podróż.

— O, gdybyś tylko chciał! — zawołała. Chwyciła go za ramię i poczęła mówić z nagłą namiętnością: — Zniosłabym z tobą największą nawet nędzę.

— Sally! — wyszeptał.

Twarz jej, oczy i cała postać promieniowały uczuciem. Pochyliła się ku niemu ruchem pełnym odwagi.

— Biedny Berry! — wyszeptała. — Jak to przykro, że dziewczyna, którą kochasz, odwraca się od ciebie, a ta, na którą nie zwracasz najmniejszej uwagi, rzuca ci się na szyję!

— Sally! — powtórzył znowu i uczynił ruch, jakby ją chciał objąć

ramieniem. Ona jednak odsunęła się, trzymając wciąż swe dłonie na jego ramionach.

— Nie! — zawołała. — Nie czyn tego! Mogę cię pocałować, jeśli chcesz, ale nie urządzajmy żadnej sceny filmowej.

— Wybuchnęła nagle dziwnym, nienaturalnym śmiechem i zerwała się na równe nogi. — Sądzę, że najlepiej będzie, gdy pójdziesz Berry, zanim ja jeszcze zdążę popełnić jakieś głupstwo.

— To ja jestem osioł — zawołał, podnosząc się również. — Słuchaj, Sally! Czy naprawdę lubisz mnie w ten sposób?

— W jaki sposób? — zapytała Sally z twarzą płonąca, z dłońmi przyciśniętymi do piersi, lecz jednocześnie nie tracąc odwagi.

— Czy lubisz mnie tak, że mogłabyś zostać moją żoną, gdybym oczywiście mógł się kiedykolwiek ożenić? Nie powinienem cię pytać o to, ale pragnąłbym wiedzieć.

— Dlaczegoż miałabyś nie wiedzieć? — rzekła Sally, spoglądając mu w oczy rozjaśnionym wzrokiem. — Nie ma żadnego wstydu w tym, jeśli się kogoś kocha, a moja miłość jest szczerą. Ty mnie jednak tak nie kochasz, Berry, więc lepiej nie mówmy o tym.

— Wyszłabyś za mnie wówczas, gdy jestem bez pieniędzy, bez nazwiska, a raczej posiadam nazwisko niezbyt zaszczytne?

Sally zaśmiała się znowu, lecz teraz już całkiem naturalnie.

— Ależ ja nie kocham twoich pieniędzy ani twego nazwiska — rzekła — tylko ciebie. Czy sądzisz, że tamto się liczy?

— Maleńka! — wyszeptał, wyciągając do niej rękę. — Sally, powiedziałaś, że mogę cię pocałować.

— Nie, tego nie powiedziałam. Mówiłam, że ja cię mogę pocałować, a to jest pewna różnica. Załóż rękę na plecy i trzymaj je tam spokojnie!

— Ach, nie mogę! — wyszeptał błagalnie. — Nie mogę. Tyś przyniosła mi spokój. Nie bój się, nie będę ci się oświadczał, chcę cię tylko przytulić do siebie.

— Dobrze — zgodziła się. Podeszła doń, ufna jak dziecko, z oczami płonącymi jak gwiazdy i otoczyła ramionami jego szyję. — Nigdy bym ci tego nie wyznała — rzekła — gdybyś nie był tak zrozpaczony. Ale jestem zadowolona, że to uczyniłam, bo teraz nigdy nie będziesz się czuł samotny.

Ujął jej głowę w obie ręce i spojrzał głęboko w jej błyszczące oczy.

— Ach, Sally, Sally! — wyszeptał złamanym głosem. — Niech cię Bóg błogosławi!
I tak trzymając ją, pochylił się i delikatnie ucałował jej usta. Przyłgnęła doń na chwilę, po czym wyswobodziła się z jego ramion.
— Tak, to jest pożegnanie, prawda? — zapytała. — Jutro wracam do szkoły, a ty wyjedziesz przed Wielkanocą.
— O, nie jutro! — prosił. Skinęła głową.
— Tak, jutro. Ale napiszę do ciebie, jeśli zechcesz. Tylko pamiętaj, Berry, że nie jesteśmy żadną zaręczoną parą, ani też niczym podobnym. Musisz najpierw odnaleźć swego ojca. — Zwróciła się ku drzwiom, otworzyła je i spojrzała jeszcze raz na Beresforda. — Zrozumiałeś, prawda?
— Moja kochana — odparł poważnie — postąpię tak, jak mi każesz. Muszę przedtem osiągnąć mój cel, aby z czymś konkretnym do ciebie wrócić.
— Masz słuszość — rzekła Sally i nagle uśmiechnęła się doń uśmiechem, którego nigdy nie miał zapomnieć. — Ja zawsze będę myśleć o tobie — dodała, podbiegając śpiesznie do drzwi. — Życzę ci szczęścia, Berry!
— Och, zaczekaj! — zawołał. — Zaczekaj! — i pobiegł za nią do korytarza.
Była już na schodach, lecz przystanęła, przechylając się przez balustradę.
Podbiegł i chwycił ją za rękę.
— Sally, będziesz czekać na mnie? — zapytał, a potem dorzucił z zapartym oddechem: — Nie, nie odpowiadaj! Nie mam prawa pytać cię o to.
Palce jej zacisnęły się dokoła jego dłoni. Uśmiech szczęścia gościł jeszcze ciągle na jej twarzyczce.
— Przynajmniej ci mogę tylko jedno, Berry — odrzekła miękko. — Nie wyjdę za mąż, dopóki ty się nie ożenisz. Do widzenia!
Pochyliła się lekko i pocałowała go w czoło, po czym pobiegła na górę po szerokich schodach.
Beresford wyszedł na rozświetlony świat i teraz lżej mu było na sercu.

Nazajutrz późnym wieczorem Beresford zjawił się we dworze Harbridge i zapytał o Joan. Przyszła po chwili do hallu, a w jej ciemnych oczach wyczytał serdeczną sympatię, której nie umiała ukryć. Oczekiwała jego wizyty, lecz nie przypuszczała, że nastąpi ona tego wieczoru.

— Co się stało, Berry? — zagadnęła, podając mu rękę. — Czy mogę ci w czymś pomóc?

Uśmiechnął się do niej jakoś dziwnie.

— Nie, w niczym — odparł. — Przyszedłem, aby się z tobą pożegnać i to wszystko.

— Mój drogi! — zaniepokoiła się Joan. — Wejdz i usiądź! Przecież nie masz zamiaru wyjeżdżać dzisiaj w nocy?

— Owszem, tak. Stary wygnał mnie z domu. Byłem przygotowany na to. Wiedziałem, że nie zmienię jego zapatrywań.

Joan pociągnęła go za sobą do hallu.

— Siadaj! — rzekła. — Wszyscy wyszli na obiad do Dessimere'ów. Nie wrócą przed jedenastą.

Padł na kanapę z westchnieniem ulgi.

— Dzięki Bogu! A Sally pojechała do szkoły?

— Dziś rano — odparła Joan, podając mu papierosa.

— Dziękuję! — wziął papierosa. — Pożegnałem się z nią wczoraj. Joan, czy ona ci mówiła?

— Zdaje się, że nie miała wiele do opowiadania, nieprawdaż? — uśmiechnęła się Joan.

Spojrzał na nią badawczo.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem łotr?

— Nie — zaprotestowała. — Mylisz się. Powiedziałabym ci szczerze, gdybym tak myślała. — Potarła zapałkę i podała mu ogień, po czym dopiero zapaliła swego papierosa. — Jadłeś obiad?

— Tak, mam wrażenie, że jadłem. Stary Crawley przyniósł mi kilka kanapek. Nie pamiętam, czy je zjadłem. —

Uśmiechnął się znowu blade, — Mniejsza o to. Chciałbym z tobą pomówić o Sally, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Mów! — zachęciła go Joan, siadając.

— Chciałbym wiedzieć — zaczął — czy uważasz mnie za wielkiego łotra, że postąpiłem w ten sposób z Sally? Joan zaśmiała się.

— Mój drogi, ty nie znasz Sally — zauważyła tajemniczo.

— Nie znam? — zdziwił się. — A ty? Pokiwała kilkakrotnie głową ze smutkiem.

— Ja ją znam bardzo dobrze. Jestem jej powiernicą. Mogę ci powiedzieć tylko jedno — spojrzała nań w zamyśleniu.

— Ona nie chciała się w tobie zakochać. Była z początku zła na samą siebie. Dopiero ja jej wytłumaczyłam, że to jest rzecz całkiem naturalna.

— Jakże to ładnie z twojej strony! — wyszeptał. Joan zaciągnęła się dymem papierosa.

— Nie wiem, czy to było takie ładne — rzekła, oddychając głęboko. — Lecz nie wiedziałam dlaczego Sally ma odczuwać wstyd, ponieważ kocha. Nie przypuszczałam wówczas, że jesteś aż takim głupcem, że mógłbyś zakochać się w Persis. Oczywiście, gdy to się stało, usiłowałam ją ostrzec.

— Mnie również ostrzegałaś — odezwał się Beresford.

— Wiem. Byłam głupia — rzekła Joan szczerze. — Nie należy nigdy mówić poważnie z ludźmi zakochanymi. Tacy nic nie słyszą i nic nie widzą, bo tracą zupełnie rozsądek.

Wesoły uśmiech po raz pierwszy zajaśniał na twarzy Beresforda.

— Cóż za cyniczka z ciebie! Ale właściwie nigdy nie byłem poważnie zakochany w Persis.

— I nigdy nie byłbyś w niej poważnie zakochany — oznajmiła Joan z przeświadczeniem. — Im bardziej zbliżałbyś się do niej, tym bardziej ona by się od ciebie oddalała. Zawsze orientowałam się w tej sytuacji. Nie mogłam odciągnąć cię od niej. Wiedziałam, że sam wreszcie zrozumiesz. . .

— Tak. Byłem strasznym osłem — wyznał Beresford. — Powinienem był zorientować się od razu.

— Wszystko się na to składa, ale tyś szedł, jak ćma do światła. Persis ma wyjechać do Ootacamund, gdy tylko znajdzie się ktoś, kto mógłby zaopiekować się nią w podróży.

— Wyjeżdża, istotnie? — Beresford przyjął tę wiadomość bez

przykrości. — To jest najlepsze, co może uczynić. Nareszcie odczepi się od tego przekłętego Croya.

— Tak. Mama też tak uważa — odparła Joan. — Twierdzi, że tutaj na wsi Persis nie zrobi dobrej partii.

— Mnie może już nie zaliczać do grona jej wielbicieli — zauważył Beresford, wstrzymując ziewanie. — Powiedz mi szczerze! Czy uważasz, że teraz będę odpowiednim mężem dla Sally?

— A dawniej byłeś odpowiedni? — zapytała Joan.

Połknął tę uwagę, jak gorzką pigułkę. Na Joan jednak nie mógł się obrażać.

— Nie, masz słuszość. Nigdy odpowiedni nie byłem.

— Tego nie powiedziałam. Miałaś przecież zawsze całe mnóstwo możliwości. Teraz są one nieco zmniejszone. — Poczęła się doń uśmiechać. — Przypuszczam, że możliwości te wrócą, gdy się spotkamy znowu, a ja wówczas pogratuluję Sally szczęścia.

— Och, ty jesteś niezwykła! — zawołał z zapalem. — Czuję teraz, że byłem strasznym osłem. Dlaczego nie zwróciłem wcześniej uwagi na Sally?

— A czy teraz istotnie darzysz ją jakimś uczuciem? — zagadnęła Joan.

— Naturalnie! — mówił prawie z gniewem. — Dałbym dużo za to, żebym mógł ją zabrać ze sobą. Zrozum, Joan, jak odnajdę mego ojca i urządzę go jakoś, będę mógł założyć własny dom w jakimś zakątku świata, w Afryce, czy Kanadzie, gdzie będę pracował dla Sally. Pozwolisz jej wtedy do mnie przyjechać?

— Czy pozwolę? — zapytała Joan miękko. — Głupstwa pleciesz, Berry! Nie pojmujesz, że nikt nie potrafi jej zatrzymać? Z pewnością nie będzie nawet czekała mego pozwolenia.

— Istotnie tak myślisz? — pochylił się nad nią ze wzruszeniem. — Joan, jesteś moją prawdziwą przyjaciółką! Więc pomożesz mi w zdobyciu Sally?

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy — odrzekła Joan. — Ale przecież nie wiesz jeszcze dokąd właściwie masz pojechać, prawda?

— Tak, masz rację. — Twarz jego spochmurniała znowu. — Mam tylko do spełnienia misję, ale nie wiem, w którą stronę się skierować. Poproszę o informację Mortona, wątpię jednak, czy on zechce mi pomóc. W każdym razie wstąpię do niego w tej sprawie i ulokuję gdzieś

oszczędności mojej matki, które później powoli będę podejmował. Dokąd jednak pojedę, Bóg jeden wie.

— A admirał nie może ci pomóc? — zagadnęła Joan.

— Pomóc! — Beresferd uśmiechnął się z goryczą. — Nie, on nic dla mnie nie uczyni. Mówiłem ci już, że mnie wypędził. Jestem teraz zupełnie sam.

— A nie orientujesz się zupełnie, gdzie masz właściwie szukać swego ojca?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie orientuję się absolutnie. Myślałem już nawet o ogłoszeniu w kolonialnych gazetach, ale przypuszczam, że to nie odniesie żadnego skutku. Nie wiem zupełnie, co mam robić.

— Ja bym ogłoszenia nie dawała — doradzała Joan. — Wszelki rozgłos na ten temat jest niepotrzebny.

— Więc co mi radzisz? — patrzył na nią z zaciekawieniem poprzez dym papierosa. — Muszę przecież coś przedsięwziąć.

— Tak, oczywiście — przyznała i umilkła nagle, ważąc w myślach całą sprawę.

Beresford oparł się o poręcz krzesła z westchnieniem.

— Twardy orzech do zgryzienia — zauważył. — Ale muszę się jakoś z tym uporać. — Rzucił niedopałek papierosa do ognia i zamierzał wstać z krzesła. — Teraz muszę już iść — rzekł.

Joan spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego? Dokąd zamierzasz się udać? Uśmiechnął się do niej.

— Ty już teraz prawie zasypiasz. Udam się na stację. Stary Crawley obiecał mi przynieść moje rzeczy. Do widzenia! Podniósł się pośpiesznie. Joan wstała także i spojrzała nań badawczo.

— Nie jestem śpiąca, tylko zamyślona — rzekła. — Słuchaj, Berry! Nie możesz wyjechać dzisiaj w nocy. U nas w domu znajdziesz nocleg i wypiszesz się porządnie. Jutro rano wyprawię cię do Barnesford.

— Ach, to będzie niemożliwe! — zaprotestował. — Co powie na to lady Łucja, a Persis?

— O to się nie martw — uspokajała go Joan. — Nawet ich nie zobaczysz. Wyjedziesz stąd o ósmej trzydzieści.

Wiem doskonale, co ojciec na to powie i to mi wystarcza.

— Ależ, Joan... — zaczął znowu. Wyciągnęła doń rękę.

— Cicho bądź! Jeszcze nie skończyłam. Nie traćmy czasu na argumenty! Przynies swoją walizkę, to pójdziemy na górę. Dam ci coś do zjedzenia. A jak będziesz grzeczny, to może ci coś powiem.

— Coś mi powiesz? A co takiego? Coś o Sally? — Stał, patrząc na nią z ciekawością.

Joan przyłożyła palec do ust, uśmiechając się tajemniczo.

— Idź po walizkę i wracaj zaraz! Nie, to nie ma nic wspólnego z Sally. Jest to raczej twoja osobista sprawa. No, ruszamy!

W zachowaniu Joan było coś tak stanowczego, że Beresford nie oponował już więcej. Właściwie przydałby mu się wypoczynek przed wyruszeniem do Barnesfordu. Zresztą trudno było nie poddać się woli tak energicznej istoty, jak Joan. Joan zawsze najlepiej wiedziała, jak należało postępować.

Nie zdawał sobie sprawy ze swego zmęczenia, dopóki nie usiadł w głębokim fotelu i dopóki Joan nie postawiła przed nim kolacji, a sama nie zajęła się przygotowaniem pościeli dla niego.

— Dobrze ci tutaj będzie — zauważyła w pewnej chwili. — Jest to pokój Sally. Mój znajduje się po przeciwnej stronie korytarza.

Beresford rozejrzał się dookoła z zainteresowaniem. Pokój Sally! Na małej półeczce, wiszącej na ścianie ujrzał pluszowego niedźwiadka, siedzącego w śmiesznej pozie.

— Czy tego niedźwiadka zabiera ze sobą do łóżka? — zapytał.

— Teraz chyba nie — odparła Joan. — Ale dawniej był on jej nieodłącznym towarzyszem. Chciałbyś go sobie zabrać jako maskotkę?

Zaśmiał się głośno. W tej atmosferze panińskiego pokoju uczuł się znowu młodym chłopcem.

— Możesz go wziąć ze sobą — namawiała Joan. — Teraz zjesz kolację i położysz się spać! Obudzę cię o odpowiedniej porze.

Skierowała się ku drzwiom, lecz zatrzymała ją jeszcze.

— Joan, co mi miałaś powiedzieć? Przystanęła na chwilę, zażenowana nieco.

— Powiem ci jutro rano — odparła.

— Dlaczego nie teraz? — wyszeptał błagalnie. — Byłaś przez cały czas taka dobra dla mnie. Nie odchodź jeszcze!

Spojrzała nań z uśmiechem.

— Lepiej będzie, gdy pójdę, mój drogi — odparła.—Jesteś strasznie zmęczony i musisz się wyspać. Powiem ci jutro rano, przyrzekam.

— Mogłabyś mi teraz powiedzieć. Obiecałaś. Na pewno nie będę mógł zasnąć.

— Ja tam nie jestem taka pewna — zaśmiała się wesoło. — Ale jeżeli już koniecznie chcesz wiedzieć... — umilkła, zastanawiając się. — Właściwie trudno mi powiedzieć o tym, Berry.

— Cóż to takiego, u licha? — zdziwił się i nagle myśl jakaś zabłysła mu w głowie. — Joan! Czy to nie jest coś o moim ojcu?

Z ledwością wypowiedział te słowa. Joan położyła rękę na jego ramieniu.

— Uspokój się, stary! Dużo ci powiedzieć nie mogę. I tak zawiodę tu czyjeś zaufanie. Ale coś niecoś ci powiem. Powinieneś stanowczo wiedzieć.

Beresford drżał w tej chwili. Ostatnim wysiłkiem utrzymywał jeszcze równowagę.

— Ach! Na pewno moja matka powiedziała ci coś owej nocy, nim ja przyszedłem! Naturalnie, że powinienem wiedzieć, Joan! Cóż to takiego?

Joan zawahała się jeszcze przez chwilę, jakby ogarnęło ją nowe zwątpienie. Potem spokojnie rzekła:

— Nie wolno ci zadawać żadnych pytań. Mogę powiedzieć tylko jedno. Miałam zamiar powiedzieć ci o tym kilka dni temu, lecz pocieszałam się nadzieją, że sam odnajdziesz prawdziwą drogę. Berry, twój ojciec jest w Australii i jeżeli zdołasz odnaleźć człowieka nazwiskiem Newman, w Sydney, po adresem, który ci dam jutro, człowiek ten będzie ci mógł wyjaśnić wiele rzeczy.

Pan Morton siedział w swym gabinecie dziwnie zmieszany i niespokojny. Skórzany fotel naprzeciw, ten sam, na którym przed rokiem zasiadł zwolniony więzień, dzisiaj zajęty był przez Beresforda, pochylonego gorączkowo naprzód, lecz zachowującego zupełną pewność siebie.

— Może mi pan chociaż powie, jak on wygląda — indagował. — Niech mi pan pomoże, abym go poznał, gdy go wreszcie zobaczę.

Lecz pan Morton i tego nie mógł uczynić. Przede wszystkim natura nie obdarzyła go zbyt dużą spostrzegawczością i zapamiętywaniem ludzkich twarzy, z drugiej znów strony lękał się, że udzieleniem informacji temu chłopcu mógł sobie zaszkodzić i stracić tak poważnego klienta, jak admirał Vane-Trafford.

Beresford nie czynił tajemnicy z tego, że wuj z nim zupełnie zerwał i nie słuchał nawet wywodów adwokata na ten temat. Postanowił odszukać ojca i postanowienie to było niezłomne. Teraz pozostawało tylko wyruszenie w drogę na oślep i wiara we własne siły.

Po półgodzinnej rozmowie z adwokatem doszedł do wniosku, że niczego mądrego od niego się nie dowie. Jedyne dlań pociechą był mały skrawek papieru nakreślony ręką Joan, spoczywający obecnie w portfelu. Był to jakiś tajemniczy adres w Sydney, który miał go skierować do celu. Jedyne mu dopomógł pan Morton, było ulokowanie w jakimś banku oszczędności pozostałych po matce. Beresford otrzymał książeczkę czekową, przy pomocy której mógł podejmować dowolne sumy, będąc w Australii.

Z ciężkim sercem opuszczał kancelarię adwokata, postanawiając nie prosić już nikogo o pomoc.

W dwa tygodnie potem siadał na statek, który go miał zawieźć do miejsca przeznaczenia.

Sześciotygodniowa podróż trzecią klasą nie należała do przyjemności, tym bardziej, że towarzystwo w owej trzeciej klasie nie było zbyt miłe ani interesujące. Wszyscy współtowarzysze podróży wierzyli w to, że młodzieniec jedzie do Australii na wezwanie bliskich krewnych. Zresztą odnosili się do Beresforda uprzejmie, chociaż nie darzyli go zbyt dużą ufnością ze względu na to, że przecież nie należał do ich klasy społecznej. Beresford nie zwierzał się im ze swych radości i zmartwień, jak tamci czynili to między sobą. Rozmawiał z nimi przeważnie o rzeczach ogólnych i żaden ze współpasażerów nie ośmielił się zadawać pytań na temat jego osobistego życia.

Mimo tego otoczenia, Beresford czuł się jednak zupełnie dobrze. Najważniejszą rzeczą było to, że oddalił się wreszcie od nieprzyjemnej atmosfery, panującej w Lacy Denham i podróż ta zbliżała go coraz

bardziej do wytkniętego celu. Po kilku dniach podróży stał się całkiem mimo woli ulubieńcem pasażerów trzeciej klasy, którzy go poczęli otaczać niemal rodzicielską opieką.

Sz szczególnie jeden z nich, nazwiskiem Colwyn, darzył go szczególną sympatią. Colwyn był mechanikiem i jechał właśnie do jakiejś fabryki motorów w Sydney, gdzie miał dostać stałe zajęcie. Był o dobrych kilka lat starszy od Beresforda, a Australia była jego krajem rodzinnym. Nie posiadał zbytnej inteligencji ani wykształcenia, lecz jako towarzysz podróży był bardzo miły i interesujący. Beresford właściwie nie umiałby powiedzieć, czy go lubi, lecz zwracał się doń zawsze z większym zaufaniem niż do innych towarzyszy podróży. Colwyn był człowiekiem dość obytym i potrafił prowadzić ciekawe pogawędki. Opowiadał Beresfordowi obszernie o Australii i o warunkach tam panujących, dziwiąc się tylko, że Beresford nie zwierza mu się ze swych przeżyć i z planów na przyszłość. Beresford ze swej strony nie miał zbytnej ufności do tego człowieka, toteż starał się opowiadać mu o sobie jak najmniej. — Nigdy jeszcze z nikim tak się nie zaprzyjaźniłem w podróży — rzekł Colwyn Beresfordowi w ostatnim dniu podróży, a Beresford przyjął to oświadczenie z wdzięcznością. Dalej jednak zachował swą tajemniczość i Colwyn doszedł do wniosku, że nic mądrego już się od tego chłopca nie dowie.

Gdy nazajutrz rankiem dopłynęli do portu w Sydney, Beresford począł podziwiać całkiem nowy dla siebie widok. Nie było już teraz czasu na prowadzenie dłuższych rozmów, oprócz kilku krótkich słów pożegnania.

— Nie mogę panu dać swego adresu, bo nie wiem, gdzie będę mieszkał — rzekł Beresford w odpowiedzi na prośbę Colwyna. — Mam zamiar wynająć sobie jakieś tanie mieszkanie, a potem podróżować trochę po kraju. W każdym razie postaram się z panem wkrótce zobaczyć, może pan być spokojny.

Oczy starszego mężczyzny zajaśniały radością, gdy usłyszał to zapewnienie. Może istotnie przywiązał się do Beresforda podczas podróży. Ten chłopak posiadał stanowczo coś sympatycznego w swoim usposobieniu. Miał nawet ochotę zbliżyć się do Colwyna, lecz rozsądek dyktował mu pewną przezorność. Postanowił z nikim nie zawierać zbytnej przyjaźni.

Uściskał mu dłoń w ostatniej chwili i zdziwiony był kiedy Colwyn rzekł:

— Może uraduje pana, gdy panu powiem, że mógłbym znaleźć dla pana kwaterę. Dobrze jest znać kogoś, gdy się przyjeżdża do obcego kraju.

Beresford obrzucił go pośpiesznym spojrzeniem, lecz postanowił nadal zachować ostrożność. Jednakże ten poczciwy człowiek nie miał prawdopodobnie względem niego żadnych złych zamiarów i tylko pragnął mu pomóc w przykłej sytuacji.

— O, to bardzo miło z pańskiej strony — zawołał chłopak. — Może mi pan da swój adres, lecz nie wiem, kiedy się u pana zjawię.

Colwyn podał mu adres jakiegoś taniutkiego hotelu, mieszczącego się na bocznej uliczce, gdzie jego zdaniem można było całkiem przyzwoicie się ulokować, Beresford zaś nie czytając nawet kartki, schował ją do kieszeni.

— Do widzenia i dziękuję serdecznie! Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. W każdym razie wiem, gdzie będę mógł pana odnaleźć.

Rozstali się, a Beresford miał to przeświadczenie, iż Colwyn zachował się w stosunku do niego o wiele serdeczniej, niżby wypadało. Nie żałował jednak swojej ostrożności. Wolał być sam, wolał sam udać się na dalsze poszukiwania. Nie należało obarczać się balastem jakichś nowych znajomości. Wysiadając z okrętu, przestał nawet myśleć o swym nowym przyjacielu, Stefanie Colwynie.

Beresford nie odczuł gościnności australijskich obywateli, gdy stanął po raz pierwszy na nowym lądzie. Nikt go nie witał i nikt się o niego nie troszczył. Właściwie z jednej strony był zadowolony, że swą osobą nie zwracał niczyjej uwagi.

Pożegnawszy bez żalu współtowarzyszy podróży, odetchnął z ulgą, że wreszcie staje się zupełnie niezależny od swego otoczenia. Ciekawiło go ogromnie to wszystko, co dokoła siebie widział. Połyskująca tafla morza, wspaniale zbudowany port, szerokie i wąskie ulice, oraz piękne budynki wzbudzały w nim zachwyt. Powietrze było przezroczyście

i ciepłe. Ktoś nawet powiedział, że deszcz się zbliża, on jednak nie dostrzegł zupełnie zachmurzenia i szedł przed siebie z prawdziwą przyjemnością.

Dookoła widział nfnóstwo elegancko ubranych ludzi, a do uszu jego co chwilę dobiegały dźwięki orkiestry z jakiejś restauracji portowej. Widział przez szyby połyskliwe instrumenty i ludzi siedzących przy stolikach. Zdawali się mieć bardzo dużo wolnego czasu, a na ich twarzach gościł przeważnie wyraz zadowolenia. Nikt nie zwracał na niego uwagi i począł zastanawiać się nawet nad tym, czy kiedykolwiek będzie stanowił jakąś oddzielną jednostkę wśród tego nowego społeczeństwa. Nie znaczy to, aby pragnął czyjegoś powitania, lecz być traktowanym jak kropla w morzu, było dlań całkiem nowym doświadczeniem. Opuścił port i skierował swe kroki w stronę miasta.

Umieścił swój bagaż w schowku w pobliżu doków, postanawiając pozostawić go tam na pewien czas, dopóki nie odnajdzie domu, w którym mieszkał ów człowiek nazwiskiem Newman. Przystanął przed małą jadłodajnią po drodze i tutaj po raz pierwszy doszedł do wniosku, że należałoby coś zjeść. Lokal przepelniony był farmerami i handlarzami bydła, którzy napłynęli z okolic, Beresford zaś mógł swobodnie przysłuchiwać się ich rozmowom, siedząc w samotności przy swym oddalonym stoliku.

Znowu odczuwał, że jest najzupełniej ignorowany, chociaż siedział przecież w lokalu, w którym było mnóstwo ludzi. Zjadł pośpiesznie to, co mu podano i wyszedł, czując się tu intruzem.

Kilka ołowianych chmur pojawiło się na niebie nad portem-Jackson, zaś tafla morska przybrała barwę szarawą. Ciepły wiatr powiał od strony Pacyfiku. Wyraźnie czuło się w powietrzu nadchodzącą burzę. Przyszło mu na myśl, że lepiej będzie, gdy jak najspieszniej dostanie się pod ochronę jakiegoś dachu.

Właściwie nie wiadomo dlaczego nie pozostał w jadłodajni, lecz ponieważ znajdował się coraz bliżej wytkniętego celu, niecierpliwiło go pozostawanie na jednym miejscu. Myśl o ojcu wydała mu się w tej chwili całkiem nierealna i prawie groteskowa. Cała ta historia wyglądała jak sen. Nie znaczyło to, że zmienił swoje postanowienie, lecz jakoś imaginacja poczęła go zawodzić. Nie mógł uwierzyć w to, aby droga, którą sobie wytknął, prowadziła do jakiegoś celu. Co do ojca, to istnienia

jego wydało mu się teraz tylko złudą. Począł iść w stronę doków, usiłując orientować się w tym obcym środowisku i wierzyć niezłomnie w przeznaczenie, które go tutaj przywiodło.

Wreszcie przystanął i zwrócił się do wysokiego mężczyzny w brudnym ubraniu, bo miał wrażenie, że go już kilkakrotnie widział podczas swojej wędrówki po porcie.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się dzielnica zwana Lambton End? — zagadnął.

Olbrzymi mężczyzna wsparty był w owej chwili o balustradę. Trzymał w zębach wielką fajkę, którą po chwili wyjął z ust. Wyprostował się nagle.

— Lambton End? — powtórzył w zamyśleniu. Beresford skinął głową.

— Słyszał pan kiedyś o takiej dzielnicy? — zapytał.

Olbrzym wyprostował się z godnością. Miał niezwykle szerokie bary i muskularną szyję, która świadczyć mogła o jego sile fizycznej.

— Owszem, tak — rzekł wolno. — Oczywiście, że słyszałem. Beresford doszedł do wniosku, że jakiegokolwiek zniecierpliwienie

z jego strony mogło tylko przedłużyć wywiad.

— Chciałbym się tam udać — wyjaśnił. — Mógłby mi pan wskazać drogę?

Potężny mężczyzna spoglądał nań przenikliwym wzrokiem. Oczy jego posiadały wyraz prawie apatyczny, lecz było w nich coś dobrotliwego co uspokoiło nieco Beresforda. Po tak długiej samotności nawet zbliżenie się do tego nieznanego olbrzyma posiadało dlań pewien urok.

— Pan jest tutaj obcy — zauważył nieznanomy. Beresford znowu skinął głową, usiłując zachować spokój.

— Przybyłem dzisiaj rano — odparł — na pokładzie statku Amazona.

— Tak przypuszczałem — rzekł olbrzym i zdawało się, że znowu zamilknie, lecz pociągnąwszy dym z fajki, zmienił widocznie zamiar. — Chce pan pójść na Lambton End? Kogo pan tam szuka?

Beresford zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy może zaufać temu człowiekowi. Nie mając jednak innego wyjścia, odpowiedział:

— Szukam człowieka nazwiskiem Newman. Nie wiem, co on robi, wiem tylko, że mieszka w jednym z domów na Lambton End.

Mężczyzna zmienił wolno swą pozycję i potarł dłonią podbródek.

— Dobrze, mogę tam pana zaprowadzić — rzekł. — Lepiej zaprowadzić pana, niż wskazać mu drogę.

Beresford spojrzawszy z pewnym podejrzeniem. Było coś w zachowaniu się tego nieznanego, co nakazywało ostrożność.

— Och, nie chciałbym pana trudzić — zawołał. — Proszę mi tylko wskazać kierunek, a ja potem znowu kogoś zapytam o drogę.

Lecz ku jego wielkiemu zdziwieniu, olbrzym był już przygotowany do drogi.

— Pójdę — zdecydował — pójdę. I tak idę w tę stronę. Może pan przecież pójść ze mną.

Chociaż zdawali się iść niezbyt szybko, to jednak uszli już spory kawał drogi, mijając dziwaczne ulice i zaułki, po których Beresford rozglądał się z ciekawością. Zauważył, że port i ładniejsza część miasta pozostały już daleko za nimi i że wchodzili teraz do uboższej dzielnicy.

Mijały ich całe tłumy ludzi, śpieszących w jedną lub drugą stronę i Beresfordowi wydało się prawie niemożliwe, aby mógł odnaleźć ojca wśród tego morza głów. Po raz pierwszy odezwał się w nim zdrowy rozsądek. A co będzie, jeżeli jego ojciec jest takim samym zdegenerowanym typem, jak ów robotnik, kroczący przy jego boku? Czy zdoła przeobrazić go w człowieka, w którego towarzystwie będzie mógł przebywać?

W każdym razie postanowił odnaleźć obiekt swych poszukiwań, aczkolwiek dotychczas nie zdawał sobie sprawy, że wychowanie i otoczenie może powodować takie zmiany w człowieku. Myśl ta wnikała mu zimnym ostrzem do serca i chociaż starał się ją odegnąć, nie ustępowała ani na chwilę. Utrzymywała go w równowadze tylko pamięć matki i jej ostatnia prośba.

W pewnej chwili z jakiegoś lokalu wyszli dwaj ludzie i zastąpili Beresfordowi drogę.

Odsunął się na bok, lecz gdy wybuchnęli głośnie śmiechem zorientował się, że uczynili to całkiem nieprzypadkowo. Zapałał gniewem.

— Puśćcie mnie, łotry! — zawołał.

Twarze ich spochmurniały i zaczęli się, jak zwierzęta gotowe do skoku. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza.

W tej samej chwili olbrzym, towarzyszący Beresfordowi, chwycił go za ramiona.

— Zaprzestań pan wszelkich wyzwisk!—zawołał.—Takich panów należy omijać.

Beresford uczył nagle, że olbrzym pośpiesznie przenosi go na przeciwległą stronę ulicy. Chciał się wyrwać z jego objęć, lecz uścisk nieznanego był zbyt silny. Słyszał tylko za sobą głośny śmiech napastników, po czym olbrzym wepchnął go przez otwarte drzwi do ciemnego korytarza.

— Przecież ja nie panu wymyślałem — zaprotestował Beresford. — Nie widział pan, jak oni mnie potraktowali? — Po co mnie pan tutaj sprowadzał?

Olbrzym zatrzaskał drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. Stali w zupełnych ciemnościach, lecz Beresford dostrzegł, że nieznanomy począł napychać fajkę tytoniem z najzupełniejszym spokojem.

Po chwili odezwał się dziwnie zmęczonym głosem:

— Przecież tutaj chciał pan przyjść.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Beresford. Był coraz bardziej zaniepokojony. Ta cała przygoda zbudziła w nim nowe podejrzenia. Ogarniała go coraz większa wściekłość, lecz obecność olbrzyma nie pozwalała na żadne wybryki.

— Nie należy tracić czasu na załatwianie się z pierwszym lepszym napastnikiem — rzekł po chwili nieznanomy. — Zaczepili pana, bo dostrzegli, że jest pan nowym przybyszem. Nie trzeba postępować głupio!

Nie był to dla Beresforda komplement, mimo to jednak uspokoił się nieco. Zorientował się teraz, że zamierzał popęlnić istotnie wielkie głupstwo.

— Widział pan przecież, jak się zachowali? Pan jednak nie stracił przytomności umysłu — pochwalił.

— Znam dobrze takie sprawy — odparł olbrzym, wsuwając fajkę w zęby i szukając zapalek w kieszeniach swych brudnych spodni.

— Proszę, oto zapaliki — Beresford wyjął z kieszeni złote pudełeczko, które kiedyś dostał w podarunku od matki i potarłszy zapalikę, podał ogień swemu nowemu przyjacielowi, który przyjął go z wdzięcznością.

Po chwili spokojnie zaciągnął się dymem, oparty jeszcze ciągle o drzwi, jak gdyby zapomniał zupełnie o tym, że je podpira własnym ciałem. Beresford spoglądał nań i oddychał teraz z trudnością. W wąskim korytarzyku roznosiła się woń jakiegoś smażonego tłuszczu. Po jednej stronie była gładka ściana, a po drugiej drzwi, również zamknięte.

— Myślę, że lepiej będzie się stąd wydostać — rzekł wreszcie, widząc, że jego towarzysz nie rusza się z miejsca.
— Dokąd chce pan pójść? — zapytał olbrzym, wypuszczając kłęb dymu, który zaciemnił jeszcze bardziej mroczny korytarz.

Beresford znowu ukrył swe zniecierpliwienie z trudnością. Australia zaczęła go stanowczo denerwować.

— Szukam przecież dzielnicy Lambton End — odparł.

— To jest Lambton End — rzekł nieznajomy.

— Ach! — zawołał Beresford ze zdziwieniem. — Ach! — powtórzył, czując się jakoś nieswojo. - Więc to jest Lambton End! Śliczna dzielnica!

Tamten nie odpowiedział. Zdawać się mogło, że całą swą uwagę skierował na fajkę.

Beresford z pewnym zmieszaniem rozejrzał się dokoła.

— A co z tym Newmanem? — zapytał. — Czy pomoże mi go pan odnaleźć?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której nieznajomy pykał wciąż swą fajkę. Beresforda ogarnął nowy niepokój. Nie wolno mu było tracie cierpliwości teraz, kiedy był już prawie u celu swych poszukiwań.

I nagle wśród mroku usłyszał przyciszony głos nieznajomego:

— Ja się nazywam Newman.

Beresforda ogarnęło zupełne niedowierzanie i nagle począł podejrzewać, że został schwytany w pułapkę. Podczas gdy olbrzym nie odstępował od drzwi i palił wciąż spokojnie swą fajkę, Beresford wybuchnął nagle głośnym śmiechem.

— Muszę przyznać, że straszny ze mnie osioł! Dlaczego mi pan przedtem tego nie powiedział? Czy to ma być żart?

— Wcale nie — odparł Newman. — Zaznaczył pan, że potrzebna jest panu dzielnica Lambton End oraz ja. Ma pan teraz jedno i drugie.

— O rozumiem. — Beresford spoglądał nań ze wzrastającym zainteresowaniem. - Więc pan jest Newman! Po co pan urządzał to przedstawienie?

— Naprawdę nazywam się Newman i żadnego przedstawienia nie urządziłem. — Olbrzym mówił z przejęciem, jakby chcąc protestować. — W tym kraju żadne przedstawienie się nie opłaca.

W tej chwili przyszło na myśl Beresfordowi, że należało wreszcie przedstawić całą sprawę. Nie miał zresztą w danej chwili innego wyjścia.

— Nie chcę zabierać panu drogiego czasu — rzekł. — Dziwnie się złożyło, że prosiłem pana o wskazanie drogi, kiedy pan jest właśnie tą osobą, której szukam. Pan tu mieszka, prawda?

Newman wyjął na chwilę fajkę z zębów.

— Zgadł pan — odparł.

Znowu niepokój zrodził się w duszy Beresforda. Czy naprawdę będzie mógł kiedyś odnaleźć swego ojca? I jaki to był człowiek skoro przebywał w takim otoczeniu? Przez kilka chwil nie mógł się zdobyć na zadanie ostatecznego pytania swemu towarzyszowi, który nie okazywał najmniejszego zainteresowania, oparty ciągle o drzwi i pykający swą fajkę.

Wreszcie ostatnim wysiłkiem Beresford postanowił spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy.

— Niech pan słucha! — odezwał się. — Pragnę odnaleźć człowieka nazwiskiem Cheverell, który niedawno tutaj przybył. Czy może mnie pan naprowadzić na jego ślad?

Mówił pośpiesznie, niemal z rozpaczą. Począł drżeć z podniecenia i wstępu. Nigdy jeszcze nie znajdował się w takiej sytuacji. Zdawać się mogło, że całe jego dalsze życie zależy od odpowiedzi tego nieznajomego.

Odpowiedź ta długo nie nadchodziła. Widocznie umysł Newmana pracował dość wolno, a może to fajka była w danej chwili jedynym przedmiotem jego rozmyślań. Spoglądał na nią z uwagą, jakby dokoła nich nic więcej nie istniało.

Beresford zacisnął dłonie. Wyraźnie słyszał bicie własnego serca, które posiadało teraz przyspieszone tętno.

Znajdował się wszakże u celu swojej podróży. Co go jeszcze oczekiwało?

— Czy może mi pan powiedzieć? — zapytał po chwili. — Czy on wyjechał? Nie wie pan?

Spojrzenie Newmana przeniosło się wolno z fajki na twarz pytającego i spoczęło na niej przez chwilę. Wyraz jego własnej twarzy uległ chwilowej zmianie, a może to był tylko wytwór bujnej wyobraźni Beresforda. Pyknął jeszcze raz fajkę, zanim odpowiedział.

— Cheverell? — powtórzył wolno, wypowiadając to nazwisko jak ktoś, kto szuka podobnego brzmienia w swej pamięci. — Cheverell? Przecież Cheverell umarł już bardzo dawno.

Beresford powstrzymał głośny okrzyk, okrzyk przerażenia i jednocześnie mimowolnej ulgi.

— Umarł? — rzekł bezdźwięcznie. — Czy pan jest pewny? Newman jeszcze wciąż nań spoglądał, a w oczach jego ukazał się

błysk zainteresowania. Fajka sterczała mu wciąż jeszcze w zębach, lecz zdawał się zwracać na nią mniejszą uwagę.

— Tak, pewny jestem — odparł po namyśle. — Było to podczas ostatniego sezonu strzyżenia owiec. Wyjechał do Wallaroo za robotą.

— Ale na co umarł? — zapytał Beresford. — Na miłość boską — rozejrzał się dokoła w rozpacz — czy nie mógłby mnie pan zabrać do jakiegoś mieszkania i powiedzieć wszystko, co pan wie?

Newman poruszył się wreszcie ociężale.

— Bardzo chętnie to zrobię — odparł. — To nie jest długa historia. Niektórzy ludzie umierają bardzo łatwo. — Zwrócił się w stronę zamkniętych drzwi po prawej stronie. — Niech pan tu wejdzie!

Beresford wszedł za nim do drugiego korytarzyka, ciemniejszego jeszcze, niż poprzedni i po chwili znalazł się na nieoświetlonych schodach. Z dołu dochodził krzykliwy głos kobiety, strofujący jakieś nieznośne dziecko. Woń spalonego tłuszczu przenikała powietrze.

Na samym wierzchołku schodów, na niewielkiej platformie opatrzonej małym okienkiem, Newman podszedł do zamkniętych drzwi, które otworzył wyjętym z kieszeni kluczem.

Beresford znalazł się w najbrudniejszym pokoju, jaki kiedykolwiek widział w swoim życiu.

Znajdowało się tu żelazne łóżko, pokryte brązową kołdrą, drewniane krzesło, na którym stała świeca, jakaś połamana komoda pod ścianą z potłuczonym lustrem i żelazna miska, która kiedyś była emaliowana, a teraz stała samotnie w kącie na podłodze. Podłoga była również nie pierwszej czystości, zwykła, drewniana, bardzo zniszczona. Okienko, w którym wszystkie szyby były wybite, stało otworem, podparte kawałkiem zwykłego drzewa.

To ostatnie spostrzeżenie sprawiło Beresfordowi dziwną ulgę. Nade wszystko łaknął teraz świeżego powietrza.

— Niech pan siada! — rzekł Newman. — Nie na krześle, tylko na łóżku! — A potem gościnnie: — Może pan zapalić, jeśli pan chce.

Prawie mechanicznie Beresford spełnił te obydwie polecenia. Woń smażonego tłuszczu przyprawiała go niemal o mdłości. Cały pokój był tym zapachem przesiąknięty. Zapalił swego papierosa z gorączkową energią, jakby chciał przezwyciężyć ten męczący zapach. I gdy zaciągnął się dymem papierosa, począł nagle orientować się w swej nowej sytuacji w obliczu śmierci ojca, którego szukał. Zadowolony był, czy zmartwiony? I co miał teraz począć? Spojrzał wreszcie na Newmana, który stał znów oparty o drzwi pokoju, zajęty paleniem fajki. Zdecydował się wreszcie przerwać ciszę.

— Proszę, niech pan mówi, dobrze? Niech mi pan wszystko opowie! Newman wyciągnął przed siebie nogi.

— Niewiele mam do powiedzenia — zauważył. — Chłop przyjechał tu przed rokiem, szukając roboty właśnie wtedy, gdy jej wcale nie było. Umierał po prostu z głodu, jak zresztą my wszyscy, zarabiając coś niecoś w dokach, aby tylko jako tako utrzymać się przy życiu. Potem usłyszał o jakiejś dziwnej propozycji w Wallaroo i pojechał tam, dostał żółtej febry i umarł.

— Wallaroo? Gdzie to jest? — zapytał Beresford. Newman podniósł głowę.

— W głębi kraju. Jest tam kopalnia złota, w której pracuje mnóstwo ludzi. Ale nie lubią tam przybyszów. Lepiej byłoby, żeby taki został tutaj w dokach.

Beresford zadrżał mimo woli.

— Nie pozwolili mu tam chyba umrzeć z głodu? — zagadnął niespokojnie.

Newman nie mógł wypowiedzieć na ten temat swego zdania, lecz milczenie jego nie było zbyt uspokajające.

Począł znowu obojętnie pykać swą fajkę.

Beresford obserwował go, siedząc w niedbalej pozycji na łóżku.

— Ale pan nie był przy nim, jak umierał? — zapytał nagle.

— Nie — odparł Newman, oglądając swą fajkę z dziwnym niezadowoleniem.

— A czy zna pan kogoś, kto był przy tym? — indagował dalej Beresford. — Od kogo pan słyszał o jego śmierci?

— Mówił mi o tym jeden gość — odparł Newman po chwili namysłu. Beresford poruszył się niespokojnie.

— Och, więc istnieje ktoś, kto może mi udzielić informacji!

— Ale nie tutaj — mruknął Newman.

— Doskonale. Wobec tego pojedę do Wallaroo i znajdę tam kogoś, kto będzie mi mógł coś bliższego powiedzieć. Newman przestał oglądać swą fajkę i przemknął wzrokiem po twarzy Beresforda. Po raz pierwszy utracił swą dotychczasową obojętność i zaczął mówić, jakby z odrobiną zapału:

— Ja bym tego nie czynił, gdybym był na pańskim miejscu, sir. Beresford zdziwił się nieco, słysząc tę uwagę.

— Dlaczego nie? Przecież to jest wolny kraj, nieprawdaż?

— Owszem — odparł Newman. — Czasami za wolny pod niektórymi względami. Są tacy ludzie w Wallaroo, którzy nie lubią obcych przybyszów.

Beresford uczynił ruch zniecierpliwienia.

— Ach, nie lękam się takich. Nie boję się tych wszystkich australijskich napastników. Zresztą, co oni mogą mieć do mnie? Pragnę się tylko dowiedzieć, jak umierał mój ojciec.

— O! Więc to był pański ojciec?—Pewne zaciekawienie zabrzmiało w głosie Newmana.

— Tak, to był mój ojciec! — odparł Beresford z zapałem. — Rupert Cheverell był moim ojcem. Przyjechałem tu, aby go odnaleźć i pragnę dowiedzieć się czegoś bliższego o nim.

Newman wyprostował się na całą wysokość swego wzrostu.

— Według mnie jest to niepotrzebna strata czasu — zauważył z obojętnością — lecz pozostawiam to pańskiemu uznaniu. Gdybym był na pańskim miejscu, nic by mnie nie powstrzymało od powrotu do domu.

— Jakież to miałyby sens? — zagadnął Beresford zniecierpliwiony.

— A jaki sens ma wędrówka po tym dzikim kraju? — odparł Newman z odrobiną ironii. — Przecież to nie przywróci pańskiemu ojcu życia, prawda?

Beresford uczynił znów ruch pełen irytacji.

— Uważam, że największą stratą czasu jest tego rodzaju argumentowanie — oświadczył. — Pojadę i koniec.

— Pojedzie pan, istotnie? — zdziwił się Newman. — A co pan tam będzie robił? Wallaroo, to istne piekło. Po co pan tam jedzie?

— Tego nie potrafię powiedzieć — odrzekł Beresford spokojnie. — Zobaczą, jak będę na miejscu. Newman okazał swe niezadowolenie.

— Pogorszy pan jeszcze sytuację — oznajmił. — Z chwilą, gdy pan tam pojedzie, na pewno nie wróci pan już stamtąd i będzie dwóch Cheverellów, których pochłonęła Australia. Komu to zresztą przyniesie jakąś korzyść? Niech mi pan powie!

— Pan Bóg raczy wiedzieć! — szepnął Beresford. Czuł się dziwnie w tej sytuacji. W zachowaniu Newmana było coś w rodzaju serdeczności i przyjaźni, której nie należało ignorować. Ten człowiek musiał jednak posiadać dobre serce, skoro w taki sposób odnosił się do obcego przybysza. — Jak pan sądzi? — zapytał po chwili.

— Może jednak znajdzie tam coś do roboty?

— Wątpię! — brzmiała obojętna odpowiedź. — W tym piekle człowiek trudno do czegoś dochodzi. Muszę pana ostrzec. Jest pan za młody, aby nurzać się w takim błocie. Moje rady zresztą na nic się panu nie przydadzą, nieprawdaż?

— Ale jednocześnie nie wyrządzą mi żadnej krzywdy — odrzekł Beresford z półuśmiechem. — W każdym razie do Anglii nie mam zamiaru wracać. Spaliłem za sobą wszystkie mosty.

— Szkoda — mruknął Newman. — Tutejszy kraj nie jest odpowiedni dla nowicjuszy.

— O ile się orientuję, nie jest tutaj tak strasznie — zauważył Beresford. — Muszę się w Australii za czymś rozejrzeć.

— Więc pan ma zamiar osiedlić się tutaj na stałe?

Beresford zawahał się przez chwilę, lecz doszedł do wniosku, że nie ma z czego czynić tajemnicy.

— Pragnę się gdziekolwiek osiedlić i rozpocząć nowe życie — odparł. — Może właśnie takim odpowiednim miejscem dla mnie będzie Wallaroo.

— Dałby Bóg, żeby okazało się nieodpowiednie — wtrącił Newman. Beresford spojrzał nań nieco ubawiony.

— Wesoly z pana doradca — rzekł. — Dajmy temu spokój! Zawsze chętnie przyjmuję przyjacielskie rady, ale od wyjazdu do Wallaroo nie odwiedzie mnie pan, bo pojedę tam na pewno.

— Niech i tak będzie — ustąpił Newman. — Chciałbym panu tylko jedną rzecz zaproponować, a propozycję tę chyba pan przyjmie. Jeżeli już pan koniecznie musi tam jechać, to niech mnie pan weźmie ze sobą! Nie mam teraz żadnej pręcy i taka wycieczka do Wallaroo będzie dla mnie pewną rozrywką. Pan jest nowicjuszem, ja zaś znam trochę ludzi i oni mnie również znają. — Wymowny uśmiech rozjaśnił jego twarz. — Nie żądam od pana żadnej zapłaty — dorzucił — tylko poniesie pan koszty mojej podróży i pobytu.

— Więc to była ta propozycja? — zdziwił się Beresford.

Nie przypuszczał, aby ktoś obcy tak bezpretensjonalnie podał mu przyjacielską dłoń, jak uczynił to ten człowiek.

— Tak, o to mi chodziło — rzekł Newman, przybierając dawną swą pozycję i wsuwając na nowo fajkę do ust. — Może się pan namyślić nad tym! Nie ma pośpiechu.

Beresfordowi przyszło na myśl, że ten olbrzym brudny, nie ogolony i nie posiadający żadnego wychowania, ma jednak wiele dobroduszości. Nie należało takiej propozycji odrzucać. Postanowił przyjąć ją skwapliwie.

Powodowany młodzieńczym impulsem, wyciągnął do Newmana rękę.

— Dobrze — zawołał. — Przyjmuję pańską propozycję. Kiedy wyjeżdżamy?

Mocny uścisk wielkiej łapy olbrzyma był przypieczętowaniem tej nowej przyjaźni.

— Kiedy pan chce, sir. Mnie tam wszystko jedno.

Beresford przybył do Wallaroo po kilku dniach i widok tego miasteczka przejął go wstrętem. Newman jednak miał słusność. Wprawdzie przyzwyczał się już do widoku nędzy i brudu, przebywając kilka dni w dzielnicy Lambton End, to jednak tutejsi mieszkańcy, o opalonych twarzach i otwartych koszulach przy szyi, byli dlań nową sensacją. Wallaroo było miastem, które się dopiero rozwijało. Istniało ono zresztą zaledwie kilka lat i stało się miastem dopiero od chwili, kiedy odkryto kopalnię złota w Barren Hill Valley. Znać było, że miasteczko rozwijało się w nadzwyczajnym tempie. Było już tu kilka

małych hotelików i kilka domów prywatnych, które stanowiły specjalną atrakcję. Jedynymi mieszkańcami miasteczka byli robotnicy kopalniani, przeważnie brudni i nie grzeszący wysoką kulturą. Gdy Beresford spoglądał na nich, wstydził się chwilami swego przyzwoitego wyglądu i dobrze skrojonego ubrania.

Gdy tylko przyjechali do Wallaroo, począł padać rześisty deszcz i po ulicach hulał przejmujący wichur, toteż Beresford zadowolony był z towarzystwa Newmana, który zaprowadził go natychmiast do hotelu Commonwealth, mieszczącego się w niewielkim budynku, na głównej ulicy.

Radość jego jednak wkrótce przygasła, gdy usłyszał uwagę swego nowego przyjaciela:

— Pozostawię pana tutaj. Będzie tu panu wygodnie. Dla siebie znajdę kwaterę na jakimś przedmieściu.

Beresford zwrócił się doń niemal z rozpaczą.

Straszliwy wiatr dał ze wzmożoną siłą, jakby pragnął pokonać jakiegoś niewidzialnego wroga. Młodzieniec nie miał najmniejszej ochoty pozostać sam i łaknął nade wszystko jakiegokolwiek przyjacielskiej duszy.

— O nie, to niemożliwe! — zawołał. — Zamieszka pan tu ze mną! Wynajmę panu pokój w tym hotelu.

Newman spojrział nań z dziwnym uśmiechem, po czym zwrócił wymowne spojrzenie na swój zewnętrzny wygląd.

— Obawiam się, że jestem niezbyt elegancki, sir — zauważył.

— Co to ma do rzeczy? — zawołał Beresford gorączkowo. — Nie mam tu absolutnie znajomych. Chodź pan ze mną!

Newman uśmiechnął się znowu, lecz nie czynił już dalszych sprzeciwów.

Weszli do hotelu Commonwealth, gdzie Beresford wynajął dwa pokoje. Poprzednich kilka nocy spędził w tanim hoteliku, wskazanym mu przez Colwyna, więc nie oczekiwał tutaj żadnych luksusów. Pokoje były małe, połączone ze sobą drzwiami, co Beresfordowi sprawiało teraz dziwną przyjemność.

— Nie mogę się w tej chwili rozstawać z panem — zwrócił się do Newmana. — Czuję się, jak stara histeryczka w podróży. Tu jest naprawdę piekło.

— Mówilem panu — wtrącił Newman.

Po godzinie zeszli do niewielkiej sali restauracyjnej, w której stały trzy długie wąskie stoły, przykryte brązową ceratą. Kilku ludzi jadło tam i piło, a obsługiwały inkrdwie dziewczyny, które jak się Beresfordowi wydawało, musiały być córkami właściciela lokalu. Oprócz nich znajdowały się w restauracji jeszcze dwie kobiety, prawdopodobnie żony farmerów z okolicy. Spośród mężczyzn wyróżniali się trzej, siedzący przy tym samym końcu jednego ze stołów. Jeden z nich był już niemal starcem, drugi w średnim wieku, trzeci zaś mógł mieć lat dwadzieścia kilka. Wszyscy mieli na sobie ciemne garnitury i spoglądali na Beresforda z ciekawością, co było oznaką, że przybysz z Anglii stanowił pewną atrakcję w Wallaroo. Beresford pomyślał, że prawdopodobnie ci trzej mężczyźni mają coś wspólnego z kopalnią w Barren Hill i zastanawiać się począł nad tym, czy któryś z tych jegomościów nie wie coś o jego ojcu. Począł już nawet przyznawać słusność Newmanowi, bo istotnie jeżeli ojciec nie żyje, to w jakim celu w ogóle przyjechał do Wallaroo.

Głośne odsuwanie krzeseł zwróciło jego uwagę. Obejrzał się i dostrzegł, że trzej mężczyźni wstawali od stołu. Musieli przejść obok niego, aby się przedostać do wyjścia.

Najstarszy, lat około sześćdziesięciu, minął go, nie spojrzawszy nawet. Drugi, mogący mieć lat przeszło czterdzieści, przystanął na chwilę, po czym ruszył dalej. Trzeci, dwudziestokilkuletni młodzieniec, zatrzymał się i zwrócił się do Beresforda całkiem nieoczekiwanie:

— Niech pan się przeniesie do pokoju na końcu korytarza! — szepnął, pochylając się nad nim z poufałością. — Tam panu będzie wygodniej.

Beresford zdziwił się nieco. Nie był przygotowany na zawarcie nowej znajomości. Nieznajomy jednak posiadał całkiem sympatyczną twarz i to wzbudziło w Beresfordzie trochę zaufania do niego.

— Dziękuję serdecznie! — odparł. — Już zjadłem, mogę więc się przenieść.

Podniósł się przy tych słowach i przeszli razem przez salę. Gdy mijali Newmana, ten spojrzął nań z odrobiną niechęci. Beresford zatrzymał się przy nim na sekundę.

— Zobaczmy się później — rzekł.

Newman nie odpowiedział. Beresford nie czekał już na odpowiedź,

tylko ruszył dalej ze swym nowym znajomym, pozwalając olbrzymowi IDOżywać podaną mu przed chwilą potrawę.

— Nazywam się Melville — rzekł nowy znajomy, gdy wyszli z sali. — Skąd pan wytrzasnął takiego typa?

— Nazywam się Cheverell — odparł Beresford — jestem obcy w tym kraju. Ten gość jest moim przewodnikiem. Melville zaśmiał się serdecznie.

— Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Ten człowiek był tu kiedyś. To straszny pijak. Przypuszczam, że pan o tym wie?

— Ale w gruncie rzeczy poczciwa dusza — rzekł Beresford, poczuwając się do obowiązku bronięcia nieobecnego. Melville zaśmiał się znowu. Widocznie czynił to zawsze wówczas, kiedy nie miał nic więcej do powiedzenia.

— Miejmy nadzieję! — rzekł obojętnie. — Pan podróżuje dla przyjemności, czy w jakimś określonym celu? W głosie jego nie było zbytnej ciekawości, toteż Beresford postanowił nie otaczać się tajemnicą.

— Raczej w pewnym celu — rzekł. — Przyjechałem tu, aby odszukać mego ojca, lecz dowiedziałem się, że umarł przed sześciu miesiącami.

— Pańskiego ojca? — Melville zlustrował go od stóp do głowy. — Nazywał się Cheverell? Czy pracował tutaj? Beresford starał się być prawdomównym.

— Nie, mam wrażenie, że umarł, zajęty wciąż poszukiwaniem pracy.

— Biedny człowiek! — zauważył Melville. — A pan mając trochę pieniędzy, pragnął go zabrać ze sobą?

— Coś w tym rodzaju — przyznał Beresford. — Plany krzyżują się, skoro on nie żyje.

— Nie słyszałem nigdy tego nazwiska — mruknął Melville. — Muszę zapytać mojego starszego współnika. On tutaj jest trochę dłużej ode mnie. Ale sądzę, że ma pan jednak trochę pieniędzy?

— O, tego się nie nazywa pieniędzmi — uśmiechnął się Beresford. — Mam tam coś niecoś. Chciałem go odnaleźć i to wszystko.

— Rozumiem, rozumiem! — uśmiechnął się Melville z sympatią. — Straszne nieszczęście! Nigdy człowiek nie powinien układać żadnych planów.

Przy tych słowach weszli do małego pokoiku na końcu korytarza.

- Mój przyjaciel, pan Colwyn! — przedstawił Melville najstarszego jegomościa. — A to mój przyjaciel, pan Fratton! Beresford uściśnął ręce obu panom ze wzrastającym zainteresowaniem.

— Jechałem z Anglii z pewnym jegomościem, który się tak samo nazywał — zauważył.

Siwy jegomość uśmiechnął się.

— To musiał być mój bratanek. Został w Sydney dla załatwienia pewnej transakcji, lecz przyjedzie tutaj w przyszłym tygodniu.

— Młody Stefan to energiczna sztuka — rzekł Fratton, podając dłoń Beresfordowi. — Na pewno pan to zauważył. Należy on do ludzi, którzy potrafią przejść przez życie.

— Tak, miałem wrażenie, że jest ogromnie pracowity — odparł Beresford.

— Niech pan siada! — zapraszał starszy Colwyn. — Proszę się czuć, jak u siebie w domu! Czy przyjechał pan do Australii dla zmiany powietrza?

— Podróżuje pan dla przyjemności? — dorzucił Fratton, podając Beresfordowi papierosa.

Beresford usiadł w fotelu, zarezerwowanym dla niego. Aczkolwiek znał bardzo krótko swoich trzech znajomych, to jednak nabrał do nich dziwnego zaufania.

— Nie, właściwie nie podróżuję dla przyjemności — odparł. — Jak już powiedziałem — wskazał ruchem Melville'a — przyjechałem tu w poszukiwaniu mego ojca. Dowiedziałem się jednak, że umarł i teraz szukam kogoś, kto by mi mógł o nim coś bliższego powiedzieć.

— Jak się nazywał pański ojciec? — zapytał olbrzym.

— Rupert Cheverell. — Beresford zwrócił się doń z błyskiem nadziei w oczach. — Czy pan kiedyś o nim słyszał? Starszy jegomość miał twarz niezwykle dobrotliwą.

— O! — rzekł wolno. — Rupert Cheverell, co? Beresford zaczerwienił się nagle, lecz nie spuścił wzroku.

— Tak. Jestem jego synem — odparł. — Przyjechał tu mniej więcej

przed rokiem. Dowiedziałem się o tym dopiero po śmierci mojej matki, więc postanowiłem tu przyjechać, aby go zabrać z sobą.

— Rozumiem — odparł Colwyn obojętnie, lecz ze wzrokiem utkwionym ciągle w twarzy Beresforda. — Musiał pan odziedziczyć jakieś pieniądze, prawda?

— Owszem, trochę. W każdym razie nie wystarczą mi do życia na długo. Ale to nie jest w tej chwili najważniejszym dla mnie punktem. Chciałbym wprawdzie znaleźć jakieś zajęcie, lecz przedtem muszę poszukać kogoś, kto mi powie coś o moim ojcu.

— Jedno i drugie jest łatwiejsze w teorii, niż w praktyce — zauważył Colwyn z uśmiechem. — Czy nie przyszło panu na myśl, że taki człowiek, jak pański ojciec, który prawdopodobnie posiadał nieco zabrudzoną opinię, musiał zmienić nazwisko, gdy przyjechał do Australii?

— O, na pewno tego nie uczynił — odparł Beresford pośpiesznie. — Jest tutaj ze mną pewien jegomość, który go znał. Twierdzi, że ojciec przyjechał do Wallaroo i umarł.

— Co! Tamten pijak? — zapytał Melville. — Niech pan nie sądzi, że on coś wie. Po prostu pana nabiera.

— Ach! — zawołał Beresford nieco zdziwiony, gdyż podejrzenie takie zaparło mu oddech w piersiach. — Tego nie przypuszczam!

Fratton zaśmiał się, nic nie mówiąc. Colwyn uśmiechnął się ponuro.

— Ja bym mu nie wierzył, gdybym był na pańskim miejscu — rzekł. — Świat jest podły. Nie wolno wierzyć ludziom. Po prostu pijakowi jest dobrze przy panu.

— Ależ to niemożliwe! — zaprotestował Beresford. — Ten człowiek okazał mi dużo serca.

Wszyscy trzej zaśmiali się z ironią, lecz śmiech ten nie zachwiał jeszcze wiary Beresforda.

Widocznie Colwyn uznał, że dalsza rozmowa o zmarłym ojcu jest niepotrzebną stratą czasu, bo zmienił natychmiast temat.

— Tak, tak — rzekł — nie mam zamiaru panu doradzać, lecz twierdzę, że nie należy mu zbyt wiele wierzyć. Wie pan, że czas to pieniądz, a pieniądz jest wszystkim. Wszystko na świecie można zdobyć za pieniądze.

— To prawda! — przyznał Fratton. — Niech pan również nie ufa tym złodziejom z kopalni, bo ograbią pana do suchej nitki.

— Co pan przypuszcza? — wtrącił Melville. — Ten kraj jest przepelniony złodziejami. Za dużo ludzi, a za mało złota. Ja tam jestem taki sam, jak Stefan. Lubię pracę na ziemi, a nie pod ziemią.

— Ależ ja nie mam zamiaru robić żadnych interesów — zawołał Beresford. — Za mało mam na to pieniędzy. Chciałbym znaleźć jakąś pracę, abym mógł zarabiać na życie.

— Więc pan jednak szuka pracy? — zagadnął Colwyn, pochylając się i napełniając szklanke, stojącą przed Beresfordem.

— Oczywiście! — odparł zapytany. — Praca jest mi koniecznie potrzebna, przypuszczam jednak, że coś znajdę. Przecież nie wszyscy ludzie w tym kraju są złodziejami.

— Może pan będzie miał wyjątkowe szczęście — zauważył Colwyn sucho.

— Mogę być nawet zwykłym robotnikiem — wtrącił nieśmiało Beresford.

— Pan powinien być kierownikiem jakiegoś biura! — oznajmił Melville z uśmiechem. — Gotowi panu zabrać cały kapitał i puścić go z dymem.

— Nie ma mowy! — zaprotestował Beresford. — Nie jestem przecież małym dzieckiem.

— A ten pijak? — uśmiechnął się cynicznie Fratton. Melville wybuchnął głośnym śmiechem:

— Och, przestań już! Nie zawstydzaj go! Na pewno da sobie radę. Teraz niech pan słucha, panie Cheverell! Bardzo możliwe — spojrzał wymownie na Colwyna — że będziemy mogli dać panu jakąś pracę.

— Ależ ja od panów tego nie wymagam — odparł Beresford.

— Bardzo pięknie! — odezwał się Colwyn z dobroduszością. — Nienawidzę wszelkiej filantropii. Właściwie w Australii każdy powinien znaleźć zarobek.

— Powinien — przyznał Fratton, wychylając całą szklanke whisky. — Ale, niestety, jest tu za dużo złodziejstwa. Znowu wszyscy trzej wybuchnęli głośnym śmiechem, po czym pierwszy zaczął mówić Melville.

— Nie daj się pan! — zawołał. — Znam tego pańskiego przewodnika. Będzie się starał pozyskać pańskie zaufanie, a potem wyssie z pana krew. Znam takie typy. Wszędzie się tutaj takich spotyka.

Beresford poprawił się na krześle. Czuł się dziwnie nieswojo.

— Cóż mogę na to poradzić! — wyszeptał. — Lubię tego olbrzyma. Melville uczynił ruch bezradności.

— Och, przekona się pan kiedyś! Ale gdy już pana zupełnie ograbi, to niech pan pamięta, że pana ostrzegam! Skoro tak dużo wie o pańskim ojcu, to może był również na jego pogrzebie! Nigdy człowiek nie wie, co taki pijak może wymyśleć.

Beresford obruszył się niespokojnie. Takie podejrzenie nigdy by mu nie przyszło na myśl.

— O, dajcie już panowie spokój! — zawołał. — Ten człowiek nie wyrządza mi żadnej krzywdy! Wolałbym nie mówić na ten temat.

— Tutaj znać pańską wielkoduszność — odparł Fratton. — Trzymaj pan przy sobie swojego ulubieńca.

Beresford uczynił ruch zniecierpliwienia. Fratton był jedynym z wszystkich trzech nowych znajomych, do którego nie czuł zbyt sympatii. Zwrócił się teraz do Colwyna.

— Interesuje mnie wszystko, co mógłby mi przynieść jakiś zarobek — rzekł. — Jeżeli pan mi może przedstawić jakąś propozycję, jestem gotów jej wysłuchać.

— Bardzo rozsądne postanowienie — odparł Colwyn. — Przypuszczam, że będzie to pańska pierwsza praca, więc nie można liczyć na wielkie doświadczenie z pańskiej strony?

— Właściwie ma pan słuszność — przyznał Beresford. — Pracowałem trochę w Anglii przy prowadzeniu majątku mego wuja, lecz to było wszystko, co robiłem po opuszczeniu Cambridge. Przypuszczam jednak, że nauczyłem się pracować i w innym kierunku.

— Można by było spróbować — odparł Colwyn. — Z chwilą, gdy pan ulokuje swe pieniądze w interesie, będzie pan w nim pracował z jeszcze większym zapałem. Jest pan chyba pełnoletni, wciąż może pan rozporządzać swoim kapitałem?

— O, naturalnie! — zawołał Beresford. — Ale — zarumienił się nieco — mój kapitał nie jest taki wielki, ogranicza się zaledwie do kilkuset funtów.

— Lepsze to, niż nic — pocieszył go Fratton.

— Oczywiście, że lepsze — wtrącił Melville — Myśmy zaczęli gołymi rękami. Ten kraj jest krajem rozmaitych możliwości. Musi pan tylko mieć wiarę w siebie i w swoją pracę, a reszta sama przyjdzie.

Colwyn spoglądał na Beresforda krytycznym wzrokiem.

— A co z pańskim wujem? — zagadnął. — Oczekuje pan czegoś od niego?

— Nic absolutnie. Odpowiedź Beresforda posiadała mocne przeświadczenie, a jednocześnie wypowiedziana była z pewną dumą. — Dlatego też pragnę znaleźć jakąś pracę tutaj — dodał. — Mogę liczyć tylko na siebie samego. Zaległa chwilowa cisza. Pierwszy przerwał ją Fratton.

— Tacy młodzi ludzie, jak pan, zawsze palą za sobą mosty. Macie wrażenie, że Australia jest portem szczęścia. Mogę panu powiedzieć, że w rzeczywistości jest inaczej.

— O, już sam się o tym przekonałem, dziękuję — odparł z pewną dumą Beresford. — Ale na szczęście nie jestem leniwy, pragnę pracować. — Zwrócił się do Colwyna. — Więc posiadam tysiąc dwieście funtów i jestem gotów ulokować te pieniądze w jakimś interesie, który by mi przyniósł pewne zyski. Nie jest to wprawdzie wielka suma, lecz ja na wielkie zarobki nie liczę, dopóki nie nauczę się pracować. Czy to jakaś spółka motorowa?

— Kto panu powiedział? — zapytał Colwyn.

— Pański bratanek — odparł Beresford, śmiejąc się z zażenowaniem. — Pragnąłem nade wszystko odnaleźć najprzód mego ojca, ale teraz... — umilkł.

— Tak, teraz — powtórzył Colwyn, — jest pan gotowy wejść do naszej spółki, prawda?

Beresford nie był pewny, czy pytanie to nie zawierało odrobiny ironii.

— Zależy to od tego, czy mnie panowie zechcą przyjąć — zauważył — jak również od tego, jaki to jest interes. Może nie będę się nadawał do tej pracy.

— Niech pan się napije — rzekł Colwyn, wskazując Beresfordowi napełnioną szklanę. — Spółka nasza posiada już pewne kapitały i mogłaby zacząć pracować natychmiast. Pański kapitał, niewielki wprawdzie, może nam przynieść pewną pomoc. Jeżeli pan nie przyjmie naszej propozycji, jutro już będziemy mieli innego współnika. Nie można więc odkładać tego do chwili, kiedy pan ukończy poszukiwania swego ojca.

Słowa te wypowiedziane były trochę ostro, lecz Melville przyjaźnie położył dłoń na ramieniu Beresforda, jakby chcąc go nieco uspokoić.

— Na pewno zechce pan dowiedzieć się o nas — rzekł. — Może pan zapytać każdego w Wallaroo o firmę Colwyn i Ska. Każdy dzieciak panu o nas powie. Nie należy omijać okazji.

— Nie pożałuje pan, gdy pan wstąpi do naszej spółki — dorzucił Fratton.

— Nie namawiajcie go! — odezwał się Colwyn. Przesłał uśmiech w stronę Beresforda. — Byłbym bardzo rad, gdyby pan był moim wspólnikiem, proszę jednak nie sądzić, że namawiamy pana na to!

— Ależ ja o to panów wcale nie podejrzewam — odparł Beresford. — Dziękuję panom serdecznie za zaufanie! Kiedy będziemy mogli omówić bliżej te sprawy?

Colwyn spojrział na zegarek.

— Teraz nie mam już czasu, bo muszę się zobaczyć z pewnym jegomościem. Wobec tego do jutra nie dam mu konkretnej odpowiedzi. Może zechciałby pan pomówić o tych sprawach z moimi wspólnikami. Jeżeli przyjmie pan naszą propozycję, to załatwimy tę rzecz jutro.

Po tych słowach wstał. Beresford podniósł się również.

— Ogromnie miło z pańskiej strony — wyszeptał serdecznie. — Z pewnością przystanę na warunki, jeżeli panowie zechcą ze mną pracować. W tej chwili moje pieniądze znajdują się w Union Bank w Sydney. Mogę w każdej chwili je podjąć.

— Doskonale! — rzekł Melville. — Przypuszczam, że dojdziemy do porozumienia. Widzi pan, mamy zamiar otworzyć tutaj biuro i potrzebny nam jest taki człowiek, jak pan, który by wszystkim pokierował. My bardzo często jesteśmy w podróży. Pragniemy przeprowadzić tu kolej żelazną.

— Na miłość boską! — zawołał Beresford z entuzjazmem. — Ależ to cudowny pomysł! Zgadzam się na wszystkie warunki panów.

— W tym tkwi największy sęk — zauważył sucho Fratton. — Tysiąc dwieście funtów to przecież niewielkie pieniądze.

— Głupstwa pleciesz! — wtrącił Melville przyjaźnie. — Każdy kapitał jest dobry. Ja wstąpiłem do spółki przed, pięciu laty i jakoś przecież żyję.

— Naturalnie — uśmiechnął się Fratton. — Wyjąłeś już dwa razy tyle, ile wówczas włożyłeś. Melville zaśmiał się.

— Widzi pan — zwrócił się do Beresforda. — Pracujemy na

warunkach dwudziestoprocentowych od włożonego kapitału. Pan prawdopodobnie otrzyma lepsze warunki, bo to przecież nowy interes. Colwyn obejrzał się od progu.

— Tego nie mogę zagwarantować — rzekł — ale jak pan będzie chciał pracować, to zrobi pan wielki majątek po pięciu latach. Do zobaczenia! — skinął głową i wyszedł.

Beresford usiadł na powrót i podniósł swą szklanę do ust. Siedział w milczeniu, myśląc o Sally.

— Za czyje zdrowie pan pije? — zagadnął Melville, po czym dorzucił ze śmiechem: — Doskonale. Rozumiem.

Życzę szczęścia obojgu! Gdyby mnie pan zapytał, powiedziałbym panu stanowczo, że robi pan świetny interes.

Beresford odstawił szklanę. Oczy mu pałały.

— Tak — odparł. — Zaczynam wierzyć w swoje szczęście.

Naprowadzony na pewne podejrzenia przez nowych przyjaciół, Beresford zmienił się nieco w stosunku do Newmana. Spoglądał nań teraz bardziej krytycznym wzrokiem, chcąc zorientować się, z jakiego powodu olbrzym okazuje mu tyle serdeczności.

Nie widział go już więcej tego wieczoru, lecz postanowił obserwować go nazajutrz rano. Co pewien czas odganiał od siebie przykre myśli, tłumacząc sobie w duszy, że przecież Newman był pierwszym człowiekiem, który mu okazał serdeczność na gruncie Australii.

Spał dłużej następnego dnia i zbudził go jakiś niewyraźny szmer w pokoju. Gdy otworzył oczy, dostrzegł rękę męską, wysuwającą się przez uchylone drzwi pokoju, zajmowanego przez Newmana i stawiającą po stronie jego pokoju parę butów.

Widok ten tak zdziwił Beresforda, że na chwilę oniemiał i odzyskał dopiero głos wówczas, gdy drzwi poczęły się cichutko zamykać.

— Hallo! Newman! To pan?

Drzwi przestały się poruszać, po czym zamknęły się już głośniejsze. Beresford usiadł na łóżku. Jego buty, stojące na podłodze, były świeżutko oczyszczone. Zaczął wołać głośniejsze:

175

— Newman, Newman! Jest pan tam?

Rozległ się szmer z sąsiedniego pokoju i drzwi otworzyły się ponownie. Na progu stanął Newman we flanelowej koszuli i zniszczonych spodniach, wyglądających jednak nieco czystiej niż zwykle.

— Hallo! — odparł.

Beresford spojrzał nań z uśmiechem.

— Widzę, że czyścił pan moje buty! Po co pan to robił? Newman opuścił wzrok. Swoją nieodstępną fajkę trzymał w ręku.

W pewnej chwili wetknął ją między zęby.

— Przydało im się trochę połysku, sir — zauważył.

— Ale przecież sam mogłem je oczyścić.

— Nie będzie to pana wiele kosztowało — uśmiechnął się Newman, stojąc wciąż na progu.

Trudno było go nie lubić. Posiadał jakąś pełną obojętności dobrotliwość, która wnikała do głębi serca.

— Nie podejmował się pan tej pracy — zauważył Beresford. — W każdym razie serdecznie dziękuję!

— Nie ma o czym mówić! — oburzył się Newman. — Przepraszam, że sprawiłem panu przykrość!

Beresford wybuchnął śmiechem. Mniejsza o to, kim był ten olbrzym, jednak posiadał dobre serce.

— Nie będziemy się dłużej sprzeczać na ten temat — rzekł po chwili. — Przypuszczam, że nie odnalazł pan nikogo wczoraj wieczorem.

— Niczego się nie dowiedziałem — rzekł Newman. — Nikt z tutejszych ludzi nie słyszał o Cheverellu.

— Nie sądzi pan, że mógł zmienić nazwisko? — zagadnął Beresford. Olbrzym potrząsnął głową.

— Nie. Umarł i nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Niepotrzebnie pan traci czas.

Przykre wspomnienie pojawiło się znowu w myśli Beresforda. Usiłował je i tym razem odegnać. Rzekł prawie mimo woli:

— Dziwne, że oprócz pana nikt o nim nie słyszał.

Newmana nie uraziła ta uwaga. Palił teraz spokojnie swoją fajkę.

— Znałem wielu takich ludzi — rzekł. — Jeżeli mam być szczery, to i ja należę do tego rodzaju typów. Tylko jakoś dłużej szwendam się po tym świecie.

— Nie rozumiem, dlaczego — zauważył Beresford po chwili milczenia — skierowano mnie do pana po informacje.
— Ja także nie mam pojęcia.
— Ale pan mieszkał[^] nim w jednym domu — indagował dalej chłopak. — I znał go pan osobiście.
— O, tak, znałem go — przyznał Newman.
— A mimo to nie może mi pan o nim nic bliższego powiedzieć. — Beresford nie mógł ukryć nuty podejrzenia, brzmiającej w jego głosie.
Olbrzym wzruszył ramionami.
— Powiedziałem już panu — wyjaśnił. — Był mniej więcej takim samym typem, jak ja.
Beresford zdawał się nie zwracać na to uwagi. Widział, że sytuacja była beznadziejna.
— I powiada pan, że wyjechał do Wallaroo, a potem więcej go pan już nie widział?
Newman skinął głową.
— Tak powiedziałem.
Beresford zrezygnował z dalszych pytań. Ten człowiek stanowczo nic więcej ciekawego mu nie powie.
— Jestem bardzo wdzięczny panu za to wszystko, co pan dla mnie uczynił — rzekł po chwili. — Ile panu jestem winien?
Ociężałe powieki Newmana uniosły się.
— O, wszystko jest w porządku — odparł bezdźwięcznie. — Nie żądam żadnej zapłaty.
— Rozumiem. Ale co pan wydał? — W głosie Beresforda brzmiało zniecierpliwienie. Chciał stanowczo zakończyć tę przyjaźń.
Lecz Newman widocznie miał całkiem inne plany.
— Zwróci mi pan później, sir. Nie ma się czego śpieszyć. Beresford rozejrzał się po pokoju. Istotnie trudno się będzie pozbyć tego olbrzyma.
— Niech mi pan poda mój pugilares! — rozkazał. Newman nie ruszył się z miejsca.
— Nie ma pośpiechu — powtórzył obojętnie. — Może pan trzymać pieniądze w swoim pugilaresie, jak długo pan zechce! I tak zbyt prędko się rozejdą. Mnie tam pieniądze niepotrzebne.
— Głupstwa pan plecie! — odparł Beresford stanowczo, podnosząc

się. — Nic dyskutujmy na ten temat. Doszedłem do wniosku, że istotnie powinienem zaniechać dalszych poszukiwań, przynajmniej w danej chwili. Mam tutaj dostać zajęcie i będę się już mógł obyć bez pańskiej pomocy. Dziękuję panu za dotychczasowe trudy!

Sięgnął po portfel i otworzył go. Lecz zanim wyjął pieniądze, powstrzymał go od tego głos Newmana:

— Więc pan przystępuje do interesu z tymi łotrami? Wiedziałem, że to będzie ich celem. Tłustego baranka znaleźli. Beresford spojrział nań, marszcząc brwi.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nie, niech pan lepiej nie mówi! Nie jestem ciekawy. Więc ile mam panu zapłacić?

Sięgnął znowu do portfela i wyciągał już jakiś banknot, gdy nagle Newman wyjął rękę z kieszeni i udaremnił jego zamiar bez ceremonii.

— Nie, nie, sir! — Głos tego olbrzyma był w tej chwili rozkazujący. — Jeżeli pan chce się mnie pozbyć, to może pan to uczynić bez pieniędzy. Płacił pan tylko za moje utrzymanie, więcej nic od pana nie chcę.

— Ależ pan przecież chce wrócić do Sydney, nieprawdaż? — zagadnął Beresford.

— Nie — odparł Newman. — Tymczasem mam zamiar zostać w Wallaroo.

— Po co?

— Mniejsza o to, po co, sir! Czyż tu nie jest przyjemnie? — uśmiechnął się, jakby nie mógł znaleźć żadnego innego argumentu. Odłożył portfel i cofnął się ku drzwiom, paląc dalej swą nieodstępną fajkę.

Przed zapadnięciem wieczoru wszystkie sprawy zostały omówione i Beresford został współwłaścicielem firmy.

Pomysł założenia biura w Wallaroo ogromnie przypadł mu do gustu. W każdym razie będzie tu panem własnej woli i może mieć najlepsze nadzieje na przyszłość.

Starszy Colwyn zamierzał wyjechać do Sydney, lecz odkładał jeszcze jakoś swój wyjazd i Beresford wierzył w to święcie, że Colwyn pragnie przedtem załatwić wszystko ze swym nowym współnikiem.

Gdy wreszcie po trzech dniach Colwn wyjechał, umowa między nimi była już zawarta. Zabrał ze sobą czek, podpisany przez Beresforda, na mocy którego miał podjąć cały jego kapitał. Fratton wyjechał z nim również, ku wielkiej radości Melville'a.

— Nie mogę przebywać dłużej z tym człowiekiem — zwierzał się młodzieniec Beresfordowi. — Jest nudny jak lukrecja. Pan będzie teraz jedyną moją pociechą. Gdy już przywiozą pieniądze i Stefan wróci z towarem, zabierzemy się do pracy ze wzmożoną energią. Teraz chciałbym panu pokazać choć kawałek Australii.

Beresford chętnie przyjął tę propozycję, tym bardziej, że pogoda dopisywała i czuł wyraźną potrzebę zmiany otoczenia. Poczuli urządzać dłuższe wycieczki w okolice, co bardzo Beresforda interesowało. Pragnął co prawda objechać Australię dookoła, lecz postanowił uczynić to później, przy pierwszej, nadarzającej się okazji.

Gdy pewnego dnia wracali z wycieczki do Barren Hill Valley, dostrzegli nagle Newmana, wspartego o jakieś drzewo, z fajką w zębach. Beresford pozostawił na chwilę Melville'a, aby przywitać olbrzyma.

— Hallo, Newman, skąd pan tutaj? Dawno nie widzieliśmy się. Wyciągnął doń rękę, Newman zaś, wyjąwszy swoją z kieszeni,

wytarł ją najprzód o spodnie, a potem dopiero uściśnął wyciągniętą ku sobie dłoń.

— Tak, jestem tutaj — odparł lakonicznie.

— Dobrze panu idzie? — zapytał Beresford.

— Średnio — brzmiała odpowiedź.

Zastanowiło Beresforda, dlaczego taką radość sprawiło mu to spotkanie z olbrzymem.

— Chciałem zapytać, czy ma pan pracę?

— Praca zawsze przyjdzie w porę — odparł Newman. Wyglądał bardzo mizernie, lecz w oczach jego błyszczał ten dobrotliwy płomyk. Beresford nie mógł wstrzymać się dłużej:

— Niech pan słucha! Mamy zamiar założyć biuro w Wallaroo. Czy zna się pan na wagonach?

— Coś niecoś o nich słyszałem — mruknął Newman.

— Ach, chodź pan już, panie Cheverell! — zawołał Melville stojący opodal. — Na co pan tu czeka?

Beresford obrzucił go spojrzeniem.

— Niech pan idzie! Dogonię pana. — Zwrócił się znowu do Newmana. — Chciałby pan pracować ze mną?
— Z największą przyjemnością — odparł olbrzym weselej. — Znalazł pan pracę?
— Nie. Lecz wkrótce znajdę. — Beresford mówił z pośpiechem. — Nie mogę tutaj z panem rozmawiać. Niech pan przyjdzie do mnie dzisiaj wieczorem do hotelu!
Odszedł po tych słowach i wkrótce połączył się z Melville'm, wykazując dziwne zażenowanie.
— Co pan ma, u diabła, za konszachty z tym pijakiem? — zdziwił się Melville. — Nigdy się pan od niego nie odczepi.
Nuta zniecierpliwienia, brzmiąca w jego głosie, wróciła Beresfordowi natychmiast utraconą równowagę.
— Jeżeli mam tu prowadzić biuro, to przypuszczam, że mogę przyjąć do pomocy, kogo będę chciał? — zauważył.
— Ach, oczywiście! — pośpiesznie zapewnił Melville. — Tylko taki jegomość na pewno będzie bezużyteczny. Z pańskiej strony będzie to po prostu filantropia.
— Do czyszczenia i oliwienia wagonów nie trzeba być specjalnym geniuszem, a właśnie taką pracę chciałem mu powierzyć — zauważył Beresford. — W każdej chwili będę się mógł go pozbyć, lecz przypuszczam, że taki moment nie nastąpi. Ten człowiek jest moim serdecznym przyjacielem.
Wypowiedział te słowa z zapalem i Melville już więcej mu nie przeczył. Podczas krótkiej znajomości zdołał się przekonać, że młody Anglik był pod pewnymi względami stanowczy i że trudno go było w wielu wypadkach przekonać. Zmienił temat rozmowy i wrócili do Wallaroo znowu w najlepszej komitywie.
Na Melville'a czekał list, drugi zaś czekał na Beresforda i sprawił mu nieopisaną radość. Był to pierwszy list od Sally od chwili jego wyjazdu z Anglii.
Znalazłszy się w swoim pokoju, otworzył go natychmiast i zaczął czytać. Oczekiwał tego listu od kilku dni. Został mu przesłany z hotelu w Sydney.
Zawierał typowo dziewczęcą epistołę, pełną naiwności i serdecznego zaufania. Pisała, że opuszcza już szkołę przy końcu lata, ale nie ma zamiaru wyjechać za granicę. Będzie czekała jego powrotu w dworze Harbridge. Pocieszała się nadzieją, że czekać nie będzie zbyt długo.

Zresztą to oczekiwanie skróci sobie codzienną pracą. Persis wyjechała na pewien czas do Indii, a Phil Croy zwrócił swe afekty do córki weterynarza.

Joan założyła psiarnię z samych irlandzkich seterów. Czyż to nie cudowny pomysł? Sally ma zamiar opiekować się psiarnią. Joan pisała, że stary admirał zmizerniał i stracił humor. Prawdopodobnie oddałby wiele za to, żeby Berry wrócił, lecz jest uparty i nigdy się nie przyzna do tego pragnienia.

A co Berry porabiał? Czy odnalazł swego ojca? Obydwie z Joan niecierpliwie czekają na wiadomości od niego, a ona, Sally, chciałaby strasznie zobaczyć go jak najspieszniej w domu.

List kończył się krótkim, lecz pełnym temperamentu zdaniem: *Najdroższy Berry, najdroższy, z każdym dniem kocham cię więcej.*

Beresford zeszedł później tego wieczoru na kolację, z oczami błyszczącymi radością. Melville'a nie zastał w restauracji, postanowił jednak nie czekać na niego. Wkrótce jedna z usługujących dziewcząt podeszła doń z wiadomością. Pana MeWille wezwali dokądś za interesami i jeżeli nazajutrz nie wróci, to napisze. Beresford przyjął tę wiadomość ze zdziwieniem, lecz nie zwrócił na nią zbytnej uwagi. Najważniejszą rzeczą w danej chwili był list od Sally. Jadł kolację w zadumie, postanawiając natychmiast jej odpisać.

Gdy wreszcie wyszedł z sali, ku swemu niezwykłemu zdziwieniu ujrzał na korytarzu oczekującego go Newmana. Zupełnie o nim zapomniął.

Przez chwilę przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami, lecz nagle przypomniał sobie, że sam zaprosił go do siebie.

— Oczywiście! Czekałem na pana. Chodźmy na górę i pogadajmy! Newman wszedł za nim do pokoju. Po raz pierwszy nie palił swej fajki.

— Niech pan siada! — zapraszał Beresford, podsuwając mu krzesło. — Zapali pan papierosa?

Podał mu papierośnicę i ze zdziwieniem dostrzegł, że olbrzym sięga po papierosa. Dostrzegł jednocześnie, że wygląd zewnętrzny Newmana uległ pewnej zmianie. Był ogolony i nosił jakieś całkiem przyzwoite ubranie. Widok tego człowieka, palącego papierosa był po prostu czymś fantastycznym. Odmłodził nagle o kilka lat i sprawiał wrażenie niemal gentlemana.

Beresford natychmiast przystąpił do rzeczy.

— Więc chciałem z panem pomówić o tej pracy! — rzekł. — Mogę dać panu posadę, jeśli pan zechce. W danej chwili jednak nie mogę panu obiecać nic konkretnego. Rozstrzygnie się to dopiero wówczas, gdy ten jegomość wróci z Sydney.

— A przypuszcza pan, że wróci? — zapytał Newman.

— Oczywiście. Przestań pan krakać! Ulokowałem w tym interesie całe moje pieniądze. Mam być tutaj jednym z kierowników.

— Właśnie dlatego pytam — mruknął Newman.

— To pańskie pytanie nie ma najmniejszego sensu — zawołał Beresford z niecierpliwością. — Sprawa została już załatwiona, idzie tylko o puszczenie interesu w ruch. To zawsze musi trwać kilka dni.

— Naprawdę? — zdziwił się Newman. Obrzucił Beresforda wymownym spojrzeniem. — Przypuszczam, że pan się jakoś zabezpieczył?

— Absolutnie. Trudno zabezpieczyć się w tym dzikim kraju.

— Kto tak powiedział? — oburzył się Newman. Beresford zwrócił się doń rozgniewany.

— Czego pan usiłuje dowieść?

— Niczego — burknął olbrzym.

— A jednak do czegoś pan dąży — Beresford nie mógł już pohamować swej irytacji. — Czyni pan jakieś niecne podejrzenia! Dlaczego?

Newman uczynił ruch pełen protestu.

— Tyle spotyka się oszustów na drodze — wyjaśnił.

— To nie ma nic do rzeczy — oświadczył Beresford. Newman począł pykać swego papierosa, jakby to była fajka.

— Tak, wiem o tym — rzekł po chwili Beresford. — Ale to nie jest żadna oszukańcza gra.

Olbrzym poruszył się niespokojnie na krześle.

— Pan nie przypuszcza, że ja się właśnie znam na takich oszukańczych grach? — zagadnął.

Beresford zdziwił się nieco.

— Pan?

— Tak, ja — odparł ponuro Newman. — Co pan w ogóle o mnie wie? Może ja jestem największym oszustem. A mimo to — głos jego zmięknął nagle — ofiaruje mi pan pracę.

— Och, niech pan nie będzie głupi! — zawołał Beresford. Porwał się na równe nogi i począł spacerować nerwowo po pokoju. — Wie pan, że nie jestem filantropem — rzucił w stronę swego gościa. — Nie proponowałbym"-panu pracy, gdybym nie znał wartości pieniądza. Czynię to po prostu dlatego, że wierzę panu.

— Tak samo, jak wierzy pan kilku innym ludziom? — zagadnął Newman z bladym uśmiechem. — Może pan mi ufać, sir, ja pana nie zawiodę.

— Wiem o tym. — Przystanął nagle przed nim. — Czuję to od dawna. Pan jest czysty. — Wyciągnął doń rękę. — I dlatego pana lubię.

Wzrok Newmana spotkał się z jego wzrokiem, lecz ręce jego pozostały nadal w kieszeniach. Olbrzym zaczął mówić nagle jakimś drżącym głosem:

— Powiem panu coś, sir. Ja nie zawsze byłem czysty, jak pan to nazywa. Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. Beresford ręki nie cofnął.

— Nie troszczę się o to, kim pan był—odparł. — Obecnie wystarczy mi, kim pan jest.

Newman wyciągnął rękę z kieszeni i uścisnął uroczyście dłoń Beresforda.

— Ale niech pan każdemu do tego stopnia nie ufa! — wyszeptał. — Oczywiście, jeżeli pan chce przejść przez życie.

— Otóż właśnie. Chcę. — Beresford padł znowu na krzesło, czując, że musi wszystko wyznać temu czowiekowi. — Dlatego chcę rozpocząć pracę. Widzi pan, muszę założyć dom dla kogoś, kogo bardzo lubię.

— Ach! — mruknął Newman. Wyjął z kieszeni fajkę i począł ją napychać tytoniem.

Nie zadawał już żadnych pytań, lecz Beresforda to nie powstrzymało od zwierzeń. Potrzebny mu był teraz przyjaciel.

— Ona jest jeszcze bardzo młoda — rzekł — ma dopiero osiemnaście lat.

Wyjął z kieszeni pugilares i pokazał Newmanowi fotografię Sally z jej ulubieńcem, Benem przed dworem Harbridge. W głębi stała Joan w sportowym ubraniu.

— To są siostry — objaśniał.—Ta na przedzie, to moja dziewczyna, Sally. Tamta, to Joan, moja serdeczna przyjaciółka.

Newman dłuższą chwilę spoglądał na fotografię. Potem odezwał się przyciszonym głosem:

— Na pewno warto są pana, sir. Życzę panu szczęścia. Beresford z zadowoleniem schował na powrót fotografię.

Oceną

Newmana nie był rozczarowany.

— Może byśmy się czegoś napili? — zaproponował. — Zejdźmy na dół, aby omówić dalsze plany pracy! Melville nagle musiał wyjechać. Mam nadzieję, że w związku z naszym przyszym interesem.

— Dzięki Bogu, że pan jeszcze ma nadzieję — mruknął Newman.

Przez pięć dni Beresford z rosnącym zniecierpliwieniem oczekiwał wiadomości od swych współników. Napisał dwa poleczone listy do Sydney, kierując je na adres podany przez Colwyna, lecz na szósty dzień listy wróciły z napisem „adresat nieznany”. Niepokojny, lecz odganiający wciąż jeszcze od siebie podejrzenia, wysłał list do banku, w którym znajdowały się jego pieniądze. Odpowiedź jednak była niezbyt przyjemna. Pieniądze podjęte zostały jego własnym czekiem przed dziesięciu dniami i nic więcej nie wiadano. Nie orientowano się nawet, czy zostały one przelane na konto do jakiegoś innego banku, a mężczyzna, który podjął ową sumę, był bankowi zupełnie nieznany. Dziwny lęk ogarnął Beresforda. Reszta gotówki, którą miał przy sobie, topniała z każdym dniem coraz bardziej. Rachunek w hotelu za cały tydzień był jeszcze nie zapłacony, a zdawał sobie sprawę, że gdyby nawet wrócił do Sydney, to żaden adwokat nie podejmie się przeprowadzenia jego dziwnej sprawy. Mógł się zwrócić do policji, lecz w jakim celu? Jeżeli oszuści uciekli z jego pieniędzmi, to na pewno trudno będzie ich odnaleźć. Jeżeli zaś dla innych jakichś powodów zatrzymali się dłużej i wrócą, wówczas nie będzie im mógł spojrzeć w oczy.

Rozpacz ogarniała go coraz większa, lecz przez dwa następne dni zachowywał jeszcze jakoś pozorny spokój.

Wreszcie pogrążony w rozpacz, postanowił udać się na poszukiwania tego jedyne go przyjaciela, na którym mógł polegać. Zamierzał szukać Newmana, człowieka, który nie zawsze był czysty.

Był wilgotny, pochmurny dzień. Beresford dotarł do maleńkiego miasteczka Trelevan, leżącego u stóp Barren Hill Valley i począł iść piaszczystą drogą w stronę kopalni. Przypuszczał, że zastanie tu żywiłowy ruch i prace, lecz okazało się, że był w błędzie. Gdy poszedł do szeregu małych domków, w których mieszkali górnicy, ku swemu wielkiemu zdziwieniu zauważył rozmaite sprzęty porozstawiane na dworze i całe mnóstwo porozrzucanych górniczych narzędzi.

Dwie, czy trzy furmanki stały w pobliżu, otoczone tłumem na pół ubranych mężczyzn i zawodzących kobiet. Dookoła panowała atmosfera spustoszenia, jakby dopiero wczoraj zniszczył to wszystko jakiś nieopanowany żywioł. Beresford szedł przed siebie, czując się jak człowiek pogrążony w przykrym śnie.

Dotarł wreszcie do budki, którą zamieszkiwał Newman i tutaj, chociaż olbrzym był nieobecny, dostrzegł grupkę górników, prowadzących między sobą ożywioną rozmowę. Zablokowali po prostu wejście, a gdy Beresford chciał się między nimi precisnąć, przerwali nagle pogawędkę, szykując się jakby do napaści.

Beresford, pogrążony w swej rozpacz, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, co się dokoła niego dzieje.

Zapomniał na chwilę, że nie ma przed sobą swych spokojnych ziomków, lecz ludzi na pół dzikich, za jakich byli uważani robotnicy australijscy. Zniecierpliwiony, począł odpychać ich na oślep.

— Precz stąd! — zawołał. — Muszę tędy przejść.

Krzyknął tak potężnie, że w pierwszej chwili robotnicy rozstąpili się przed nim, zaraz jednak wrócili na swe dawne miejsca i w sekundę potem otoczony był gromadą wrogów. Został przewrócony na ziemię, poczęto go bić i kopać. Rozległy się przy tym głośne okrzyki triumfu i po chwili uczył tylko gorącą strugę krwi, płynącą mu z czoła. Mimo woli podniósł ramię i zasłonił sobie twarz.

Był to jego ostatni świadomy czyn, bo potem zakotłowało się znowu, coś ciężkiego spadło mu na głowę i poczył, że zapada w jakąś czarną otchłań. Ogarnęła go ze wszystkich stron cisza...

Nie orientował się jak długo ta cisza trwała. Jednak w pewnej chwili poczył coś zimnego na czole i oczach i zaczął sobie zdawać sprawę, że jeszcze żyje. Usłyszał nad sobą uspokajający głos:

— Nie ruszaj się, synu! Zaraz ci będzie lepiej.

Znał ten głos. Był to głos bliski i serdeczny. Uczynił nieznaczny ruch w tę stronę, skąd głos dochodził i nagle ręka jego uwięzła w kleszczowym uścisku tego jedyne go człowieka w Australii, którego uważał za swego przyjaciela.

— Co u diabła... — wyszeptał, dobywając się z otchłani nieświadomości. — To przecież Newman?

— Tak, to ja — brzmiała odpowiedź. — Niech pan leży spokojnie! Wszystko będzie dobrze.

— Ale pan ode mnie nie odejdzie? — wyszeptał Beresford czując się teraz, jak bezradne dziecko.

— Ja? — odparł Newman. — Pójdę za panem do piekła, jeżeli będę panu potrzebny!

Po chwili Beresford znowu stracił przytomność i ciemności ogarniały go przez następnych kilka dni. Gdy wrócił do świadomości, dobroć jego opiekuna wzrosła w jego mniemaniu do gigantycznych rozmiarów. Mierzył siłę tej dobroci miarą własnej od niego zależności.

— Nie wiem, co pana trzyma przy mnie — rzekł pewnego dnia, gdy wracał już powoli do zdrowia. — Jestem przecież zrujnowany! Mówiłem panu o tym? Nie mam ani szeląga, który mógłbym panu ofiarować.

— Mówił mi pan już o tym kilka razy — odparł Newman. Zajęty był napychaniem swej fajki, na której skupiał teraz całą swoją uwagę.

— Nie wiem, gdzie jestem i z czego żyję — wyszeptał chory po chwili. — Wiem tylko, że ograbiono mnie ze wszystkiego, co posiadałem.

Newman nie podniósł wzroku. Zajęty był ciągle napychaniem swej fajki.

— Nie troszczyłbym się o to, gdybym był na pańskim miejscu, sir — zauważył. — Trzeba teraz wyzdrowieć, to jest rzecz najważniejsza!

— Zdrowie mi wraca z każdą chwilą — odparł Beresford. — Wkrótce będę zupełnie zdrowy, ale w jaki sposób odwdzięczę się panu za to wszystko?

— Głupstwo! — mruknął olbrzym.

Beresford miał oczy szeroko otwarte. Po raz pierwszy zdawał sobie sprawę z czegoś więcej, niż z bólu. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł, że znajdował się w maleńkim, prawie wcale nie umeblowanym pokoiku,

lecz panowała tu przesadna czystość. Spojrzenie jego zwróciło się ku człowiekowi siedzącemu na małej skrzynce przy łóżku.

— Nie chcę być nudny, Newman — wyszeptał. — Ale pragnąłbym wiedzieć coś niecoś.

— Doskonale — odparł Newman. — Nie należy się tylko o nic martwić. Znajduje się pan w jednym z domków na Barren Hill i za mieszkanie to nic nie płacimy.

— Dlaczego? — zagadnął Beresford. Newman wzruszył swymi potężnymi ramionami.

— Po prostu dlatego, że tu nikt nie mieszka — odrzekł, a po chwili dodał: — Wszyscy się stąd wynieśli. Kopalnia jest nieczynna.

— Nieczynna! — powtórzył Beresford ze zdziwieniem.

— Tak, otóż właśnie — skinął głową Newman, nie przerywając napychania fajki. — Złoto się skończyło. Wyplacono wszystkim robotnikom.

— A pan ma jeszcze pracę? — zagadnął Beresford. Newman uśmiechnął się nieznacznie.

— Żadnej pracy tu nie ma. Wszystko się skończyło. W Trelevan jest tak pusto, że nawet psa trudno wyżywić.

— I ci wszyscy górnicy stąd poszli? Newman znowu skinął głową.

— Żaden nie został. Wyplacono im tego dnia, kiedy pan się na nich natknął. Miał pan to nieszczęście. Byli w okropnych humorach.

— To była tylko moja wina — przyznał Beresford. — Po prostu szalałem z rozpacy. Szukałem pana i nagle stanęli mi na drodze.

— Wiem. Widziałem. Bałem się, żeby pana nie zabili. Beresford spojrzał nań pytająco.

— A kto mnie uratował? Pan?

— Wtrąciłem się tylko — przyznał Newman. — Oni nic zbrodniczego nie mieli na myśli. Powiedziałem panu, że to banda.

— Dziękuję za pomoc! — wyszeptał Beresford. Na twarzy Newmana ukazał się blady uśmiech.

— Był pan nieostrożny, rzucając się na nich z gołymi rękami — zauważył.

— Wiem. Straszny głupiec ze mnie. Ale straciłem kompletnie przytomność. Pragnąłem pobić kogoś tego dnia.

— Tamci obrabowali pana, co? — zapytał Newman.

— Tak i zniknęli. Przypuszczam, że więcej już ich nie zobaczę. Zabrali mi wszystko do ostatniego szeląga. — Beresford mówił z goryczą. — Jestem zupełnie zrujnowany.

Newman uporał się wreszcie ze swą fajką i podniósł się z miejsca.

— Zostaje panu tylko jedno do zrobienia — oświadczył.

— Co takiego? — Beresford obserwował go z zaciekawieniem.

— Jechać z powrotem do Anglii — odparł olbrzym.

— Co? — zdziwił się Beresford i zmarszczył brwi, co spowodowało dotkliwy ból wewnątrz czaszki.

— Niech się pan uspokoi! — rzekł łagodnie Newman. — Nie ma się czym przejmować. Wrócimy do Sydney, jak tylko pan wyzdrowieje i napiszemy do pańskiej rodziny o wszystkim.

— Nie gadaj pan głupstw! — zawołał Beresford. — Tego nigdy nie uczynię.

— Jak pan sobie życzy.

— Widzi pan, stary przyjacielu — rzekł Beresford po chwili łagodniej. — Nie mogę prosić mego wuja o pomoc, skoro mnie wygnał z domu.

— O, więc wygnał pana? — zdziwił się Newman.

— Tak. Nie zgadzał się na to, abym szukał mego ojca. Teraz nie mogę wrócić z chwilą, gdy jestem zrujnowany.

— A może on chce żeby pan wrócił — zauważył olbrzym.

— Trudno, ale nie przypuszczam. W żadnym wypadku nie wrócę. — W głosie Beresforda brzmiała stanowczość.

— Jest pan za dumny na to? — podchwycił Newman.

— Tak — odparł Beresford z prostotą.

Newman zamilkł na chwilę. Wreszcie zwrócił się do swego młodego pacjenta:

— A co z panną Sally? — zapytał. Beresford uczynił niespokojny ruchy.

— Nie mam pojęcia. Sądzę, że lepiej będzie, gdy przestanę o niej myśleć.

— Nie wiadomo. Coś może się zmienić. W każdym razie radziłbym wrócić do Sydney.

— Chyba nie wierzy pan w to, że tam znajdziemy pieniądze, uśmiechnął się Beresford z goryczą.

— Pieniądze na podróż mam — odparł Newman nieoczekiwanie.

Zaoszczędziłem sobie trochę, chociaż niezbyt dużo. W każdym razie wystarczy dla nas obydwóch na podróż do Sydney. Beresford spojrział nań wilgotnymi od łez oczami.

— Poczciwiec z pana! Bóg jedyny wie, co by się ze mną stało, gdyby pana nie było. Ale co będziemy robili w Sydney? Czy nie można tutaj dostać jakiejś pracy?

— Nie ma mowy — odparł Newman. — Ja przynajmniej nie mam żadnej nadziei.

— A w Sydney? — zaprotestował Beresford. — Kto nam da tam robotę?

— Ja znajdę sobie pracę w dokach — odparł olbrzym z ufnością.

— Pan?... możliwe. Na mnie jednak nikt nie spojrzy — wyszeptał Beresford z przeświadczeniem.

— Oczywiście, że nie — przyznał Newman. — Musi się pan postarać o jakąś szlachetniejszą pracę.

Beresford uśmiechnął się z goryczą.

— A tymczasem umierać z głodu!

— Do tego nie dojdzie.

— Więc cóż będę robił? Będę żył z powietrza? — pytanie to zadane zostało tonem irytacji i zupełnej bezradności. Newman obrzucił go pośpiesznym spojrzeniem, po czym odwrócił znowu głowę.

— Do tego także nie dojdzie. Moje zarobki wystarczą dla nas dwóch, a może pan przecież zamieszkać na Lambton End i rozglądać się jednocześnie za pracą. Ja panu nie będę przeszkadzał.

Podczas pierwszych tygodni rekonwalescencji zdawało się Beresfordowi, że wszedł w nową fazę istnienia, w porównaniu z którą poprzednia jego egzystencja była zupełnie bezwartościowa. Po powrocie do Sydney, stan jego zdrowia pogorszył się nieco, bo rana w czaszce otworzyła się na nowo i wymagała dłuższego leczenia.

Dni mijały za dniami, a on wciąż leżał na żelaznym łóżku Newmana, przysłuchując się głośnemu zawodzeniu dziecka z dołu. Newman przychodził

i wychodził. Czasami wieczorem przy jego pomocy Beresford schodził ostrożnie po wąskich, kręconych schodach i wychodził na małą uliczkę, lecz nie lubił tych wycieczek, bo zawsze po nich czuł się gorzej, chociaż przeważnie w powrotnej drodze Newman wnosił go na rękach na górę. Wybierał się na te wycieczki tylko ze względu na Newmana, który twierdził, że świeże powietrze jest mu koniecznie potrzebne. To przywiązanie olbrzyma było jedyną rzeczą, która dodawała jeszcze Beresfordowi otuchy. Wysłał list do Sally, w którym napisał jej całą prawdę, że był głupi i stracił wszystko, że pobili go górnicy i że chociaż czuje się już lepiej, to jednak uważa, że najmądrzejszą rzeczą będzie, gdy Sally o nim zapomni. Napisanie tego listu kosztowało go dużo zdrowia. Ale Sally musi wiedzieć całą prawdę. Przecież nie miał prawa łamać życia dziewczynie. Jest jeszcze taka młoda, że na pewno zdoła wkrótce o nim zapomnieć. Gdy wysłał ten list, miał uczucie człowieka, który uczynił coś dobrego w życiu i który odpokutował za swe grzechy.

Pozostawał mu tylko Newman, który ustawicznie prosił Beresforda, aby się nie martwił o nic, twierdząc, że to, co zarabia w dokach, wystarczy na życie dla nich obojgu. Okazywał mu zawsze dużo przyjaźni i serdeczności, darząc go jednocześnie wielkim szacunkiem.

Gdy chłopak teraz coraz szybciej powracał do zdrowia, przykro mu było, że stary przyjaciel musi na niego pracować. Postanowił jak najprędzej wyruszyć na poszukiwanie jakiegoś zarobku, aby tym samym dopomóc Newmanowi.

— Wkrótce i ja zacznę pracować—rzekł pewnego wieczoru, w sześć tygodni po powrocie do Sydney. — Już i tak dość długo pana wyzyskiwałem.

Newman, który przed chwilą wrócił do domu, spojrzał nań z dziwnym smutkiem.

— Jestem coraz silniejszy — dorzucił Beresford. — I jak już powiedziałem, nie chcę być dłużej dla pana ciężarem. Teraz ja będę pracował, a pan trochę odpocznie.

— Zaczekamy jeszcze kilka dni — odparł Newman. — Moja praca i tak długo nie będzie trwać. Kilku spośród nas oddalono.

— Co takiego? — zawołał zdziwiony Beresford. Wychudł bardzo podczas choroby i twarz mu wynędzniała. Cerę miał bezbarwną, lecz w tej chwili zarumienił się nieco i odwrócił głowę, zawstydzony, że Newman mógł dostrzec jego podniecenie.

Lecz Newman nie patrzył nawet. Zajęty był czyszczeniem fajki. Ostatnio bardzo często była ona pusta.

— Najpierw oddalają starych — szepnął w zamyśleniu. — Ale proszę się nie martwić, sir! Nie zginiemy.

— Ja się nie martwię — zapewnił go pośpiesznie Beresford. — Wkrótce sam zacznę pracować. Naprawdę czuję się lepiej, Newman.

— Tak, czuje się pan lepiej — przyznał olbrzym — ale nie jest pan jeszcze zupełnie silny. Zemdlałby pan na pewno, gdyby pan wstał na dłużej.

— Och, głupstwo! — zaprotestował Beresford.

— Nie, to nie jest głupstwo. Widziałem przecież. Nie ma pan jeszcze sił do pracy i w tej dziurze na pewno ich pan nie nabierze.

Umilkł, a nagle z dołu doszedł głośny płacz dziecka, który przerwał panującą w izdebce ciszę.

— Więc co mam robić? — zapytał Beresford z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Newman wciągnął zapas powietrza do płuc i odpowiedział wolno:

— Trudno powiedzieć, sir. Ale gdybym był na pańskim miejscu, starałbym się wrócić do domu. Nie ma sensu tutaj dłużej siedzieć. W tym kraju na chleb pan nie zarobi.

Dziwna gorycz w jego głosie zastanowiła Beresforda. Spojrzał nań z uwagą.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — odparł Newman.

— A jednak coś się stało. Niech mi pan powie! Mam już dość siły, aby usłyszeć najgorszą nawet wiadomość.

Newman potrząsnął głową.

— Jeszcze taki silny pan nie jest. To jest właśnie najbardziej przykre. Myśl jakaś zaświtała w głowie Beresforda.

— Stracił pan robotę! — zawołał.

Newman wyjął z ust fajkę i począł ją oglądać z jakimś ponurym zadowoleniem.

— Straciłem ją przed tygodniem, sir.

— Boże święty! — zawołał Beresford, a potem rzekł łagodnie: — Mój drogi, stary przyjacielu! I przez cały ten czas utrzymywał mnie pan, nie mając roboty! Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

— Był pan jeszcze za słaby — powtórzył Newman, oglądając wciąż swoją pustą fajkę. — I teraz bym panu nie powiedział, gdyby...

— Gdyby nie to, że nic już nie zostało! Prawda? — Beresford wyciągnął doń rękę i chwycił go za ramię. — Trzeba mi było powiedzieć, przyjacielu. Niech pan słucha! Mam jeszcze kilka rzeczy, które można sprzedać albo zastawić. — Rozglądałem się za pracą — mruzczał Newman — ale nic się nie dało zrobić. Musi pan jakimś sposobem wrócić do domu.

— Ja? — zawołał Beresford. — Ja mam wrócić do domu, a pan ma tutaj umierać z głodu? Tego na pewno nie uczynię! — Przygnębienie Newmana wróciło mu resztki energii i postanowił spojrzeć nędzy w oczy. — Zaczekaj pan! — rzekł po chwili. — Zdobędę jakoś trochę pieniędzy. Mam zegarek i sygnet, który pozostał mi po ojcu. Wolałbym się oczywiście z tymi pamiątkami nie rozstawać, ale sprzedam je, skoro zaszła potrzeba. Na miłość boską, człowieku, niechże pan napełni tę fajkę tytoniem i uśmiechnie się weselej! Lecz Newman energicznym ruchem schował fajkę do kieszeni. Beresford zauważył teraz, że olbrzym posiwiiał nieco i postarzał się.

— Nie, sir — rzekł po chwili milczenia Newman. — Wesołość teraz na nic nam się nie zda. Trzeba pomyśleć, co robić dalej.

— Coś Się zrobi — zawołał energicznie Beresford. — Niech mi pan poda walizkę, zobaczymy, co z niej można spieniężyć!

Newman spełnił rozkaz, lecz twarz jego pozostała nadal smutna.

— Pan musi wrócić do domu — upierał się.

— Głupstwo! — odparł Beresford, przerzucając walizkę. — Mam tutaj kilka rzeczy. Papierośnica srebrna, dosyć ciężka! Jak długo będziemy mogli żyć, gdy sprzedamy papierośnicę?

Podniósł papierośnicę, a Newman począł ją ze smutkiem oglądać.

— Tutaj jest pierścionek — rzekł znów Beresford. — Na pewno jest złoty. Jak pan myśli? Mam jeszcze zegarek. Pierścionek zostawimy i sprzedamy go na końcu.

Newman wziął pierścionek i oglądał go z uwagą.

— Czy dużo można za niego dostać? — zapytał po chwili.

— Przypuszczam, że tak — odparł Beresford. — Jest to moja jedyna pamiątka po ojcu. — Spojrzał przenikliwie na olbrzyma. — Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś bliższego o jego śmierci.

— Z chwilą, kiedy umarł, to po co tak dużo o nim mówić? — wtrącił Newman. — Wszyscy popełnialiśmy błędy w życiu, ale gdy umieramy, grzechy nasze się zmazują.

Podał Beresfordowi pierścionek. Beresford włożył go na palec ze wzruszeniem.

— Będę go nosił teraz. Może on nam przyniesie szczęście. Jutro wyruszymy obydwaj na poszukiwanie pracy.

— Jutro odpływa okręt do Europy — zauważył Newman. — Może na okręcie znajdzie pan łatwiej jakąś robotę.

Beresford poruszył się niespokojnie i surowym wzrokiem spojrzał na pochyloną postać olbrzyma.

— Newman — zawołał — jeżeli pan mi jeszcze raz coś podobnego zaproponuje, będę zły. Z chwilą, gdy warunki tak się ułożą, że będę mógł wrócić do domu, to i pan ze mną pojedzie. Zrozumiano? — Urwał nagle. — Cóż tam, u diabła?

Ktoś biegł pośpiesznie po schodach. Odgłos kroków zagłuszył nawet na chwilę głośny płacz dziecka. Rozległo się pukanie do drzwi.

Beresford w pierwszej chwili chciał się zerwać z łóżka, lecz siły odmówiły mu posłuszeństwa.

— Niech pan otworzy! — wyszeptał z trudem. — Kto tam, u licha... Newman podszedł do drzwi i otworzył je.

Beresford usłyszał jakiś

przyciszony głos, po czym olbrzym zamknął drzwi na nowo.

— Jakaś wiadomość dla pana — rzekł Newman. — Telegram z Anglii! Trzymaną w ręku kopertę podał Beresfordowi i nagle zaczął szukać

po kieszeniach swej fajki.

— Wiadomość! — powtórzył Beresford, otwierając kopertę. Papier zaszeleścił w palcach Beresforda, a gdy Newman się wreszcie

odwrócił, dostrzegł, że ręce chłopaka drżą. Nie zapytał o nic, milcząc dyskretnie. Twarz Beresforda była blada i bez wyrazu. Wreszcie chłopak spojrzał olbrzymowi prosto w oczy, po czym rzekł:

— Mój biedny wuj umarł i pozostawił mi cały majątek. Każą mi natychmiast wracać do domu, pieniądze wysłano telegraficznie na tutejszy bank. — Umilkł przecierając dłonią czoło. — Pan mi dopomoże, przyjacielu — wyszeptał błagalnie.

— Wszystko dla pana uczynię, sir — odparł Newman.

— Naprawdę? — Beresford wyciągnął doń rękę. — Ta wiadomość trochę mnie zdenerwowała — przyznał. — Widocznie jestem jeszcze bardzo osłabiony. Newman, jeżeli nam szczęście będzie sprzyjać, zdążymy na statek, który jutro odpływa.

— Postaram się, żeby pan zdążył, sir. Proszę się nie martwić! — Olbrzymia dłoń Newmana uścisnęła serdecznie rękę chłopca. — Może pan na mnie liczyć. Proszę się położyć na chwilę, to potem będzie się pan czuł lepiej!

Beresford usłuchał rady. Ciągłe jeszcze drżał. Wreszcie odezwał się z wysiłkiem:

— Newman, ja nie mogę sam jechać. Jestem słaby. Pojedzie pan ze mną?

— Ach, głupstwo! — zawołał Newman. — Będzie się pan czuł lepiej na okręcie. Nie trzeba przesadzać! Beresford nagle podniósł głowę. Twarz jego była blada i wychudła, lecz widniał na niej wyraz mocnego postanowienia.

— Newman — rzekł—przysięgam na Boga, że bez pana nie pojedę! Zapadła chwilowa cisza.

— Pojadę pod jednym warunkiem — odezwał się wreszcie Newman jakimś nieswoim głosem.

— Zgadzam się z góry na wszystko — odparł Beresford, odzyskując na powrót równowagę.

— Posiadam własny pogląd na życie — tłumaczył Newman — i pojedę z panem tylko w roli służącego.

— W roli służącego? — zawołał Beresford. — Co pan wygaduje?

— Pojadę jako pański służący — powtórzył Newman cicho, lecz stanowczo. — Będzie pan moim chlebodawcą. A gdy pan będzie miał mnie dosyć, oddali mnie pan od siebie.

— Głupstwa pleciesz, przyjacielu — zaprotestował Beresford.

— Mówię tak, jak myślę—odparł Newman.—Miał mi pan dać robotę, lecz sam pan był wystawiony na dudka. Teraz pragnę u pana pracować.

— Po tak długim czasie, kiedy żyłem na pański koszt — uśmiechnął się Beresford.

Newman odwrócił się od niego i zakaszłał znacząco.

— Niech się pan decyduje—rzekł po chwili.—To są moje warunki. Może mnie pan zabrać, albo też zostawić tutaj.

— Więc przyjmuję te warunki — oświadczył Beresford. Uniósł się na poduszkach. — A teraz wyjdźmy z tej przekłętej dziury i zatelegrafujmy do Anglii! Musi pan pójść ze mną, sam nie dam sobie rady. Gotów jestem zemdleć po drodze, albo popełnić jakieś głupstwo.

— Idę z panem — zaofiarował się Newman.

Otworzył drzwi i wolno zeszli obydwaj po wąskich kręconych schodach, po czym minęli ciemny korytarz i wydostali się na wąską uliczkę dzielnicy Lambton End.

Przybycie do Lacy Denham było dla Beresforda wielką uroczystością. Sam dom nie uległ żadnej specjalnej zmianie. Stary Crawley otworzył mu drzwi uroczyście i powitawszy swego nowego pana z radością, wprowadził przybyłych do hallu.

Beresford w towarzystwie Newmana przestąpił próg swego rodzinnego domu. Panowała tu dziwna atmosfera. Wszędzie było sprzątnięte, wszędzie błyszczało czystością. Wiedziony dziwnym impulsem, chciał biec po schodach do dawnego pokoju swej matki, lecz zaraz przypomniał sobie, że tam i tak nikogo nie zastanie. Zaczęła go męczyć śmiertelna cisza, panująca w całym mieszkaniu i nawet przez chwilę odczuwał brak płaczu dziecka, do którego przyzwyczał się na Lambton End.

W pewnej chwili, przejęty rozpaczą, zwrócił się do starego Crawley'a.

— To jest mój przyjaciel, pan Newman. Będzie moim sekretarzem. Proszę przygotować dla niego pokój. A gdzie będziemy mogli zjeść śniadanie?

— W jadalni, sir — odparł Crawley. — Śniadanie jest już gotowe. Beresford skierował się ku schodom.

— Dobrze. Musimy się trochę umyć. Chodźmy, Newman! Pokażę panu pański pokój.

Newman poszedł za nim w milczeniu. Weszli na schody i przystanęli u drzwi, prowadzących do dawnych pokojów matki Beresforda. Beresford pobladł nagle.

— Chciałbym tam wejść — wyszeptał. — Niech pan idzie ze mną.

— Chętnie — odparł Newman.

Weszli. Ogarnęły ich kompletne ciemności. Okna były zamknięte i zasłonięte storami. Panowała tu niezmacona cisza.

— Na miłość boską, trochę światła — zawołał Beresford, usiłując podejść do okna.

— Ja to zrobię, synu — usłyszał za sobą spokojny głos Newmana I po chwili promienie słoneczne wniknęły do pokoju.

Beresford padł na fotel przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie przypuszczał, że wzruszy go tak powrót do domu. Newman dotknął jego ramienia.

— Musi pan teraz zjeść śniadanie — zauważył. — Chodźmy, sir! Niech się pan umyje.

Beresford podniósł głowę i rozejrzał się ze smutkiem po pokoju. Twarz jego była wychudzona.

— Teraz jest gorzej, niż wówczas, kiedy stąd wyjeżdżałem — rzekł.

— Nie trzeba się poddawać! — uspokajał go Newman. — Ten pokój będzie kiedyś pańską małżeńską sypialnią.

— Nie wiem, czy się kiedyś ożenię — wyszeptał Beresford. — Może czułbym się lepiej, gdyby tu przy mnie była Sally.

— Sam pan sobie utrudnia życie — wtrącił Newman. — Dlaczego nie kazał pan temu sługusowi wywietrzyć tego pokoju? Wówczas czułby się pan tu inaczej. — I jego widocznie przytłaczała duszna atmosfera tej wspaniałej komnaty.

Beresford westchnął głęboko.

— Tak, ma pan słuszość. Nie należy uciekać od życia. Wątpię nawet, czy moja matka byłaby z tego zadowolona.

Joan na pewno pomoże mi się tutaj urządzić. Zawsze miała doskonale pomysły.

— Niech pan się z nią zaraz zobaczy — zaproponował Newman.

— Tak, pójdę tam zaraz po śniadaniu. — Twarz Beresforda nieco się rozjaśniła. Przyszła mu na myśl Sally i ciepła fala krwi napłynęła do serca. Tę pustkę należy czymś wypełnić. — Chodźmy! — zawołał. — Trzeba zjeść śniadanie! A potem pojedę i przywiozę ją tutaj.

Wyszli z pokoju, lecz na korytarzu Newman go zatrzymał.

— Najlepiej będzie, gdy zjem śniadanie w służbowym pokoju — rzekł.

Beresford odwrócił się doń z oburzeniem.

— Na nic podobnego nie pozwolę. Przecież jest pan moim sekretarzem!

— Nie wiem, czy to odpowiednie dla mnie zajęcie — upierał się Newman. — Nadawałbym się raczej do czyszczenia butów.

Beresford poklepał go po ramieniu.

— Dajmy temu spokój, stary! Znajdę dla pana odpowiednie zajęcie. Człowiek, który mnie wyrwał z tego piekła, nie może przecież być moim lokajem. Chodźmy na-śniadanie!

Newman spoglądał nań z serdecznym uśmiechem.

— Dobrze, sir! — odparł. — Będziemy grali nadal komedię. Pojedzie pan teraz do swoich przyjaciółek, a o mnie proszę się nie troszczyć!

Beresford zaśmiał się.

— Tak, chciałbym je jak najprędzej zobaczyć. Joan i Sally. Brakło mu w tej chwili słów. Nie wyobrażał sobie tego spotkania. Jedli śniadanie w mrocznej jadalni, umeblowanej nieco sztywno, obsługiwani przez milczącego Crawleya. Jeżeli nawet służący dostrzegł coś niezwykłego w twarzy gościa Beresforda, to nie dawał tego poznać po sobie. Zbyt dawno był już na służbie i zgadzał się ze wszystkim, co mu rozkazywali jego chlebodawcy.

— Czy będzie panu potrzebne dziś po południu auto, sir? — zapytał przyciszonym głosem po skończonym śniadaniu.

— Tak, mój drogi, koniecznie — odparł Beresford, po czym zwrócił się do Newmana. — Pojedzie pan ze mną, przyjacielu? Newman zajęty był napełnianiem swej nieodstępnej fajki.

— Wolałbym nie, serdecznie dziękuję! Chciałbym rozejrzeć się po ogrodzie! Nie pójdę zbyt daleko.

Beresford zaśmiał się i wstał.

— Dobrze. Życzę wesołej zabawy! — Teraz zwrócił się do Cra-wleya _ Proszę uważać, żeby pan Newman miał wszystko, czego pragnie! Czy wiecie coś o sir Richardzie Harbridge'u i o paniach?

— Ostatnio nic nie słyszałem, sir — odparł Crawley — chociaż mam wrażenie, że panna Joan jest w domu.

— Tylko panna Joan? — przez chwilę twarz Beresforda posmutniała. — Dobrze. Każcie mi podstawić auto, jestem gotowy. Chodził po pokoju w niecierpliwym oczekiwaniu, podczas gdy Newman rozparty na krześle, palił swą fajkę z widocznym zadowoleniem.

Co będzie, jeżeli Sally wyjechała? — wyszeptał wreszcie Beresford. — Powinienem był napisać, albo zatelegrafować.

— Sądzę, że nie wyjechała daleko — wtrącił Newman. — Proszę się nie martwić, bo znowu pana będzie głowa bolała!

— Wcale się nie martwię — oznajmił Beresford, lecz mówił niespokojnie i niecierpliwie patrzył wciąż w stronę drzwi. — Głupi byłem, że nie telegrafowałem.

Wzrok jego błędził po pokoju i zatrzymał się przez chwilę na portrecie, wiszącym nad kominkiem.

— Widzi pan — rzekł nagle. — Spójrz pan na tego jegomościa. Zawsze myślałem, że to jest mój ojciec.

Newman podniósł wolno głowę i spojrzął na portret.

— Tak panu wmawiali, prawda?

— Tak, a on był tylko moim dalekim kuzynem. — Nuta goryczy zabrzmiała w głosie Beresforda. — Został zabity na samym początku wojny. Dużo myślałem o nim, gdy byłem jeszcze dzieckiem i postanowiłem brać z niego przykład. Dużo bym dał teraz, gdybym mógł znać mego ojca. Moja matka prosiła, abym go odnalazł. Kochała go.

Ociężałe powieki Newmana przymknęły się.

— Przypuszczam, że wyleczyła się z tej miłości — rzekł sucho. — Kobiety przeważnie zapominają.

— Nie, ona nie zapomniała. — Beresford wypowiedział te słowa przyciszonym głosem. — Gdy wyszedł z więzienia po piętnastu latach, wrócił do niej, a ona kazała mu wyjechać dla mego dobra. Jednak w jej sercu pozostała rana. Nigdy już od tej chwili nie wróciła do zdrowia. Oddałaby potem wiele, aby wrócił.

Newman zawisł znów spojrzeniem na swojej fajce.

— Uważam, że najlepiej będzie, gdy pan przestanie wspominać swego ojca — rzekł. — Może się pan kiedyś ożeni i będzie pan miał syna. Takie wspomnienia zaszczytu nie przynoszą.

Przestąpienie bramy dworu Harbridge było niejako wkroczeniem w odległą już przeszłość. Beresfordowi przypomniła się nagle Persis i ujrzał wyraźnie wizję jej prześlicznej twarzyczki, oraz błady uśmiezek na karminowych usteczkach. Jakżeż ona z niego drwiła, jak igrała z nim ta na pozór naiwna i nieświadoma życia dziewczyna! A jaki on był

głupi! Czyż mógł porównać Persis z pocziwą, rozsądną i wyrozumiałą Sally?

Szedł wąską alejką ogrodową i w oddali dostrzegł dom mieszkalny. Wyglądał tak samo, jak jawniej, obszerny, wygodny i solidnie zbudowany. Miał wrażenie, że za chwilę wybiegnie do niego Sally, a za nią Ben. Ben zawsze witał go tak radośnie.

Lecz nikt nie wyszedł na jego spotkanie. W samotności podszedł do drzwi wejściowych. Popołudnie było ponure i chmurne, co również przyczyniło się do przygnębienia Beresforda. Wszystko wyglądało tak samo, a jednak we wszystkim widać było pewne zmiany. Energicznym ruchem przycisnął guzik dzwonka.

Nastąpiła cisza, podczas której Beresford spoglądał na wysokie drzewa czując w sercu dziwny niepokój. Potem usłyszał odgłos kroków, drzwi się otworzyły i na progu ukazała się młoda pokojówka.

— Czy sir Richard jest w domu? — zapytał.

— Nie, sir, wyjechał — odparła. — I pani także. W domu jest tylko panna Joan.

— Tylko panna Joan! — powtórzył, nie mogąc jednak zapytać o Sally. — A gdzie jest? Czy mogę ją zobaczyć?

— Przypuszczam, że jest w stajni — odparła dziewczyna. — Czy zna pan drogę, sir? Może mam pana zaprowadzić?

— Nie, znam drogę. Sam pójdę — rzekł Beresford.

Dziwne, że nawet ta obca służąca wydawała mu się czymś w rodzaju złego znaku.

Odwrócił się i począł iść w stronę stajennego podwórza. Wszystko uległo tu jakiejś dziwnej zmianie w przeciągu tych sześciu miesięcy. Wiedział, że sam także się zmienił i postarzał. Ale Joan na pewno będzie taka sama!

Miał słuszość. Zastał ją na podwórzu stajennym, w sportowych spodniach, z pejczem w ręku.

Dostrzegła go natychmiast i podbiegła doń z błyszczącymi oczami, z serdecznym powitaniem.

— Berry! Ledwo cię poznałam! — zawołała. — Mój drogi, jak ty wyglądasz?

Wyciągnęła doń obydwie dłonie, które on zamknął w gorącym uścisku. Głos uwiązł nagle w krtani Beresforda. Stał przez chwilę, staczając walkę z samym sobą.

— Gdzie Sally? — wykrztusił wreszcie. Zauważył, że twarz jej nieco spochmurniała.
— Nie dostałeś listu? — zagadnęła. — Obawiałam się, że nie dostaniesz. Sally jest w Ottawie.
— W Ottawie! — zaczął się jąkać przy tych słowach. — Joan... na miłość boską... — siły go opuściły. Podniósł rękę do czoła.

Joan objęła go ramieniem.

— Wejdz i usiądź! — rzekła. — Jesteś bardzo osłabiony prawda?

— To głupstwo — usiłował mówić, lecz język miał dziwnie sztywny. Joan trzymała go wciąż w ramionach, po czym wprowadziła do

wnętrza stajni i zmusiła, aby usiadł.

— Byłeś chory — zauważyła. — Możesz mi o tym nie mówić! Sama widzę. Szczęście ci nie sprzyjało. Bardzo mi przykro, że Sally wyjechała, ale nie mogłam jej zatrzymać.

Pochylił się nad nią z rozpaczą.

— Zerwała ze mną? — zapytał wreszcie.

— Lękam się, że tak — odparła Joan. — Pojechała do stryja. Widzisz—mówiła wolno, jakby nie chcąc mu zadać bólu — twój ostatni list był raczej policzkiem, bo oczekiwała od ciebie listu miłosnego. Ty słusznie myślałeś, ale wynikło nieporozumienie. Sądziła, żeś potraktował ją jak głupie, romantyczne dziecko, a nie jak dojrzałą kobietę, przygotowaną na wszystko. Doszła do wniosku, że była zbyt naiwna i zbyt impulsywna. Ona jeszcze taka młoda! Potem, kiedy admirał umarł i dowiedziałyśmy się, że otrzymasz spadek, Sally nie chciała już czekać, chociaż zatrzymywałam ją wszelkimi siłami. — Głos Joan nieco zadrżał. — Tłumaczyłam jej, że przemawia przez nią fałszywa duma, że przecież tyją kochasz i że powinna się zdobyć na trochę ciepłości. Lecz nie chciała mnie słuchać. Twierdziła, że nie chce pójść w ślady Persis i wyjść za męża dla pieniędzy, że utraciła wiarę w twoją miłość, a ponieważ i jej uczucie wygasło, więc uważa, że nie ma na co czekać. Zawsze marzyła o wyjeździe do Kanady, a teraz nagle nadarzyła jej się sposobność. — Z piersi Joan dobył się głuchy szloch. Odwróciła się od Beresforda. — Ja powinnam była tam jechać, nie ona. Właściwie mnie zapraszali. Lecz ponieważ Sally była taka zrozpaczona, ustąpiłam jej swego miejsca. Najgorsze jest to — zadrżała znowu — że nie czyniłam tego z poświęceniem. W gruncie rzeczy nie miałam ochoty wyjechać z domu.

— Ach, Joan! — Beresford podniósł głowę, pokonując fizyczny ból w czaszce, pod wpływem którego kompletnie tracił przytomność. — Uspokój się! To nie była twoja wina. Jestem zadowolony, żeś nie wyjechała. Trzeba było jej pozwolić jechać, skoro tak tego pragnęła. — Umilkł, ściskając gorąco jej rękę. — Nie płacz, Joan! Nie mogę na to patrzeć.

— Kochany biedaku! — szepnęła Joan i znowu podtrzymała go swoim ramieniem. — Jesteś bardzo słaby. Powinieneś wypocząć. Nie mów przez chwilę, dopóki ci siły nie wrócą!

Przytuliła łagodnie jego głowę do swej piersi i trzymała go tak w macierzyńskim objęciu. Opanowała już własne zdenerwowanie i słyszała wyraźnie bicie własnego serca. Ta macierzyńska pieśczoła zdawała się przynosić mu ulgę.

— Jestem straszny osioł — wyszeptał wreszcie. — Tak mi przykro. Teraz już lepiej, dziękuję. Joan, czy jesteś pewna, że to zupełnie skończone? Czy nie mógłbym jej tego wytłumaczyć? Może wróci do mnie. Jestem pewny, że wróci.

— Ja nie jestem pewna — odparła Joan. — Wiem, że przestała cię kochać. Pragnie być sama i uważam, że ma słuszość. Mogę jej posłać wiadomość o twoim powrocie, a jeszcze lepiej będzie, gdy sam napiszesz. Gdybyś pojechał do niej, na pewno by nie była zadowolona. Boi się własnego temperamentu. Pragnie się uspokoić: Byłoby to egoistyczne z twojej strony, gdybyś jej zakłócał ten spokój. — W słowach jej brzmiało przeświadczenie, do którego przyszła prawdopodobnie po długich rozmyślaniach. — Jednocześnie nie sądzę, żeby działała bez zastanowienia — dorzuciła po chwili. — Dlatego też pozwoliłam jej wyjechać.

Beresford westchnął głęboko i wstał.

— Wiem, że masz słuszość, zresztą, jak zwykle. Nigdy nie byłem dla niej dobry. Jestem kompletnym wykolejencem. Dla nikogo nic dobrego nie uczyniłem. Jak mogę żądać, żeby ktoś mi wierzył?

— O, nie mów tak! — zaprotestowała Joan. — Nie ze swojej winy tak postępowałeś. Zmieniłbyś się, gdybyś pozostał tam dłużej.

— Nie wątpię — odrzekł. — Prawdopodobnie umarłbym. Wróciłem tylko dzięki Newmanowi.

— Newmanowi? — zdziwiła się Joan.

— Wiesz, temu człowiekowi, do którego mnie skierowałaś. Odnalazłem go zaraz. To on właśnie powiedział mi, że mój ojciec umarł.

— Ach, Berry! Czy byłeś bardzo rozczarowany? — zapytała z serdecznością.

— Z początku tak. Później, sam nie wiem, tak wszystko na mnie nagle spadło. Straciłem całe pieniądze. O niczym już nie myślałem. Nie miałem już potem żadnych szans. Newman jest człowiekiem, którego byś polubiła, Joan. Przywiozłem go do domu, abys go mogła zobaczyć.

— O, więc jest tutaj z tobą? — zawołała.

— Nie tutaj. Nie chciał tu przyjechać. Został w Lacy Denham. Pojedź tam ze mną, to go poznasz!

Joan rozejrzała się dokoła.

— Muszę najpierw skończyć robotę. Wiesz, że ojciec wyjechał. Obydwoje z mamą wyjechali na sześć miesięcy do Indii, aby odwiedzić piękną Persis i być na jej ślubie, który ma się odbyć w Madras po świętach Bożego Narodzenia. Zaręczyła się z jakimś wysokim dygnitarzem.

— Biedny człowiek! — westchnął Beresford. — A ty zostałeś zupełnie sama!

— Tak, zupełnie sama — odparła Joan weselej. — Gospodaruję, aby ojcu trochę ulżyć. Stajnię zajmuję się sama przy pomocy tylko jednego chłopca i dwa razy w tygodniu poluję. Ani ja, ani ojciec, nie chcemy się rozstać z końmi.

— Oczywiście, że nie! — pochwalił Beresford. — Może ci będę mógł w czymś pomóc?

Przesłała mu dobrotliwy uśmiech.

— Wyglądasz tak, jakbyś łaknął odpoczynku. Strasznie wychudłeś.

— O, daj spokój. Utyję wkrótce. Ale mów dalej! Opowiedz mi coś o sobie. Pragnę wiedzieć o wszystkim.

— Niewiele mam do opowiadania — rzekła Joan. — Przedzieliłam mieszkanie na dwie części i zamknęłam wszystkie pokoje z wyjątkiem czterech, w których się wygodnie rozgościłam. Na wiosnę zajmę się szukaniem żony dla Bena i mam zamiar założyć psiarnię. Pragnę koniecznie coś robić. Nie mogę przecież wiecznie być na karku ojca.

— Jesteś nadzwyczajna — pochwalił Beresford. — Może ja ci w czymś pomogę?

— Nie, jesteś jeszcze zbyt słaby — odparła Joan stanowczo. — Posiedzisz sobie spokojnie i poczekaasz aż ja skończę i będę mogła pojechać z tobą na herbatę.

— Więc pojedziesz ze mną? — zawołał radośnie.

Spojrzała nań z serdecznością. — Ależ bardzo chętnie. Czy tam się coś zmieniło, Berry?

— Właśnie chciałem z tobą pomówić o pewnych zmianach—odparł. — Ale jeszcze nie teraz. Pomówimy później, będziemy mieli dość czasu

Zajęła się swą pracą, a on obserwował ją z daleka ze wzruszeniem. Tylko jedna Joan nie zawiodła go nigdy. Ta dziewczyna musiała wzbudzić w każdym bezgraniczne zaufanie. Nie wyobrażał sobie, aby mógł kiedyś nie pragnąć towarzystwa Joan.

Nawet konie podniecone były jej obecnością i posłusznie spełniały wszystkie jej polecenia. Głaskała je czule po lśniących szyjach. Beresford pomyślał, że pragnąłby teraz być jednym z tych głaskanych przez Joan wierzchowców.

— Ale ty właściwie nigdy nie jesteś sama — zauważył w pewnej chwili.

— To prawda—uśmiechnęła się Joan. — Mam przecież tyle roboty!

— Dobrze, że jesteś zdrowa, ale gdybyś tak zachorowała...

— O, wtedy sytuacja uległaby pewnej zmianie — odparła, poprawiając coś przy żłobie swego ukochanego Lightfoota. — Gdybym zachorowała, musiałabym mieć kogoś przy sobie.

— Wówczas przyjąłabyś nawet moje usługi — uśmiechnął się Beresford z goryczą.

Joan pochyliła się znowu nad żłobem.

— Czy jestem zdrowa, czy chora, zawsze najchętniej przebywam w twoim towarzystwie, mój drogi — odparła.

A ponieważ te słowa wypowiedziała Joan, wiedział, że tchną one szczerą prawdą.

Dopiero, gdy jechali do Lacy Denham, Beresford wspomniał o wuju.

— Przypuszczam, że wiedziałaś coś o nim? Wiedziałaś, że był chory?

— Owszem, wiedziałam — odparła Joan. — Ale nie często zaglądałam do Lacy Denham. Po twoim wyjeździe nie zgadzaliśmy się pod wieloma względami.

— Chceiz powiedzieć, że stawałaś po mojej stronie? Joan, wiedziałem, że mnie będziesz bronić—mówił ze wzruszeniem. — Przypuszczam jednak, że twój wpływ niewiele pomógł.

— Nie mam pojęcia — rzekła Joan. — W każdym razie nie mogłam go namówić do tego, aby wezwał cię z powrotem. Zresztą katastrofa nastąpiła tak nagle, że nie było już czasu.

— Biedny stary! — westchnął Beresford. — Lubiłem go bardzo na swój sposób, chociaż nigdy jego postępowania nie rozumiałem.

— Orientowałam się w tym. Zawsze między wami istniała jakaś tajemnicza przeszkoda, która was od siebie oddalała. Postępował niesłusznie, bo ty przecież miałaś prawo wiedzieć o wszystkim.

— W każdym razie ten sekret był świetnie zorganizowany — zauważył Beresford, starając się zmienić temat rozmowy.

Zaczął po chwili mówić o posiadłości Lacy Denham.

— Dużo jest tam do roboty. Trzeba wiele rzeczy naprawić i zmienić.

— Chętnie ci pomogę — zaofiarowała się Joan.

— Dziękuję ci! Wiem, że mi chętnie pomożesz. Tak samo zresztą pomoże mi Newman. Niezwykle poczciwy z niego człowiek. Pragnę, żebyś go poznała.

Zaczął jej opowiadać o swym australijskim przyjacielu, a ona słuchała z ciekawością i na gawędzie tej zszedł im czas aż do samego Lacy Denham, do którego dotarli, gdy już zapadał szary mrok.

— Panuje tu pustka, nieprawdaż? — zauważył Beresford, gdy zatrzymali się przed domem mieszkalnym.

Dłoń jej przez chwilę spoczęła na jego ramieniu.

— Rozchmurz się! Nie zawsze tak będzie.

Lecz on w tej chwili nie mógł się jakoś rozchmurzyć i wszystko dokoła wydawało mu się szare i puste.

Weszli do obszernego hallu, on zaś zaczął wołać Newmana, a to głośne wołanie powtarzało echo w każdym niemal kącie.

Usłyszeli w odpowiedzi głos Newmana, głęboki głos od strony jadalni. Beresford skierował się w tę stronę pośpiesznym krokiem.

— Hallo, stary przyjacielu! Gdzieżeś się zakopał! Siedziałeś tutaj całe popołudnie?

Wielka postać Newmana ukazała się w drzwiach.

— Nie, wychodziłem trochę — odparł — ale już wróciłem. Naj-

bardziej lubię ten pokój. Przyjemniej tu, niż we wszystkich innych. Obszedłem cały ogród dookoła... — Urwał nagle, dostrzegłszy Joan i resztę zdania wypowiedział niedosłyszalnym szeptem. Beresford ujął dziewczynę za rękę.

— Joan, to jest Newman, mój serdeczny przyjaciel. Newman, stoi przed panem panna Joan Harbridge.

Joan wyciągnęła rękę swobodnie, a oczy jej roziskrzyły się radością przyjacielskiego powitania.

— Ogromnie mi miło pana poznać — rzekła. — Dużo słyszałam o panu i serdecznie panu winszuję.

Newman pochylił się niezręcznie nad jej dłonią.

— Nie pojmuję, czego mi pani winszuje — zauważył.

— Nie pojmuję pan? — pokryła głośnym śmiechem chwilowe zamieszanie. — Tylko tego, że znalazł pan w Beresfordzie oddanego przyjaciela.

— Ach, tak! — głos Newmana nabrał pewności siebie. — Nie mogłem przecież pozostawić go samego w takiej opresji.

— Dajcie już spokój tym komplementom! — zaprotestował Beresford. — Chodźmy lepiej do salonu i napijmy się herbaty.

— Może byśmy herbatę wypili tu — zaproponowała Joan, wchodząc do jadalni — tu przy kominku! Zgadzam się zupełnie z panem Newmanem, że w tym pokoju jest stanowczo najprzyjemniej.

Wyciągnęła ręce do ognia. W ruchach jej nie było nic sztucznego. Chwilowe zmieszanie Newmana minęło. Podszedł i stanął przy niej.

— Może by pani mogła nam udzielić kilku praktycznych rad — odezwał się. — Przyjechałem tu właściwie pod fałszywym pretekstem.

— Istotnie? — Joan obrzuciła go wymownym spojrzeniem. Newman ruchem głowy wskazał Beresforda.

— Pragnąłem zostać jego służącym, lecz widocznie niezdolny jestem i do tej pracy, bo postanowił dać mi urząd sekretarza.

— Och, przestańcie! — zawołał Beresford, otaczając ramieniem szyję olbrzyma. — Słuchaj, Joan! Ten pan, którego tu widzisz, przygarnął mnie jeszcze dawniej, niż ja jego, a teraz robi jakieś grymasy.

- Nie! — zawołał Newman. — Nie, sir! Nie ma pan słuszności. Muszę przecież pracować, aby zarabiać na swe utrzymanie.

— Więc jako mój sekretarz... — zaczął Beresford.

Newman przerwał mu.

— Czyż ja wyglądam na sekretarza? A czy panu w ogóle sekretarz potrzebny? Czy szukałby pan sekretarza, gdyby mnie tu nie było?

— To jest zupełnie inna sprawa — odparł Beresford. — Potrzebny mi jest stanowczo jakiś towarzysz. Nie mógłbym mieszkać tu, nie mając do kogo przemówić słowa.

— Ależ pan się wkrótce ożeni — argumentował Newman. — Niepotrzebny panu wówczas będzie...

Beresford nie pozwolił mu dokończyć.

— Panie Newman! Może później omówimy ten temat? Będziemy przecież mieli dość czasu. — Poklepał olbrzymą po ramieniu i nagle na jego twarzy odmalowało się zmęczenie.

— Czy mogę zadzwonić po herbatę? — zagadnęła Joan, przyciskając guzik dzwonka.

— Niech pan siada, sir! — rzekł Newman łagodnie. — Nie wrócił jeszcze zupełnie do zdrowia — dodał zwracając się do Joan.

— Tak, wiem o tym — odparła. — Chodź tu Berry! Siadaj i nie denerwuj się! Wpadłam na pewien pomysł.

Potrzebny ci jest stanowczo administrator, który by się zajął majątkiem, dopóki ty nie nabierzesz Sił.

— Na Boga! Świetny pomysł! — zawołał Beresford. — To będzie doskonale zajęcie dla Newmana. Chyba tego zechce się pan podjąć.

— Nie mogę złożyć żadnych referencji — odparł Newman ponuro.

— Referencje nie są mi potrzebne — uśmiechnął się Beresford. — Człowiek, który umierał z głodu, aby tylko mnie utrzymać przy życiu, na pewno nie potrafi zawieść mego zaufania.

— Dajmy spokój! Dajmy spokój! — uspokajał go Newman. — Nie jestem znowu taki czysty, jak lilia.

Joan wybuchęła głośnym śmiechem i zaraziła nim obydwóch swych towarzyszy.

— Jest pan zbyt surowy dla samego siebie — rzekła do Newmana. — Będzie pan pracownikiem do wszelkich poruczeń, dopóki Beresford nie będzie mógł się zająć prowadzeniem swej posiadłości.

— Bardzo lubię takie różnorodne zajęcia — mruknął Newman. Zasiadli do herbaty w przyjemnym nastroju, który Joan wciąż

podtrzymywała. Beresford silił się na wesołość, lecz fizyczne zmęczenie coraz wyraźniej malowało się na jego twarzy. Obserwująca go ukrad-

kiem Joan doszła do wniosku, że wyglądał o wiele poważniej, niż wówczas, gdy go ostatni raz widziała i chociaż brał czynny udział w rozmowie, najwidoczniej czynił to z wielkim wysiłkiem.

Zdając sobie z tego ^wszystkiego sprawę, postanowiła wcześniej wrócić do domu, aby Beresford mógł wreszcie odpocząć.

— Ale odwiedzisz nas znowu?—zagadnął Beresford przy rozstaniu.

— Może te odwiedziny będą się powtarzały zbyt często — odparła serdecznie.

— Zawsze jesteś tu mile widziana! — rzekł, uśmiechając się bladym uśmiechem, który przeniknął aż do głębi jej serca.

Gdy wyszła, siedział jeszcze dłuższą chwilę na swym miejscu bez ruchu, podczas gdy Newman palił swą fajkę przy kominku. Trzask iskier był jedynym szmerem przerywającym ciszę, aż wreszcie Beresford westchnął głęboko, jakby wyrwany z chwilowego snu.

— Tak — rzekł — muszę do niej napisać.

— Do kogo? — zapytał Newman.

Beresford nie odpowiedział. Podniósł się ociężale.

— Jak się panu podobała Joan? — zapytał.

— Uważam, że jest urocza — odparł Newman z prostotą. Ledwie dostrzegalny uśmieszek przemknął po twarzy Beresforda.

— Tak. To niezwykła dziewczyna. Nie ma drugiej takiej. — Umilkł na chwilę, po czym dodał: — Zamierzam napisać do Sally. Gdybym nie był osłem, napisałbym już przedtem. Myślała, że przestałem ją kochać i uciekła do Kanady.

— Jakieś nieporozumienie — wtrącił Newman.

— Tak. Muszę ją ściągnąć z powrotem — Beresford wypowiedział te słowa ze smutnym uśmiechem. — Nie zrozumiała mnie, jest jeszcze taka młoda! Ale muszę jej to wszystko wytłumaczyć.

Skierował się do wyjścia, lecz zatrzymał go głęboki głos Newmana, który wyjął nagle fajkę z ust i zwrócił się doń.

— Gdybym ja był na pańskim miejscu, nie wypuściłbym tego drugiego ptaszka z rąk.

Beresford stał w milczeniu, patrząc nań zdziwionym wzrokiem.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał. Newman przymrużył nieco oczy.

— Przecież ta urocza dziewczyna jest tak blisko, nieprawdaż?

— Co takiego? — Beresford spojrział nań z niecierpliwością. — Ma pan na myśli Joan? Czy o niej pan mówi? Na miłość boską, człowieku! Ona by nawet nie spojrzała na mnie!

— A czy ją pan kiedyś o to pytał? — zagadnął Newman.

Lecz Beresford był już przy drzwiach. Wyszedł, jakby nie słyszał ostatniego pytania. Newman począł spokojnie pykać swą nieodstępną fajkę.

Beresford siedział w gabinecie swego wuja i pisał list do Sally, lecz pióro posuwało się dziwnie leniwie po arkuszu papieru. Może jedyną przyczyną tego było fizyczne zmęczenie, albo też to straszliwe uczucie duchowej samotności, które nie odstępowało go od chwili powrotu. Po prostu nie mógł znaleźć słów, wyrażających dokładnie myśli.

Zdawało mu się, że każde napisane zdanie było nieważne i w ciągu godziny siedział w zamyśleniu, pisząc, przekreślając i zastanawiając się, aż wreszcie pióro wypadło mu ze zdrtwiałych palców. Wsparł głowę na dłoniach i siedział bez ruchu.

Dużo czasu minęło, zanim Beresford sięgnął po nowy arkusz papieru, który znalazł w szufladzie biurka admirała. Znowu wziął pióro do ręki.

I jakby pod dyktando, nakreślił pośpiesznie kilka następujących zdań:

Moja Najdroższa Sally

Sam Bóg wie, że nie jestem wart Ciebie, ale jeżeli kochasz mnie jeszcze, to wróć do mnie, na miłość boską. Pragnę Cię mieć przy sobie.

Twój ten sam na zawsze

Beresford

Tym razem wreszcie nie było w liście nic sztucznego. Zdziwił się, że nie wpadł na ten pomysł już przedtem, lecz począł się zastanawiać, czy treść listu nie była zbyt dziecinna. W każdym razie napisał go i począł szukać w szufladzie koperty. Znalazł dwie. Jedna z nich była

opatrzona lakową pieczęcią. Odłożył ją, sięgając po drugą zupełnie czystą. Zaadresował ją po chwili namysłu do panny Sally Harbridge, zakleił i schował do kieszeni, przypomniawszy sobie, że o bliższy adres musi poprosić Joan.

Odetchnął z ulgą i poprawił się w fotelu. Zadanie było skończone. Na pewno Sally wróci. Wróci z pewnością, jeśli go jeszcze kocha. A jeżeli nie... Przesunął dłonią po czole, odczuwając znowu ten sam dotkliwy ból w czaszce. Ból stawał się coraz silniejszy, opanowywał prawie wszystkie jego nerwy, po czym ustąpił i nagle, jak przez mgłę Beresford przypomniał sobie o kopercie opatrzonej lakową pieczęcią. Musiała leżeć tu gdzieś w pobliżu, skoro ją przedtem zauważył. Sam nie wiedział dlaczego ta koperta przedstawiała dlań teraz taką wartość. Znajdował się jakby pod wpływem hipnotycznego snu. Otworzył oczy i zajrzał do otwartej szuflady. Koperta leżała na samym wierzchu, opatrzona lakową pieczęcią, pieczęcią nieboszczyka wuja. Położył na niej drżącą dłoń i odwrócił ją. Dostrzegł charakter pisma admirała. Koperta wyraźnie była zaadresowana do niego: Beresford Vane-Trafford.

Przejął go zimny dreszcz. Odczuł chłodny powiew, jakby gdzieś w pobliżu czyhała nań śmierć. Całkiem mimo woli wyjął z szuflady kopertę i rozerwał ją, lecz przez cały czas miał wrażenie, że wuj stoi tuż za jego krzesłem. W kopercie znajdował się list, który Beresford przeczytał jednym tchem.

Mój Drogi Beresfordzie

Mimo zamierzeń wydziedziczenia Cię, mianuję Cię jedynym moim spadkobiercą. Pragnąc być szczerym, muszę wyjaśnić, że stało się to wbrew memu życzeniu. W chwili słabości uległem wpływowi silniejszej ode mnie niewiasty, Joan Harbridge, której pragnąłem zapisać cały mój majątek. Zapewniła mnie, że stanowczo tego daru nie przyjmie i nie miałem powodu nie wierzyć jej słowom. W jaki sposób wpłynęła na mnie, trudno mi w tej chwili opisać. Prawdopodobnie sam się kiedyś o tym dowiesz.

Twój wuj

Edward Vanc-Trafford

209

Beresford przeczytał list do końca, po czym rozejrzał się po pokoju. Panował tu półmrok, pełen niewyjaśnionych tajemnic, a ręka która ten list pisała, leżała martwa w starym rodzinnym grobowcu, na wiejskim cmentarzyku. Beresford widział tylko mroczny pokój i odblask na ścianie, pochodzący od ognia rozpalonego na kominku. Potem usłyszał głośny odgłos kroków i na chwilę wstrzymał oddech. Opanował się jednak wkrótce, po czym zawołał głośno:

— Newman! Newman! Czy to pan?

Drzwi się nagle otworzyły i odpowiedział mu głos Newmana.

— Tak, to ja. Pan sobie czego życzył?

— Owszem. — Z westchnieniem ulgi Beresford wyrzekł te słowa. — Życzyłem sobie pańskiej obecności. Spójrz, stary przyjacielu! Zbliź się i przeczytaj ten list.

Newman podszedł do biurka.

— Czy nie można byłoby zapalić światła? — zapytał.

— Doskonały pomysł! — zwołał Beresford ze śmiechem. — Nie rozumiem, dlaczego o tym dotychczas nie pomyślałem.

Przekręcił elektryczny kontakt, a potem zbliżył się do kominka, przed którym Newman odczytywał list. Olbrzym spojrzał nań wreszcie.

— Czy to jest pański wuj, który niedawno umarł? — zagadnął. Beresford skinął głową z niepokojem.

— Całe nieszczęście — rzekł Newman — że nie możemy mu przesłać odpowiedzi. Gdyby to było możliwe, wiem już, co bym mu napisał. — Spojrzał na Beresforda i po chwilowym namyśle podarł list na drobne kawałeczki. — Brudny kawał! — mruknął, wrzucając strzępki papieru do ognia, po czym położył dłoń na ramieniu Beresforda. — Nie martw się, chłopcze! — rzekł. — Nikomu krzywdy nie wyrządziłeś.

Beresford uczynił ruch bezradności.

— A co z Joan? — zapytał.

Newman zawisł wzrokiem na jego twarzy.

— Lepiej nie mówić jej o tym! Byłoby jej przykro, gdyby się zorientowała, że pan wie o wszystkim.

— Ale, czy tak będzie uczciwie? — zaniepokoił się Beresford. — Czy możemy przystąpić do jakiejś pracy?

Newman przerwał mu z powagą:

— Wiem, co pan chce przez to powiedzieć, ale mówi pan, jak małe, niedoświadczone dziecko. Pozostawmy to lepiej czasowi. A jeżeli pan chce posłuchać mojej rady, sir, to położy się pan natychmiast do łóżka. Jest pan śmiertelnie zmęczony.

— Może to i słuszne — przyznał Beresford słabym głosem. — Serdeczne dzięki, Newman! Zawsze masz rację, stary przyjacielu. Chciałbym jednak zrozumieć, co to wszystko znaczy.

— Na pewno pan to kiedyś zrozumie — uspokajał Newman. — Pozostawmy coś niecoś przeznaczeniu! Ono samo odezwie się w odpowiedniej chwili.

Wypowiedziawszy tę uwagę, olbrzym wyprowadził Beresforda z pokoju i uważnie zamknął drzwi gabinetu, w którego ciszy kryło się tyle tajemnic.

Joan rzadko kiedy odwiedzała Lacy Denham, bo naprawdę miała bardzo mało wolnego czasu, Beresford za to kilka razy w tygodniu zaglądał do dworu Harbridge. Czasami zabierał z sobą Newmana, lecz przeważnie olbrzym prosił, aby go pozostawił w domu. Z energią przystąpił do prowadzenia interesów Beresforda i niemal przez cały dzień dozorował przy robotach polnych, naprawach i porządkowaniu rozmaitych rupieci, zdając potem dokładną relację swemu chlebodawcy.

Dziwne, że przeciwko temu dozorowi nikt w majątku się nie buntował. Niektórzy pracownicy nawet oddychali z ulgą, że wreszcie znalazł się taki kierownik, który coś niecoś rozumiał. Newman zmienił się również ogromnie i nikt w nim obecnie nie rozpoznałby dawnego australijskiego włóczęgi. Z nieustanną energią pracował od rana do nocy. Gdy przyjechał z Australii, nie było dlań właściwie żadnego stanowiska do objęcia, a teraz stał się osobą nie do zastąpienia. Nawet stary Crawley twierdził, że „Pan Newman musi być jednak szlachcicem”, a ponieważ przebywał już w rodzinie od trzydziestu lat, więc z jego zdaniem ogromnie się liczone.

We wsi nazywano Newmana „tym z Australii” i nigdy nie pamiętano jego nazwiska. Widziano go zawsze z nieodstępną fajką i dobrotliwym uśmiechem, którym zjednywał sobie serca wszystkich. Ci, którzy byli

Z nim w bliższym kontakcie, nie mieli doń żadnych urazów ani żalów. Uważany był za człowieka poczciwego i starał się nikomu nie sprawiać przykrości. Po skończonej pracy najchętniej siadywał w starym, skórzanym fotelu w jadalni, paląc fajkę i tonąc w głębokiej zadumie. Gdy był potrzebny Beresfordowi, ten zawsze wiedział, gdzie go ma znaleźć. Newman nigdy nikomu nie przeszkadzał i nigdy nie wtrącał się do cudzych spraw.

Częstokroć, chodząc po polach, wybierał się na dłuższy samotny spacer i od czasu do czasu zapuszczał się aż na tereny sąsiednich posiadłości.

Razu pewnego podczas takiego spaceru, przechodząc koło cmentarza, spotkał Joan, wracającą z pola w towarzystwie swego ukochanego Bena.

Spotkali się nieoczekiwanie przy małej furtce cmentarnej, dzielącej cmentarz od pobliskich pól i stanęli oko w oko, nie poznając się w pierwszej chwili.

Newman uchylił czapki, ustępując z drogi dziewczynie, lecz Joan stała bez ruchu. Po raz pierwszy zobaczyła go nie w obecności Beresforda.

— Więc to pan? — wyszeptała. — W pierwszej chwili byłam pewna, że stoi przede mną stary zakrystian Mason.

— Nie, to tylko stary Newman — odparł z dziwnym przekąsem. Nie uczyniła żadnego ruchu, który by zdradzał, że pragnie go

wyminąć, lecz stała, spoglądając nań przyjaźnie.

— Myślałam właśnie o panu — rzekła.

— O!?! — wybąknął Newman nieśmiało. Wyjął nawet z ust fajkę i trzymał ją w ręku.

— Niech pan sobie nie przeszkadza! — zawołała pośpiesznie. — Niech pan pali dalej! Bardzo jestem zadowolona z tego spotkania. Już kilkakrotnie chciałam zapytać pana o Beresforda.

Newman wetknął znowu fajkę w zęby i spojrzał na dziewczynę swym dobrotliwym wzrokiem.

— O co pani chciała zapytać? — zagadnął.

Joan usiłowała wyjaśnić, jak ktoś, przemawiający do przyjaciela.

— Biedny chłopak strasznie źle wygląda, wychudł ogromnie. Czy nie wraca powoli do zdrowia?

— Czuje się zupełnie dobrze, oczywiście, jeżeli unika zdenerwowania — odparł Newman.

— Tak, wiem o tym. Ale wygląda, jakby był schorowany. Humor mu także nie dopisuje.

— O ile mi wiadomo — wyszeptał Newman po chwili namysłu — ostatnio jakoś nie czuje się szczęśliwy. Może gdyby okoliczności się zmieniły, to jego stan zdrowia uległby pewnej zmianie.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zagadnęła. Wzrok jego błędził teraz po jej twarzy.

— Widzi pani — odezwał się wreszcie — jeżeli ktoś chce liczyć kurczęta przed wylęgiem, to musi być przygotowany na nieprzewidziane wypadki. Beresford czynił to zawsze i dlatego teraz musi za swoją lekkomyślność pokutować.

Joan skinęła głową ze zrozumieniem.

— Czy bardzo się rozczarował, gdy się dowiedział, że jego ojciec nie żyje? — zapytała po chwili.

Newman zaśmiał się cynicznie.

— Nie sądzę. Nie była to dla niego wielka strata. Zdał sobie wreszcie z tego sprawę.

— W każdym razie szkoda — westchnęła Joan. — Inaczej by się czuł, gdyby miał kogoś, kto by roztoczył nad nim opiekę.

— Kogoś nie przynoszącego najmniejszego zaszczytu. Spojrzała nań swymi pełnymi szczerości oczyma.

— To kwestia zapatrywań — rzekła. — Każdy człowiek może zrobić w życiu fałszywy krok, nie znaczy to jednak, żeby potem nie mógł się z tego wycofać.

Newman chrząknął znacząco.

— Pan się ze mną nie zgadza? — zapytała. Spojrzenia ich spotkały się na chwilę.

— Pani tak mówi, jakby się pani znajdowała po przeciwnej stronie muru.

Uczyniła pośpieszny ruch protestu, jakby te słowa dotknęły ją do głębi.

— Och, nie twierdzi pan chyba, że człowiek, który był w więzieniu, musi być potępiony na całe życie! — zawołała gorączkowo.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby słuchał słów dziecka.

— Pani nigdy nie będzie sprawiedliwym sędzią — zaznaczył.

— Niech pan tak nie mówi! — szeptała błagalnie Joan. — Chce pan, abym udała się natychmiast do Lacy Denham i wyjaśniła sytuację na miejscu?

Newman wybuchnął głośnym, nieprzyjemnym śmiechem.

— Nie. Na miłość boską, nie — zawołał.

— Wszystko głupstwo! — rzekła Joan, wracając do równowagi. — Absolutnie się z panem nie zgadzam. Jestem ogromnie zmartwiona, że... że ojciec Beresforda umarł.

— Obawiam się, że nie będziemy mogli powrócić go do życia — rzekł Newman.

Joan westchnęła.

— I ja mam takie wrażenie. W każdym razie zadowolona jestem, że Beresford znalazł pana. Jesteście serdecznymi przyjaciółmi, nieprawdaż?

— On jest moim chlebodawcą — mruknął Newman. Oczy Joan zabłyśły sympatią.

— Uważam, że miał szczęście — wtrąciła.

— Nie — zaprotestował spokojnie. — Szczęście nigdy nie szk>"ze mną w parze. Przypuszczam jednak, że jego szczęście wkrótce doń wróci. Już najwyższy czas w każdym razie.

— Może obydwójce się o to postaramy?

— Prawdopodobnie pani mogłaby tego dokonać, gdyby pani zadała sobie trochę trudu — mruknął Newman.

Spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Słyszał pan pewnie o mojej siostrze Sally! — zawołała. — Ale lękam się, że nic zmienić nie potrafię. Czy bardzo odczuł jej wyjazd?

Wzrok Newmana utkwiony był w tej chwili w przestrzeni.

— Nie mam pojęcia — odparł. — Nie moja rzecz, wtrącać się w takie sprawy.

Joan zdawała się już zabierać do odejścia, lecz zatrzymała się jeszcze chwilę.

— Sally była ogromnie impulsywna — wyszeptała. — Ona jeszcze taka młoda! Później na pewno żałowała.

— Wcale nie myślałem o Sally — mruknął Newman.

— Więc o kim pan myśli? — zapytała.

— Myślałem o takiej kobiecie — odparł, nie patrząc na nią — która każdemu mężczyźnie mogłaby dać szczęście. Kobieta ta zdołałaby dużo uczynić, gdyby się tylko orientowała w sytuacji.

— Istotnie? — zagadnęła Joan ze smutkiem. Skinął głową.

— Powiadają, że każda kobieta ma pewne szanse. Niektóre tylko korzystają z tego, inne przechodzą obok szczęścia.

— Nie wiem, czy to jest prawda — szepnęła Joan. Zwrócił się do niej, może zbyt porywczo.

— Może mi pani wierzyć — zawołał. — Najgorsze jest to, że niektóre kobiety spoglądają w daleką przestrzeń wówczas, gdy to, czego pragną, leży u ich stóp.

— O, tak pan uważa?

Znowu na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Newman mówił do niej tak, jak nigdy jeszcze nie mówił nawet do Beresforda.

— Jestem o tym przekonany — odparł. — Kobieta często nie orientuje się, że tuż obok znajduje się szczęście.

— A czy mężczyźni zawsze się orientują? — zapytała Joan. Oddychała teraz pośpiesznie, jakby staczała wewnątrz zaciętą walkę, lecz w spojrzeniu jej nie było zmieszania.

Zmieszanie to, dziwne co prawda, odmalowało się teraz na twarzy Newmana.

— Może mówię jak głupiec — rzekł z niechęcią. — Przecież to nie jest moja sprawa. Starzeje się człowiek. Nie należy interesować się sprawami innych.

Joan uśmiechnęła się. Twarz jej była teraz blada i zmęczona.

— Nie powiedziałabym tego — rzekła. — Nie wiem, czy pańskie życie jest już skończone.

— O, tak — rzekł z przeświadczeniem. — Moje życie skończyło się już dawno. Kobieta, która przyniosła mi szczęście, umarła wskutek zranionego serca. — Umilkł, błędząc wzrokiem po zamglonych polach. — Nie miała z czego być dumna! — dorzucił. — Pójdę już sobie.

Nie pożegnał się nawet, tylko spokojnym ruchem otworzył furtkę i wyszedł.

A Joan stała, jak zaklęta, spoglądając za jego oddalającą się postacią.

Minęło kilka tygodni, a od Sally nie nadchodziła żadna odpowiedź. Dopiero pewnego mglistego, grudniowego poranku Beresford znalazł od niej list w paczce przyniesionej z poczty i wsunął go do kieszeni, nie otwierając koperty. Postanowił najpierw przeczytać uważnie inne listy, lecz w gruncie rzeczy błądził po nich wzrokiem, nie orientując się w treści. List od Mortona! Przejrzał go pobieżnie. Coś o sprawach związanych z ostatnią wolą admirała, coś o planach na przyszłość! Powtórnie przeczyta ten list po południu. Nie było w nim nic takiego, co by posiadało specjalną wagę.

List Sally był w danej chwili najważniejszy. Czy pisała, że wróci do niego? Może była już w drodze? Prawie nie tknął podanego sobie śniadania, czekając z niecierpliwością na chwilę samotności. Lecz gdy już znalazł się zupełnie sam w gabinecie, przemierzył nerwowym krokiem jeszcze kilka razy pokój, zanim zabrał się do otwarcia listu. Wreszcie rozerwał kopertę i chociaż stał przed kominkiem, ogarnął go zimny dreszcz. O swym przeznaczeniu przeczytał zaraz w kilku pierwszych słowach.

Mój Drogi Berry!

Jak pięknie z twojej strony, żeś tak do mnie napisał! Ale dlaczegoś to uczynił? Wierzyłam w Twoje słowa. Ty także, nieprawdaż? I chociaż bolało mnie to z początku, przyzwyczaiłam się wkrótce do tej myśli. Widzisz, Berry drogi, Tyś nigdy nie był we mnie zakochany i nigdy by Ci to nawet na myśl nie przyszło, gdybym Cię sama nie sprowokowała. Przykro mi teraz, że to uczyniłam. Ty byłeś jedynym przystojnym chłopcem w okolicy, a gdy znalazłeś się w tej strasznej sytuacji, czułam, że gotowa jestem oddać życie za Ciebie. Potem jednak, gdy napisałeś do mnie z Australii, zorientowałam się, że popełniłam pomyłkę. Bo nie pisałeś w taki sposób, w jaki się pisze do dorosłej narzeczonej. Nigdy nie myślałeś o mnie inaczej, jak o małej, nierozumnej dziewczynce, a czy teraz mógłbyś uważać mnie za dorosłą? Raz

216

tylko jeden potraktowałeś mnie jak kobietę, lecz to była także pomyłka! Tak więc, Mój Drogi, okoliczności złożyły się całkiem rozsądnie. Jestem zadowolona, żeś otrzymał majątek po admirałe, lecz nie chcę go dzielić z Eobą, takjak Tyniechciałaśdzielićzenną swej nędzy. Sytuacja mniej więcej jest taka sama, nie uważasz? Tak samo będzie z mężczyzną, którego ja poślubię i z kobietą, z którą Ty się ożenisz. To zdanie przypomniało mi pewien ustęp z naszej ostatniej rozmowy. Ożeń się szybko, gdyż ja me mam zamiaru zostać starą panną, a przyrzekłam, że przed Tobą ślubu me wezmę. Życie tutaj bardzo mi się podoba i poznałam dużo ciekawych ludzi, przeważnie z Królewskiej Kanadyjskiej Konnej Policji. Są to wspaniali mężczyźni i pragnęłabym bardzo któregoś z nich poślubić. Ale teraz już nie będę prowokowała! Widzisz, że stałam się dorosła! Słyszałam, że piękna Persis omotała jakiegoś dygnitarza. Wcale nieźle na dzisiejsze czasy, chociaż sądzę, że jest to raczej rozczarowaniem dla mamy! Jakie szczęście, żeś Ty się wówczas z tego wycofał, mój drogi! Pozostała Ci teraz na pociechę tylko Joan, ale wątpię, czy ona zada sobie choć odrobinę trudu, aby się do Ciebie zbliżyć. Przy okazji proszę Cię, abyś jej pomógł w znalezieniu żony dla mojego drogiego Bena, bo pragnę, żeby wiódł stateczny żywot w małżeństwie, a' on biedak tak nie ma szczęścia w miłości. Bądź zdrów, drogi Berry! Życzę ci wszystkiego najlepszego i zaznaczam, że będę tańczyła do upadłego w dniu Twego ślubu, oczywiście, jeżeli mnie zawiadomisz o dniu i godzinie.

Moc serdeczności przyjmij od

Sally

PS. Mój drogi, zimowe sporty tutaj są nadzwyczajne. Czuję się tak, jakbym dotychczas nigdy nie żyła. Ślizgawka i saneczkarstwo to sport, który mi dodaje werwy.

A na boku małego arkusika wypisane było dużymi literami: Głowa do góry, Berry! Jestem pewna, że tak bardzo znowu nie cierpisz. Podniósł wzrok znad listu i dziwny dźwięk wydarł się z jego krtani,

który był jednocześnie śmiechem i westchnieniem. Tak więc skończył się ów sen i Sally wreszcie się wypowiedziała! Wbrew własnej woli przyznawał, że w wielu wypadkach słuszność była po jej stronie. Nie mógł zaprzeczyć, że niewiele trudu sobie zadał, aby tę jej miłość dziewczęcą utrzymać w trwałości, a ona wszakże nie należała do dziewcząt, które potrafią żyć wiecznie imaginacją. Była to więc jego własna wina. Przyznawał. Posiadał duże szanse, może szanse, które miały zaważyć na całym jego życiu, a pozwolił temu wszystkiemu odejść, przepuścił szczęście przez palce.

— Jakież osioł ze mnie! — mruknął z niechęcią. — Zasłużyłem na to. Podszedł do okna. Mgła zasłaniała krajobraz niby delikatna tiulowa

zasłona. Nie widać było przestrzeni. Takie było jego obecne życie; przysłonięte mgłą, wiodące do nieznanego celu. Wrócił do ognia. W każdym razie świadomość prawdy przyniosła mu ulgę, bo chociaż nie będzie żył nadal w ciągłej niepewności. Postanowienie Sally było konkretne i nie można było już w nim nic zmienić. Spojrzał jeszcze raz na list, po czym pochylił się i rzucił go do ognia.

— Żegnaj, Sally! — wyszeptał, przymykając na chwilę oczy, jakby chciał przypomnieć sobie jej gorące usta i namiętny uścisk ramion. Dfoga, mała Sally! Z taką prostotą ofiarowała mu niegdyś swe uczucie!

Nagle usłyszał w hallu odgłos kroków Newmana i wyprostował się. Czekala go praca.

Przez całe przedpołudnie, które wydało mu się wiekiem, usiłował zmuszać się do załatwiania bieżących spraw. Lecz po lunchu wyruszył na samotny spacer autem, a o zmroku znalazł się przed dworem Harbridge.

Spotkał Joan na schodach.

— Wracam właśnie ze stajni — rzekła, gdy podszedł do niej. — Jutro wybieram się na polowanie.

— Nie będzie ono takie łatwe — odparł. — Rzeka wezbrała, a w nocy na pewno będzie jeszcze padał deszcz.

— Nie roztopimy się przecież — zauważyła wesoło Joan. — Wejdz na chwilę do mieszkania!

Wszedł za nią i zapalił papierosa przy kominku w hallu, podczas gdy ona wybiegła, aby się przebrać do herbaty.

Gdy wróciła, herbata już była podana, więc zabrała się do pełnienia roli gospodyni domu.

— Szalona atrakcja była dzisiaj w Barnesfordzie — zauważyła. — Pojechałam po lunchu na starym Busbym i wyobraź sobie, że zdążyłam na sam początek przedstawienia.

— Jakiego przedstawienia? — zapytał. Spojrzała nań z tajemniczym uśmiechem.

— Odbywały się zaślubiny i to bardzo huczne, mogę cię zapewnić. Zgadnij, czyje!

Potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Zupełnie odwykłem od tego wszystkiego, co się tu dzieje od czasu, gdy wyjechałem do Australii.

Joan uśmiechnęła się znowu.

— Phil Croy brał ślub z córką starego Sayersa! Panna młoda była w bieli, a cztery druchny na czerwono, niebiesko, zielono i żółto, niczym tęcza. Pan młody był świeżo ostrzyżony i miał włosy specjalnie wypomadowane na tę uroczystość.

— Jakżeż ja nienawidziłem tego durnia! — rzekł Beresford. — A teraz mógłbym z nim stanąć nawet oko w oko.

— O, miał chłopak swoje zalety — szepnęła Joan tolerancyjnie. — Wielu rzeczy nauczyliśmy się od tego czasu, wiele rzeczy poznaliśmy, nie wyłączając samego Croya.

— Ale jednak wziął żonę ze swojej sfery. Niechaj będą szczęśliwi! — wtrącił Beresford.

— Daj im Boże! — zgodziła się Joan. — Przypuszczam, że odrobina szczęścia pozostanie i dla nas.

— Tylko nie dla mnie! — odparł, zarumieniwszy się nieco. — Miałem wiadomość od Sally. Przyjechałem tu, ażeby ci o tym powiedzieć. Odrzuciła mnie całkiem kategorycznie.

Joan przyjęła tę wiadomość bez zdziwienia.

— Lękałam się, że tak uczyni. Strasznie mi przykro. Beresford pił herbatę w zamyśleniu. Nie wiadomo dlaczego teraz,

kiedy powiedział o tym Joan, było mu jakoś lżej na sercu.

— W gruncie rzeczy była to moja wina — odezwał się wreszcie. — Teraz widzę, że zasłużyłem na to.

Joan zawisła spojrzeniem na rozpalonych główniach na kominku.

— Możesz gniewać się na mnie za to, co ci powiem—wyszeptała. — Ja osobiście nie sędzę, abyście obydwójce to rozstanie tak głęboko odczuli.

— Masz najzupełniejsze prawo do wypowiedzania tego, co myślisz — rzekł. — Nie przeczę, że masz odrobinę słuszności. Z początku przykro mi było, lecz teraz już wyleczyłem się z tego nieco. Przyjemne jest uczucie poddania się przeznaczeniu.

Spojrzenie Joan spotkało się na chwilę z jego wzrokiem. W oczach jej gorzał jakiś niesamowity płomień.

— Jesteś rozbijającą szczerą — zauważyła przyciszonym głosem. — Nigdy nie przypuszczałam, że tak mi to wytłumaczysz.

Zaśmiał się, aby ukryć chwilowe zażenowanie. Pochwała z ust Joan była rzeczą niezwykle rzadką.

— Mam wrażenie, że zestarzałem się trochę — rzekł. — W każdym razie już po raz trzeci nie popełnię takiego błędu.

— Nie byłabym wcale zdziwiona — rzekła Joan z uśmiechem — gdybyś przy trzecim wyborze odnalazł wreszcie swe szczęście.

Rankiem zamiast mgły począł padać deszcz i Beresford spoglądał przez okno z grymasem niechęci na twarzy.

— Pięknej pogody już nie będziemy mieli — zauważył.

— Nie pojedzie pan chyba na polowanie — zagadnął Newman.

— Nie, ale Joan pojechała. Przykrą będzie miała drogę. Mam nadzieję jednak, że nic złego jej się nie przytrafi.

— Na pewno nie — rzekł z przeświadczeniem Newman. — Zna przecież dokładnie okolicę. Może pan być spokojny!

Aczkolwiek nie padło między nimi ani jedno słowo na temat Sally, to jednak Newman zdawał się domyślać, że Beresford otrzymał list, na który tak długo czekał. Może powiedział mu o tym obojętny wzrok Beresforda, którym spoglądał na dzisiejszą ranną korespondencję. Stałe przebywanie przy boku chłopaka pogłębiło intuicję Newmana i teraz bez słownych wyznań domyślał się wielu rzeczy.

Już wczoraj ułożył sobie program pracy na dzień dzisiejszy i postanowił swe plany przedłożyć Beresfordowi do aprobaty. Zauważył

kilka drzew, które należało stanowczo wyrąbać. Nic jednak nie chciał czynić bez wiedzy Beresforda. Może chłopiec poszedłby z nim i zobaczył te drzewa.

Beresford zgodził się chętnie. Pogoda wprawdzie była obrzydliwa, ale taki spacer w towarzystwie Newmana na pewno mu dobrze zrobi. Zle spał tej nocy i czuł wyraźną potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem.

Wyszli razem, brnąc po rozmokłej ziemi i nie zważając na rześiste krople deszczu.

W pewnej chwili uszu ich dobiegł dźwięk rogu myśliwskiego i odgłos szczekających psów. Beresford przystanął, nasłuchując.

— Są teraz wewnątrz lasu — rzekł. — Słyszysz pan szczekanie psów? Odgłosy stawały się słabsze i wreszcie zamarły w oddali.

— Niewielką będą mieli dzisiaj przyjemność — zauważył Newman. Beresford począł iść dalej nieco leniwym krokiem.

— Muszę i ja zacząć wkrótce polować — wyszeptał. — Nie mogę tak długo siedzieć na jednym miejscu.

— Nie ma się co śpieszyć! Mamy jeszcze dużo spraw do załatwienia — doradzał Newman.

Niebo rozjaśniało się jakoś koło południa, a oni wciąż brodzili po polach, zapomniawszy nawet zupełnie o lunchu. W lesie spotkali kilku wieśniaków.

— Szkoda, że nie zabrałem ze sobą strzelby — odezwał się w pewnej chwili Beresford.

— Najprzód musi pan nabrać sił — odparł Newman.

— Ależ już jestem silny, stary przyjacielu. — Chłopak poklepał olbrzymą po ramieniu. Dzięki pańskiej opiece utylłem i zmężniałem. Nie pozostało już nic z dawnego cherlaka. Ale przypuszczam, że najwyższy czas, abyśmy wrócili do domu.

Deszcz znowu zaczął padać i zmrok stawał się coraz gęstszy.

— Marzę o gorącej kąpieli i dobrym obiedzie — oświadczył Beresford, otwierając drzwi do hallu. — Hallo! Cóż to? Chyba nie żaden gość!

Dostrzegł na wieszadle obcy kapelusz. W głębi hallu ujrzał wysoką, szczupłą postać, która podniosła się z głębokiego fotela, stojącego przy kominku.

— Ach, pan Morton! — zawołał Beresford.

Adwokat wyciągnął dłoń na powitanie, lecz cofnął ją nagle z prze-

strachem w oczach. Wzrok pana Mortona utkwiony był teraz w twarzy olbrzyma, który stał tuż za Beresfordem.

— Ach, to mój przyjaciel, pan Newman — wyjaśnił Beresford. — Newman, to jest pan Morton. Bardzo mi przykro, że mnie pan nie zastał w domu — dorzucił, odwracając się. — Nie miałem pojęcia, że pan dzisiaj przyjedzie.

— Pisałem — odparł Morton, mówiąc jak automat i nie spuszczając wzroku z olbrzyma. — Widocznie mój list zaginął.

— Nie, nie zaginął. Przybył wczoraj. To moja wina, że nie czytałem go uważnie. Zaznaczam, że bardzo mi przykro — rzekł znowu Beresford.

— Mniejsza o to — wyszeptał Morton. — Na szczęście miałem dużo czasu.

Wciąż jednak spoglądał na mężczyznę, który wszedł do hallu za Beresfordem i stał teraz z głową odkrytą, wpatrzony w żyrandol, zwisający z sufitu.

Beresford poruszył się niespokojnie.

— Co takiego? Co się stało? — zapytał.

Newman nic nie odpowiedział. Twarz jego była marmurowo spokojna. Oczy spoglądały w przestrzeń i posiadały wyraz oczu człowieka nieżyjącego.

Dziwny niepokój zrodził się w sercu Beresforda, przeczucie jakiejś tragedii. Zwrócił się znowu do adwokata:

— Panie Morton, czemu pan tak patrzy? Czy coś się stało? Wreszcie wzrok Mortona spoczął na twarzy chłopaka.

Jego zimne zazwyczaj oczy były teraz zalęknione.

— Nie wiem — szeptał. — Sądzę, że nie. Przypuszczam, że pan... że pan zna prawdziwe nazwisko swego przyjaciela?

— Nie, nie zna — odparł głucho Newman.

Słowa te były rzucone bezdźwięcznie. W głosie nie było usprawiedliwienia ani prośby. Jednakże w tej chwili świadomość jakaś przeniknęła do duszy Beresforda.

Drgnął, jakby ugodzony zatrutą strzałą i twarz mu się rozjaśniła.

— Oczywiście, że wiem! — zawołał z przeświadczeniem. — Cóż z tego? Czy to kogokolwiek obchodzi? Kończąc te słowa, opasał ramieniem olbrzyma, który stał cały czas

bez ruchu. Teraz zadrżał od stóp do głowy, oczy zabłyśły mu, twarz zaś pobladła jeszcze bardziej. Pan Morton wyglądał tak, jakby nagle ujrzał dzikie zwierzę na swej drodze. Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał odzyskać równowagę.

— O to mi tylko chodziło — odezwał się oficjalnie. — Więcej nie mamy o czym mówić. Może bym mógł porozmawiać z panem kilka chwil w cztery oczy w sprawach, które mnie tu przywiodły.

— Nie! — zawołał Beresford. — Nie mam żadnych tajemnic przed moim ojcem. — Zwrócił się do olbrzyna, patrząc nań czule. — Znasz przecież wszystkie moje sprawy — dorzucił. — Ty... ty...

Z nadzwyczajnym spokojem olbrzym ruchem ręki powstrzymał potok słów chłopaka. Twarz jego została niezmieniona, tylko płonący wzrok utwił w oczach Beresforda.

— Nie — rzekł. — Ja sobie pójdę. Ty załatwiasz swoje sprawy, a ja wrócę do swoich.

Zdjął ramię Beresforda delikatnie i skierował się ku drzwiom. Energicznie otworzył je i wyszedł na wilgotne podwórze. Drzwi zatrasnęły się za nim głucho.

Beresford stał przez kilka sekund, po czym, jakby pchany jakąś niewytłumaczoną siłą, podbiegł do drzwi, otworzył je i rozpaczliwy okrzyk wydarł się z jego piersi.

Okrzyk ten zamarł po chwili. Deszcz padał, dzwoniąc miarowymi kroplami. Stali, spoglądając sobie w twarze.

Beresford wyciągnął dłonie. Chwycił olbrzyna za ramiona.

— Błagam cię, nie odchodź! Nie możesz odejść! — wołał namiętnie. — Dlaczego to czynisz?

Olbrzym stał przez chwilę bez ruchu, a potem nagle otoczył Beresforda ramionami i przycisnął go mocno do piersi.

— To pasuje do ciebie — wyszeptał złamanym głosem. — Ale nie czyn tego, chłopcze! Nie wolno ci.

— Dlaczego, do diabła! — zawołał Beresford. Przywarł całym ciałem do piersi olbrzyna, niby bezradne dziecko. — Nie możesz odejść, nie powinieneś! — chrypiał. — Rozumiem wszystko, nie trzeba mi nic mówić. Nic się nie zmieniło. Słyszysz? Nic się nie zmieniło!

— Mój drogi, drogi chłopcze! — wyszeptał olbrzym jakby przez gardło z trudem przechodziły mu słowa. — Nie ulega żadnej wątpliwo-

sci, że muszę odejść. Zawsze wiedziałem, że będę musiał, gdy nadejdzie pora. To byłoby niemożliwe dla nas obydwóch. Nie pogarszaj sytuacji!

— Dlaczego niemożliwe? — pośpiesznie zapytał Beresford. — Jeżeli ja się nie martwię i ty się nie martwisz, to dlaczego niemożliwe?

— Ja się martwię — odparł olbrzym, cedząc słowo po słowie. — Ja się bardzo martwię. Mur jest zbyt wysoki, aby można go było zwalić.

— Głupstwo! — rzekł Beresford, lecz tym razem głos jego był słabszy. — Dlaczego tak ma być? Mur zostanie zwalony, jeśli ja będę chciał. Nie dbam o przeszłość. Znaczenie dla mnie ma teraźniejszość i ty.

Lecz chociaż ramiona olbrzyma opasywały go jeszcze, to jednak uścisk tych ramion nie był już tak mocny. Olbrzym sprawiał wrażenie bezdusznego głazu.

— A zgodzisz się uważać mnie za swego służącego? — zapytał.

— Oczywiście, że nie! — wybuchnął Beresford. — Traktować cię będę jak gościa, jak zaszczytnego gościa!

— Mam być na łasce u mego syna? — westchnął olbrzym, a głos jego stał się dziwnie suchy. — Nie! nie mogę, mój chłopcze. Nie mogę!

— Głupstwa pleciesz! — zawołał Beresford. — Wszystko co mam, tobie zawdzięczam. Gdybyś odszedł wówczas, już bym nie żył. Wiesz o*tym.

— Czy wiem? — W głosie olbrzyma zabrzmiała nuta czułości. — Więc dobrze! Przyjmę od ciebie coś, co nas skwituje.

— Co takiego? — zapytał Beresford niecierpliwie.

Uścisk olbrzyma stał się jeszcze słabszy. Wyswabadzał się z ramion Beresforda.

— Przyjmę od ciebie—rzekł—pieniądze na powrotny bilet do Sydney. Beresford powstrzymał głośny okrzyk.

Orientował się, że dalsze

argumenty na nic się nie przydadzą. Po raz pierwszy spojrzął na wszystko wzrokiem tego starca. Czuł się pokonany.

Istniały pewne rzeczy w życiu, których nie można było wymazać, które musiały pozostawić na wieki swoje piętno.

Uczuł dotkliwy ból w sercu. Zachwiał się na nogach.

— Nie może dojść do tego — wyszeptał złamanym głosem, nie orientując się nawet, co mówi. — Czy nie moglibyśmy zaczekać trochę? Może... kto wie... może znajdzie się jakieś inne wyjście. — A gdy olbrzym odwrócił się od niego w milczeniu, dorzucił: — W każdym razie nie możesz jechać dzisiaj w nocy!

Usłyszał odpowiedź spokojną, pełną ojcowskiej pieśczoży: — Nie, synu, nie dzisiaj w nocy! I tak się rozstali.

Przykry to był dzień i Joan wracała do domu bardzo zmęczona. Lightfoot był zmęczony także, a może tylko udzielał mu się, jak zwykle, nastrój jego pani. Szedł niedbale, potykając się co chwilę o jakiś kamyk. Joan nie namawiała go do szybkiego kroku, co wierzchowca jeszcze bardziej przygnębiało. Pojmował, że dziewczyna nie zwraca nań najmniejszej uwagi. Nawet najlepszy wierzchowiec musi odczuwać energię jeźdźca, musi czuć jego przewagę nad sobą. Joan tego popołudnia była dziwnie senna i dlatego pewnie jechała do domu przez pola, które prawie tonęły w wodzie, stojącej wielkimi kałużami po całonocnym i całodziennym deszczu. Droga wiodła do małej kładki na rzece, która zazwyczaj była ponad wodą, a tędy do dworu Harbridge bliżej było o jakieś dwie mile. Gdyby Joan była w swym normalnym nastroju, na pewno dzisiaj nie odważyłaby się jechać tą drogą.

Grunt był mokry i bagnisty. Rzeka wezbrała i fale zalewały wysokie brzegi. Przez wąską kładkę Joan często przejeżdżała bez lęku. Przegniła już nieco, lecz sprawiała wrażenie solidnego mostu. Sam fakt, że przez tę kładkę rzadko kiedy przejeżdżali wieśniacy, a rzadziej jeszcze myśliwi, zdawał się nie wywierać na Joan żadnego wrażenia. Dość, że kładka istniała i chociaż rzadko kiedy była używana, to jednak można było przez nią przejechać.

W tej chwili Lightfoot pragnął również jak najprędzej dostać się do domu na kolację i mimo woli przyśpieszał kroku. Był wdzięczny swej pani za to, że wybrała krótszą drogę, a woda chlupiąca mu pod kopytami zdawała się nie sprawiać mu najmniejszej przykrości. Znał dobrze wąską kładkę na rzeczce i skierował się wprost w jej stronę, niewzruszony bagnistym gruntem. Zawsze wracali tą drogą, gdy polowanie odbywało się w okolicy Lacy Denham. Rzeka płynęła tuż pod lasem sosnowym i w tym miejscu była szersza i głębsza, niż w miejscach, gdzie ją ocieniały gęste krzewy. Po przeciw-

leglej stronie brzeg był wyższy, więc na pewno nie podmyła go jeszcze woda. Lightfood ruszył z kopyta w stronę mostku, jakby nie miał za sobą uciążliwego dnia pracy.

Gdy zbliżyli się do kładki tuż za nimi ukazali się trzej jeźdźcy i jeden z nich zwrócił się do Joan:

— Czy można tędy przejechać? Kładka jest pewna?

— Pewna jak most żelazny — odparła Joan, gdy tymczasem wierzchowiec postawił już przednią nogę na mostku.

Kładka ciągnęła się na długości dwudziestu stóp. Pod kładką fale płynęły ze zwiększoną szybkością. Podkowy Lightfoota dźwięczały na mokrych, przegniłych nieco deskach.

Po przeciwnej stronie dostrzegła Joan tonącą we mgle wysoką postać męską. Twarzy nie rozróżniała, widziała tylko wątle pasmo dymu, unoszące się z fajki.

Lightfoot dostrzegł również tę postać i nie wiadomo dlaczego ogarnął go lęk. Może Joan poruszyła się niespokojnie na siodle, a może kładka była śliska, bo nagle wierzchowiec stracił równowagę. Potknął się niezręcznie i rozległ się w tej samej chwili trzask łamanych desek. Lightfoot uczynił ostatni wysiłek, którym pragnął się uratować, Joan wypadła z siodła i zawisła na jednym strzemieniu.

Słyszała już tylko plusk wody i chrzęst ścierających się ze sobą podków końskich. Lightfoot zawisł na kładce jedną nogą, a Joan wpadła do wody, nie mogąc wyswobodzić się ze strzemienia.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że prawdopodobnie nadchodzi śmierć.

I nagle w ostatniej chwili nadeszła pomoc. Opasały ją mocne ramiona, uniosły ją w górę i usłyszała nad sobą głęboki głos:

— Wszystko w porządku. Wyłowiłem panią. Proszę się nie lękać! Noga jej została wyswobodzona ze strzemienia i czuła wyraźnie,

jak ktoś wyniósł ją na brzeg, gdzie nie słyszała już ani rżenia swego wierzchowca, ani też chrzęstu jego kopyt.

Ułożył ją na mokrej ziemi, po czym wskoczył na nowo do wody. Półsennym wzrokiem dostrzegła jego szeroką pierś, zanurzającą się w wodzie o trzy metry od niej, widziała jak wszelkimi siłami starał się wyratować jej wierzchowca.

Potem nagle wszystko zniknęło jej sprzed oczu. Dostrzegła Lightfoota zanurzonego łbem w wodzie, z kopytami

w powietrzu, lecz po chwili łeb ukazał się znowu na powierzchni i koń zaczął płynąć ku brzegowi. Słyszała przyśpieszony tętent i ujrzała, że koń wlecze za sobą jakiś ciemny przedmiot, który padł bez ruchu prawie u jej stóp. Z przeciwległej strony rzeki doszły ją męskie głosy, skłaniające wierzchowce do przebycia rzeki w pław. Ogarnęła ją wielka, przemożna cisza. Ostatnim wysiłkiem podniosła się ziemi i na kolanach dowlokła się do owego przedmiotu, leżącego w pobliżu. Objęła leżące ciało ramionami i przycisnęła do piersi siwą głowę olbrzyma.

— Och, czemuś to zrobił, czemuś to zrobił — wyszeptała przez jzy — Nie warto było poświęcać swego życia!

W trzy godziny potem Joan siedziała na małym stołeczku w salonie, spoglądając na leżącą bez ruchu postać, na zbitej pośpiesznie pryczy. To, co się działo podczas trzech ostatnich godzin, nie przenikało prawie do jej świadomości.

Sprawiała wrażenie człowieka, którego tok myśli przerwał się na chwilę, a po tej przerwie rozpoczął na nowo.

Jedyną świadomością którą posiadała, było to, że ów człowiek, leżący na pryczy umierał... umierał i prawdopodobnie nigdy Już do niej nie przemówi. Wyratował ją, wyratował Lightfoota, sam zaś robił ze swego życia ofiarę. Jakim cudem nie utonął od razu, nawet doktor nie potrafił wytłumaczyć, tylko nieludzkie siły tego olbrzyma spowodowały ten cud i jeszcze serce słabo biło w jego piersi, choć leżał nieprzytomny.

Joan nie miała pojęcia, kiedy nastąpi koniec. Otaczała ich obydwójce nieprzerwana cisza, chociaż poza tym pokojem tętniło życie i istniał ktoś, kto również w każdej chwili oczekiwał katastrofy.

Na szmer otwieranych drzwi Joan podniosła głowę i blady uśmiech powitania pojawił się na jej twarzy, gdy do pokoju wszedł Beresford. Uczyniła nieznaczny ruch, jakby chciała mu powiedzieć, że w stanie umierającego nie zaszła żadna zmiana.

Beresford zbliżył się bezszelestnie i ukląkł u nóg leżącej bez ruchu postaci. Potem, wciąż jeszcze na klęczkach, zwrócił się do dziewczyny:

— Joan, czyś ty coś jadła?

Potrząsnęła głową.

— O, nie troszcz się o to — odparła. Wyciągnął do niej rękę.
— Muszę się troszczyć o ciebie — wyszeptał. — Wkrótce nikogo więcej nie będę miał na świecie.
Uczyniła niespokojny ruch i jej zimne palce zacisnęły się dokoła jego dłoni.
— Biedny Berry! — szepnęła. — Biedny, kochany Berry! Spojrzał na nią pytająco.
— Joan, czy ty wiesz? — zagadnął z powagą. Spojrzenie jej spotkało się z jego wzrokiem.
— Tak — odparła. Westchnął głęboko.
— Przypuszczam, że odgadłaś. Nie wiem dlaczego mnie nie przyszło to na myśl. Dowiedziałem się dopiero dzisiaj.
— Ach, Berry! — zawołała. — Nie byłeś przecież dla niego niedobry?
— Nie! — odparł. — On był dla mnie więcej niż ojcem, więcej niż bratem. — Głos jego nagle zadrżał. —
Najlepszym przyjacielem jakiego kiedykolwiek człowiek posiadał... jestem dumny, gdy pomyślę, że jestem jego synem!
Słowa zamarły mu na ustach. Pochylił głowę na ręce i z piersi jego dobył się głuchy szloch.
Joan zsunęła się ze stołeczka i ukłękła przy nim. Ramię jej opasało jego szyję.
— Mój drogi! — szeptała. — Mój drogi! Odzyskał równowagę i spojrzał na nią spokojniej.
— Skąd wiedziałaś, Joan? Czyś odgadła?
— O nie! — jej głos był również spokojny. — Stało się to bardzo dawno, jeszcze przed śmiercią twojej matki.
Przypadkowo spotkałam go pewnego ranka. Był bardzo wynędzniały, a ja zatrzymałam się przy nim na chwilę.
Wówczas powiedział mi.
Oczy Beresforda zapłonęły.
— Zawsze byłaś dzielna — rzekł. — I stąd wiedziałaś, gdzie się znajduje?
Skinęła głową.
— Ale nie mogłam go zdradzić, Berry. Przyrzekłam. Musiałam grać komedię.

— Zawsze grasz komedię — mruknął.

Oczy jej nagle napęłniły się łzami i odwróciła od niego głowę.

— Może lepiej byłoby, gdybym jej nie grała.

— Nie, nie byłoby lepiej — odparł łagodnie. — Wówczas me byłabyś sobą.

— Nie zawsze postępuję tak, jak powinnam.

Przez chwilę nic nie mówili. Cisza, panująca w pokoju była jeszcze bardziej śmiertelna i słychać było tylko od czasu do czasu trzask gałązek, palących się na kominku.

Kłęczeli tak dość długo, zapatrzeni w bladą twarz umierającego, w siwą jego głowę, spoczywającą na poduszce.

Żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa, bo zdawało im się, że powiedzieli już wszystko i czekali teraz tylko na to coś, co się miało stać.

I wśród tego milczenia i oczekiwania, bezwiednie przytulili się do siebie, przytulili się tak, jak tego nie czynili nigdy dotychczas. Może bezwiednie modlili się razem, czekając tej chwili, kiedy ujrzą wyciągniętą nad sobą rękę przeznaczenia.

Deszcz przestał padać i blask księżyca wnikał przez zamknięte okno. Cały świat poza oknem wydawał się biały w tej jasnej poświacie, jakby wszystko odmieniło się nagle i było całkiem nowe.

Nie osłonięta lampka na stole sprawiała wrażenie niesmowite. Wszystkie sprzęty w pokoju zdawały się stać nie na swoim miejscu, zdawały się być nowe i nieznane. A Joan, siedząc znów na swym niskim stołeczku czuła, że świat, który znała dotychczas, przestał istnieć na zawsze i że do tamtego świata, który znała, nigdy już nie wróci.

Było już bardzo późno, gdy dosłyszała nagle przyciszony głos Beresforda:

— Spójrz!

Pochyliła się śpiesznie nad leżącą bez ruchu postacią i dostrzegła w ziemistej twarzy pewną zmianę. Chory otworzył oczy i począł nimi błędzić po pokoju, jakby szukając czegoś. Gdy dostrzegł Joan, uśmiechnął się. Blade wargi rozchyliły się w szepcie:

— Ja... nie zrobiłem dobrze, ale... mój chłopak... uczyni. Położyła dłoń na jego prawie martwej ręce.

— Czynił pan dobrze! Proszę mi wierzyć! — wyszeptwała.

Oczy chorego ciągle się do niej uśmiechały, jakby chciały powiedzieć to, czego nie dopowiedziały usta.

Po dłuższej chwili milczenia Joan pierwsza poczęła mówić drżącym od wzruszenia głosem:

— Czynił pan wszystko, co było w pańskiej mocy. Czynił pan dobrze. Nic więcej nie mógłby uczynić.

W odpowiedzi usłyszała jeszcze cichszy szept:

— Dziękuję ci... święta!

Pochyliła się nad nimi jeszcze niżej, tonąc wzrokiem w jego wyblakłych oczach. Potem podniosła się spokojnie.

— Berry! On umiera. Pożegnaj się z nim!

Chciała Beresfordowi ustąpić swego miejsca, lecz chłopak zatrzymał ją. Otoczywszy ją ramieniem, pochylił się nad umierającym.

— Stary przyjacielu — rzekł z powagą — pragnę ci powiedzieć tylko jedno. Pragnę ci powiedzieć — głos mu się załamał, lecz po chwili odzyskał znów spokój — że błogosławię cię za wszystko, coś dla mnie uczynił! Nauczyłeś mnie... nauczyłeś mnie, jak powinienem żyć, a to jest najważniejsze.

Głos mu znów zadrżał i przeszedł w drżący szept, gdy całował gorąco czoło olbrzyma.

Powieki Newmana poczęły opadać, lecz na chwilę otwarły się znowu. I potem nagle jakby z triumfem, choć oddech stawał się coraz słabszy, olbrzym prawie zawołał:

— Mur... został... zwalony!

Wypowiedziawszy te słowa, ojciec Beresforda oddał swą duszę Bogu.

W blasku porannej jutrzenki o wczesnym świcie Joan i Beresford szli w stronę dworu Harbridge.

Mówili ze sobą bardzo mało, bo zdawało się, że mało mają sobie do powiedzenia. Tylko gdy przeszli przez bramę i wkroczyli w ocienioną alejkę, Beresford wyciągnął rękę do Joan.

— Czujesz się dobrze? — zapytał przyciszonym głosem.

— Tak — odparła.

Wyszli znowu spośród drzew i zbliżyli się do domu.

— Wejdiesz na chwilę? — zapytała Joan.

— Sam nie wiem — odparł. — Czy pozwolisz? Nie chciałbym cię pozostawić samą.

Nic nie odrzekła, podając mu w milczeniu klucz. Otworzył drzwi i weszli do hallu. Światło płonęło, a taca z zimnymi napojami stała przed kominkiem.

— Prosiłam, żeby nikt na mnie nie czekał — zauważyła Joan. Zbliżyła się do kominka, on zaś stanął przy jej boku.

— Napijesz się czegoś? — zapytała. Potrząsnął głową.

— Musisz się położyć, a ja muszę wracać do domu.

— Dlaczego? — zapytała.

Odpowiedział jej z głową pochyloną na piersi i z odwróconą twarzą:

— Dlatego, że jesteś zmęczona, a ja gdybym został dłużej, gotów bym popełnić jakieś głupstwo.

— Właściwie nie jestem zmęczona — rzekła Joan spokojnie. — A jeżeli tak się czujesz, to lepiej zostań.

Uczynił niemy ruch protestu.

— Jesteś taka dobra. Gotów jestem skorzystać z okazji.

— Cóż z tego? — położyła dłoń na jego ramieniu. — Mój drogi Berry, przestań wreszcie o tym myśleć! To wszystko, co uczyniłam dla ciebie, czyniłam zawsze dla własnej przyjemności.

Powaga brzmiąca w jej głosie mówiła więcej niż słowa. Odwrócił się impulsywnie i przywarł policzkiem do jej dłoni.

— Zawsze byłaś raczej za dobra — wymamrotał.

— Naprawdę? — zapytała Joan. Stała przez chwilę bez ruchu, po czym zwróciła się doń, jakby z nagłym postanowieniem.— Nie orientujesz się, że przez całe swe życie byłam najbardziej przywiązana do ciebie?

Nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Joan! — zawołał. — Do mnie? Patrzyła nań teraz oczami pełnymi łez.

— Wiem — rzekła — że to był absurd! Kochałam cię zawsze po kryjomu, z początku nie zdając sobie z tego sprawy.

Wiedziałam, że jestem dla ciebie nieodpowiednia. Myślałam, że Sally potrafi dać ci więcej szczęścia.

— Joan! — zawołał znowu zmieszany. — Ty? Zaśmiała się głośno i ścisnęła dłońią krtan.

— Nie wiem, po co ci to mówię. Faktem jest, że nigdy nie pragnęłam wyjść za męża, nigdy nie pragnęłam należeć do żadnego mężczyzny, dopóki nie spotkałam twego ojca! — umilkła nagle i pochyliła głowę, jakby nie mogąc wypowiedzieć nic więcej.

Beresford zbliżył się do niej.

— Och, kochanie! — wyszeptał. — Więc to tak było?

— Sama nie wiem. — Głos jej znowu nabrał mocy. — Nawet samej siebie nie rozumiem. Było to coś silniejszego ode mnie. Wiem tylko, że ujrzałam w nim coś całkiem innego, coś potężniejszego, niż we wszystkich znanych dotychczas ludziach. Może dlatego, że przecierpiał więcej, że zgrzeszył i upadł tak nisko, a jednak usiłował wstąpić na prawą drogę. W każdym razie on był całkiem inny. Był wielki. — Umilkła i wolno podniosła głowę. — A ty posiadasz tę samą wielkość — dodała. — Dostrzegłam to, gdy was ujrzałam razem.

— Byliśmy przyjaciółmi — wyszeptał.

— Tak, wiem o tym. — Oczy jej zabłysły poprzez łzy. — Kochałam waszą przyjaźń. Ona była również potężna. Dostrzegłam wreszcie, że owa potęga, którą w nim kochałam, jest i w tobie również.

— Ale Joan — zawołał — czyż ty mnie możesz naprawdę kochać? Nigdy nie marzyłem nawet...

Wyciągnęła doń rękę.

— Berry, przecież jestem tylko kobietą i nie masz potrzeby marzyć. Sama jestem pozbawiona wszelkiego romantyzmu. Wątpię, czy mnie pragniesz i jeżeli tak jest, jak przypuszczam, to nasza przyjaźń nie ulegnie żadnej zmianie. Jestem silna, dzięki Bogu!

— Nie pragnę cię? — przerwał porywczo. — Joan! Czyś oszalała? Ciebie nie pragnę?

Otarła pośpiesznie łzy.

— Nie pojmuję, jak możesz — wyszeptała — skoro nigdy przedtem o tym nie myślałeś.

— O, nie pojmujesz? — zawołał. Ręka jej zamknięta była w uścisku jego dłoni. Przyciągnął ją łagodnie do siebie. — Joan! — wyszeptał drżącym głosem. — Moja najdroższa, najukochańsza Joan! — Pragnę

tylko stać się godnym ciebie. Czy sądzisz, czy naprawdę sądzisz, że mógłbym ci dać szczęście?
— Szczęście! — wyszeptała Joan i nagle znalazła się w jego ramionach, z twarzą przytuloną do jego twarzy. —
Berry, myślę czasami, że szczęście jest niby wino, podawane na weselnej uczcie. Nie znamy nawet smaku tego wina,
dopóki Bóg go nam nie ześle. Przecierpieliśmy dość dużo razem, nieprawdaż? I żadne z nas nie załamało się pod
wpływem tych cierpień. Ale możliwe — ramiona jej miękko opasały jego szyję przy tych słowach — że Bóg właśnie
do dzisiaj ukrywał to
wino przed nami?
A Beresfordowi, gdy przyciskał ją czule do siebie, przyszło na myśli, że istotnie dotychczas nie znał prawdziwego
smaku tego wina.

KONIEC